

LINDA TURNER

**Prezent
dla Rebeki**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ktoś próbował go zabić.

Joe Colton jeszcze tydzień później nie mógł w to uwierzyć. Stał wśród rodziny i przyjaciół z kieliszkiem szampana w ręku, wznosząc toast w dniu swoich sześćdziesiątych urodzin, kiedy kula drasnęła go w policzek!

Długo próbował przekonać siebie i policję, że nikt tu nie zawinił. Po prostu jeden z gości miał przy sobie broń, która przypadkiem wypaliła, a on znalazł się na linii ognia.

Thaddeus Law, detektyw prowadzący śledztwo, nie wierzył jednak w takie przypadki. Kto przynosi nabity rewolwer na przyjęcie urodzinowe? A jeśli na dodatek ten rewolwer o mało nie zabija jubilata, to trudno mówić o pomyłce, przypadku czy dowcipie.

Ktoś po prostu nienawidzi Joego Coltona tak bardzo, że chciał go zastrzelić w obecności trzystu osób.

Pytanie tylko, kto i dlaczego?

Joe nie był aż tak naiwny, by sądzić, że nie ma wrogów. W ciągu swej długoletniej kariery politycznej na pewno naraził się wielu ludziom, nigdy jednak nie skrzywdził nikogo z premedytacją. Nigdy nie próbował do niczego dojść choćby i po trupach. No więc komu aż tak bardzo się naraził?

Policja podejrzewała kogoś z rodziny. Wiadomo, statystyki wykazują, że na ogół ludzie nie giną z ręki obcej osoby; mordercą jest zwykle ktoś dobrze im znany.

Joe wzruszał ramionami. Nic go nie obchodzą statystyki, obchodzi go tylko rodzina. Zrezygnował przecież nawet ze stanowiska senatora, żeby mieć więcej czasu dla żony i dzieci, a w swoim koncernie zatrudniał głównie braci i kuzynów. Żaden z nich nie mógł pragnąć jego śmierci.

Strzelał do niego pewnie jakiś psychopata, który wyczytał w gazecie o mającym się odbyć przyjęciu, zmylił ochronę i jakoś się prześliznął. Wariatów nie brakuje.

Mówił o tym policjantom, ale go nie słuchali. Przesłuchali wszystkich gości, ale widać było, że głównie interesują ich członkowie rodziny Coltonów. W końcu Joe postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Wiedział, kto może mu pomóc.

Zadzwoił do Austina, syna swojego przyrodniego brata. Austin McGrath był prywatnym detektywem i wiedział już o tym, co zaszło.

- Przepraszam, że sam do ciebie nie zadzwoniłem - powiedział ze skruczą w głosie - ale miałem pilną sprawę i musiałem lecieć do Vancouveru. Tata mi mówił, że na tym przyjęciu było pół Kalifornii. Czy policja już kogoś aresztowała?

- Przecież to banda idiotów - parsknął Joe w słuchawkę. - Minał tydzień, a oni jeszcze nic nie zrobili. Dlatego do ciebie dzwonię. Znajdź faceta, który próbował mnie zabić.

Austin skrzywił się; nie uśmiechało mu się jechać do Kalifornii. Coltonowie byli potężnym rodem, nie na darmo nazywano ich Kennedymi zachodniego wybrzeża. Mieli wielkie wpływy i pieniądze i Austina niewiele z nimi łączyło.

Nie mógł jednak odmówić przyrodniemu bratu własnego ojca! Zresztą pomógłby nawet obcemu człowiekowi, gdyby wiedział, że jego niedoszły morderca przebywa na wolności.

- Załatwię sobie tylko jakieś zastępstwo i przylecę jutro wieczorem - powiedział i usłyszał w słuchawce westchnienie ulgi.

- Dzięki - sapnął Joe. - Powiem Meredith, żeby ci kazała przygotować gościnny pokój.

- Wolałbym zatrzymać się w hotelu.

Na myśl, że mógłby zamieszkać w rezydencji Coltonów, gdzie codziennie przyjmowano gości, przeszedł go dreszcz. Wieczorem, po pracy, pragnął tylko spokoju.

- Zajmując się tą sprawą, powinienem zachować pewien dystans - wyjaśnił, żeby jakoś osłodzić odmowę. - Tak będzie lepiej.

Joe nie wziął mu tego za złe.

- Masz rację. Zresztą zawsze chadzałeś własnymi drogami.

Austin nie zaprzeczył. Nigdy nie chciał pracować w rodzinnej firmie; po studiach wyjechał do Portland i wstąpił do policji. Ranny w czasie akcji przeciwko handlarzom narkotyków, odszedł z pracy i założył własne biuro detektywistyczne.

- Lubię być sam sobie sterem, żeglarzem i okrętem
- skomentował żartobliwie.

Wiedział, że wuj doskonale go rozumie; sam miał podobne usposobienie.

- Nic nie musisz mi tłumaczyć - oświadczył Joe.
- Twój ojciec mówił, że doskonale sobie radzisz. Rób, co uważasz za stosowne, daję ci wolną rękę.
- Zadzwoń do ciebie zaraz po przyjeździe - obiecał Austin.

Odłożył słuchawkę i usiadł wygodnie w fotelu, po czym zerknął na notatki zrobione podczas rozmowy z wujem. Niewiele jeszcze wiedział o całej sprawie, ale jedno było pewne. Ktoś, kogo Joe zna i kocha, życzy mu śmierci. Tylko kto?

Rezydencja Coltonów pod miasteczkiem Prosperino w Kalifornii nosiła nazwę Hacienda del Alegria, czyli inaczej Dom Radości. Była poza tym niezwykle pięknie położona: budowla koloru piasku stała w schodzącej ku oceanowi rozległej dolinie, nad którą wznosiły się góry.

Austin jako dziecko lubił tu przyjeżdżać - nie tylko ze względu na widoki i bliskość oceanu. Wielka dwuskrzydłowa siedziba dzięki cioci Meredith stała się prawdziwym domem.

Z upływem lat podobno wiele się zmieniło.

Wjechał na teren posiadłości i rozejrzał się. Dom niby był ten sam, ale w niczym nie przypominał tego, co zapamiętał z dzieciństwa. Nawet wewnątrz wyglądało inaczej.

Otworzyła mu Inez, gospodyni, która pracowała tu od zawsze.

- Ślicznie wyglądasz - rzekł Austin i uśmiechnął się do niej. - Twój Marco pewnie jest dobrym mężem.

Inez skinęła głową.

- Musi o mnie dbać - odparła. - Jestem jego największym skarbem. Proszę wejść, nasz pan już czeka.

- Westchnęła. - Ostatnio miał bardzo trudne dni.

- Porozmawiamy o tym później, dobrze?

Służąca skinęła głową.

- Kiedy tylko pan zechce. A teraz proszę do biblioteki. Zna pan drogę, prawda?

Do biblioteki wuja Austin trafiłby z zawiązanymi oczami.

Wielkie dębowe biurko, przepastne fotele i nie kończące się półki z książkami... Przynajmniej to miejsce pozostało zupełnie nie zmienione.

Joe siedział przed komputerem z oczami wbitymi w ekran.

- Niszczysz sobie wzrok, wujku, a do tego od komputera dostaje się zmarszczek. Musisz teraz bardzo uważać, skończyłeś przecież sześćdziesiąt lat - powiedział Austin, wchodząc.

Joe na swoje lata wyglądał świetnie i był w nie najlepszej formie. Zerwał się z za biurka i zdusił bratanka w niedźwiedzim uścisku.

- Austin! Jak dobrze, że jesteś! Tak na ciebie czekałem. Przeglądałem właśnie notatki, dotyczące tego... smętnego epizodu.

Ostatnie dwa słowa wymówił z wyraźnym przekąsem.

- Siadaj, proszę - dodał, wskazując fotel naprzeciw biurka.

Austin rzucił okiem na ekran komputera.

- Zrób mi z tego wydruk i daj listę gości - powiedział. - Zacznę od rozmowy z każdym, kto tu wtedy był.

- Już wszystko dla ciebie przygotowałem, policja też od tego zaczęła - informował z goryczą Joe - ale na nic im się to nie zdało. Tyle tylko, że dali się we znaki całej rodzinie.

Austin spojrział na niego poważnie.

- To zrozumiałe. Zajście miało miejsce podczas twoich urodzin. Jest oczywiste, że nie powinno być na nim twoich wrogów. Zaprosiłeś tylko rodzinę i przyjaciół, a w przypadku twojej śmierci rodzina korzysta najwięcej.

Joe spojrział na niego gniewnie.

- Jednym słowem, podobnie jak ci głupcy, podejrzewasz kogoś z mojej rodziny?

Austin nie drgnął. Przyjechał do Prosperino w sprawach zawodowych, ma zagadkę do rozwiązania i nie może przejmować się humorami wuja.

- Najpierw muszę zapoznać się z faktami i przesłuchać świadków - oświadczył spokojnie. - Ty natomiast nie powinieneś z góry niczego wykluczać. Zbyt wiele ryzykujesz, chyba to rozumiesz.

Joe opanował się i skinął głową.

- Znajdź szybko tego drania, bo już jestem wykończony całą tą historią - sapnął.

- Zaczynam jutro, z samego rana.

Joe wysunął jedną z szuflad biurka i wyjął stamtąd klucz.

- Weź - powiedział. - Będiesz mógł wchodzić i wychodzić, kiedy zechcesz. Jeśli czegoś potrzebujesz, mów o tym mnie albo Meredith czy Inez. Ktoś z nas zawsze jest w domu.

Austin wstał i uściśnął rękę wuja.

- Dziękuję, to mi bardzo ułatwi działanie.

Już miał się pożegnać i wyjść, kiedy do biblioteki wtargnęła Meredith.

- Witaj, Austin! Prosiłam Inez, żeby mnie natychmiast zawiadomiła, gdy przyjedziesz, ale ona oczywiście nie posłuchała. Nie wiem, dlaczego jeszcze ją trzymamy. Jest zupełnie do niczego, może tylko nieźle gotuje.

Joe zachmurzył się.

- Inez należy do rodziny - oświadczył, marszcząc czoło. - I piecze najlepsze czekoladowe ciasto na świecie - dodał łagodniej. - Austin chyba jeszcze je pamięta.

Wspomnienie powróciło falą zapachu i gość o mały się nie obliżał.

- Owszem, pamiętam doskonale, i te jej kurczaki po meksykańsku. Pycha.

Meredith wzruszyła ramionami.

- Jeśli ktoś lubi takie rzeczy... W każdym razie ona nikogo nie słucha.

Austin ukrył zdziwienie. Pamiętał, że dawniej ciotka świetnie dogadywała się z Inez. Najwyraźniej coś się między nimi popsuło.

- Pewnie przygotowuje kolację i musiała zapomnieć - próbował tłumaczyć służącą.

Pani domu lekceważąco machnęła ręką.

- Zawsze o wszystkim zapomina, ale przynajmniej posiłki zwykle podaje na czas. - Obdarzyła gościa promiennym uśmiechem. - Zostaniesz z nami na kolacji? Nie będzie co prawda kurczaków po meksykańsku, ale dostaniesz na deser ciasto czekoladowe. Inez wczoraj je upiekła. Joe niestety nie pozwolił mi zaprosić senatora Haysa z żoną. Wielka szkoda, bo to bardzo wpływowa osoba. Trudno, będziemy tylko my, chłopcy i Rebeka.

Następnie, jakby nagle sobie przypominając prawdziwy cel jego odwiedzin, dorzuciła rozkapryszonym tonem:

- I jak najszybciej znajdź tego wariata, co próbował zastrzelić mi męża. Jesteś lepszy niż ci wszyscy policjanci razem wzięci.

Joe skrzywił się z niesmakiem.

- Daj mu spokój, przecież dopiero co przyjechał. Jeszcze nie zdążył przejrzeć notatek. A gdyby nawet już coś wiedział, i tak nic ci nie powie, bo na tym etapie śledztwa to niewskazane.

W ciemnych oczach Meredith błysnął gniew i Austin przez chwilę myślał, że wujowi zaraz się dostanie. Zdziwiło go to, bo zapamiętał ich jako doskonałe małżeństwo, a teraz wszystko wskazywało na to, że są na wojennej ścieżce.

Meredith szybko się opanowała.

- Nie przejmuj się nim - powiedziała z wymuszoną

swobodą. - Taki już jest. Zostaniesz u nas na kolacji, prawda?

- Z przyjemnością - odparł.

Po tym, co zobaczył, nie mógł odmówić. Musiał ich trochę poobserwować i dowiedzieć się, o co właściwie chodzi.

Jedzenie było doskonałe, lecz uwaga Austina skupiła się raczej na obecnych przy stole. Joe i Meredith zachowywali się wobec siebie poprawnie, lecz napięcie, które między nimi dostrzegł wcześniej, nie ustępowało.

Wokół stołu siedziały dzieci: Emily, Joe Junior i Teddy. Emily, adoptowana przez Coltonów jako niemowlę, miała teraz osiemnaście lat i była śliczną, pewną siebie dziewczyną; chłopcy byli o wiele od niej młodszy. Dziewięcioletni Joe i siedmioletni Teddy tkwili z nosami w talerzach, bez przerwy strofowani przez matkę.

- Teddy, nie zapomnij o jarzynach! Joe, nie dostaniesz ciasta, jeśli nie zjesz wszystkiego do końca!

Próbowali protestować.

- Ojej, mammo...

- A tata nie musi jeść brokułów...

- Tata nie je jarzyn i płaci za to zdrowiem - uciła krótko Meredith. - Macie słuchać mamusi, bo mama wie najlepiej, co dla was dobre.

Chłopcy wymieniali znaczące spojrzenia i Austin świetnie ich rozumiał. Jako dziecko nie znosił takich uwag.

Naprzeciw niego siedziała Rebeka Powell. Coltonowie przed laty wzięli ją ze schroniska dla porzuczonych dzieci i adoptowali. Nie znał jej losów; Rebeka miała teraz trzydzieści lat i od dawna należała do rodziny.

Nie zapamiętał, że jest taka piękna...

Ciemnowłosa, długonoga i smukła poruszała się z wdziękiem tancerki. Była przy tym małomówna i skromna, i najwyraźniej całkiem nieświadoma wrażenia, jakie wywiera na ludziach. Od czasu do czasu spoglądała na Austina zza długich rzęs i wtedy po raz pierwszy od bardzo dawna czuł, jak mocno bije mu serce.

Od śmierci żony i dziecka ograniczył swoje kontakty z kobietami do przelotnych romansów. A Rebeka należała do kobiet, które mają wieczną miłość i małżeństwo wypisane na czole; takich kobiet Austin unikał jak ognia.

Dowie się, kto chciał zabić wuja, i wróci do Portland. Szaroniebieskie spojrzenie tej kobiety nie zatrzyma go i nie skomplikuje mu życia.

Pograżony w myślach nie od razu usłyszał jej cichy głos:

- Joe mówił, że chcesz porozmawiać ze wszystkimi gośćmi. Może będę mogła ci pomóc, nie znasz przecież miasta.

- Świetny pomysł - zapalił się Joe. - Rebeka jest nauczycielką w szkole podstawowej - wyjaśnił Austiniowi. - Zwykle wraca do domu w pół do czwartej, więc będzie mogła ci pomóc.

Meredith zmarszczyła czoło i surowo spojrzała na pasierbicę.

- Ależ ona jest bardzo zajęta. Dasz sobie ze wszystkim radę, kochanie? Miałaś przecież zostawać po szkole z małym Thompsonem.

- Znajdę jakoś czas, są zresztą weekendy - spokojnie wyjaśniła Rebeka, ale Austin poczuł, że nadciąga kolejne nieporozumienie rodzinne.

- Byłbym bardzo wdzięczny za pomoc - powiedział szybko - ale zwykle pracuję sam. Tak jest lepiej.

Mógłby przysiąc, że dostrzegł w jej oczach rozczarowanie.

- Gdybyś zmienił zdanie, zadzwoń - szepnęła.

Wiedząc, że tego nie zrobi, uśmiechnął się uprzejmie.

- Dziękuję, będę pamiętał.

Nie zamierzał do niej telefonować. Nie chciał komplikować sobie życia. Przez kilka kolejnych dni myślał jednak o niej bez przerwy i jego prywatne śledztwo bardzo na tym cierpiało. Przesłuchał około dwudziestu osób z listy gości i ani na krok nie posunął się do przodu. Nikt nic nie widział, nikt nikogo nie podejrzewał, a wszystkie informacje dotyczyły starych zadawnionych resentymentów, tyle wartych co nic.

Ale przecież ktoś strzelał, ktoś chciał go zabić: Joe musi mieć choć jednego śmiertelnego wroga!

Na bankiecie było trzysta osób i nikt nic nie widział. A przecież niektóre osoby stały tuż obok! Ktoś tu kłamie, i robi to genialnie. Tylko kto?

Zadzwoń do Rebeki, odezwał się wewnętrzny głos.

Należy do rodziny, ale ma do niej dystans. Na pewno jest obiektywna; przecież sama proponowała ci pomoc.

Zacisnął dłonie na kierownicy wynajętego samochodu, próbując stłumić natrętny głos. Nie zadzwoni do niej; wystarczy, że stale ma przed oczami jej nieśmiały uśmiech. Musi dbać o swój wewnętrzny spokój.

Jego ręka sama sięgnęła po komórkę.

- Rebeko, mówi Austin McGrath.

Zaskoczona i zmieszana oparła się o kuchenny blat.

- Witaj, Austin. Jak się masz?

Nie było wyjścia; musiał brnąć dalej.

- Średnio. Nie mogę ruszyć z miejsca. Mógłbym na chwilę wpaść i porozmawiać?

- Teraz?

- Jeśli można...

- Oczywiście, zaraz podam ci adres.

Opanowała przyspieszone bicie serca wywołane brzmieniem jego głosu. Nic jej nie grozi. Taki mężczyzna jak Austin nie przychodzi do niej, bo go zainteresowała jako kobieta. Przychodzi, żeby mu pomogła w śledztwie. Słyszała o nim wiele, wie, jakim jest typem. Od tragicznej śmierci żony i dziecka stale ma przygody z kobietami i żadnej z nich nie potraktował dotąd poważnie. Zresztą ona nic mu nie może dać...

Poczuła ból i nadzieję, że może kiedyś jej stosunek do mężczyzn ulegnie zmianie.

Dlaczego nie jest taka jak inne kobiety? Dlaczego nigdy nie poczuła się bezpieczna w ramionach żadnego mężczyzny?

Znała odpowiedź na te pytania. Wszystkiemu wi-

nien jest uraz z dzieciństwa. Ojca nie znała, a jej matka była alkoholiczką. Przyprawiała do domu mężczyzn i kiedyś jeden z nich, Frank, rzucił się na Rebeke. Przerażona uciekła z domu i przez pół roku mieszkała na ulicy. Wpadła z deszczu pod rynnę. Kiedyś, gdy nocowała w przytułku, omal nie została zgwałcona. Długie lata terapii nic jej nie pomogły i nadal panicznie bała się mężczyzn.

Po studiach postanowiła zostać nauczycielką i zająć się dziećmi mającymi trudności w nauce. Chciała jakoś ułożyć sobie życie i przełamać się. Jednak po kilku nieudanych próbach zbliżenia się do mężczyzny, zrezygnowała, godząc się z losem.

A teraz zjawił się Austin i z przerażeniem stwierdziła, że zawładnął wszystkimi jej myślami. Przecież on tylko chce, żebym mu pomogła w śledztwie, przekonywała samą siebie. Muszę się opanować, nie mogę się ośmieszyć!

Nerwowo poprawiła poduszki na kanapie i ogarnęła wzrokiem salon. Dźwięk dzwonka sprawił, że niemal się zachwiała.

Czuła się jak nastolatka przed pierwszą randką. Nogi się pod nią uginały, serce waliło jak szalone; podeszła do drzwi i otworzyła je... z miłym, spokojnym wyrazem twarzy.

- Witaj.

- Przepraszam za najście - zaczął zdyszany głosem, jakby biegł - ale potrzebuję twojej pomocy.

Wskazała mu miejsce na kanapie, a sama usiadła w swoim ulubionym fotelu.

- Podejrzewasz już kogoś konkretnego? - zapytała.

- Żadnych poszlak - odparł zrezygnowanym głosem. - Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Dowiedziałem się tylko, że Joe co prawda nie ma wrogów, ale tu i ówdzie nadepnał komuś na odcisk. Chciałbym z tobą przejrzeć kilka nazwisk.

- Spróbuję ci jakoś pomóc.

Był bardzo poważny. Widać było, że myśli tylko o śledztwie, i poczuła się jak idiotka.

- Gdybyś mi mogła pokrótce opisać wasze stosunki rodzinne - zaproponował Austin - i powiedzieć, kto może mieć coś wujowi za złe albo kto ma ochotę na jego pieniądze, i tak dalej, to byłbym ci wielce zobowiązany. Nasza rozmowa jest oczywiście ściśle konfidencyjna i żadne twoje słowo nie wyjdzie poza ten pokój.

Rebeka zamyśliła się.

- Zaczniemy od Meredith - odezwała się po chwili.

- Czasem się kłócą, ale tylko o takie drobne nieważne sprawy. Ona chce stale urządzić przyjęcia, a Joe woli po pracy ciszę i spokój.

Austin uniósł brwi.

- Pamiętam z dzieciństwa, że ona też zawsze wołała życie rodzinne niż światowe. Kiedy to się zmieniło?

- Dokładnie nie wiem. Kiedy urodziła chłopców, poświęcała im każdą wolną chwilę, a potem, kiedy poszli do szkoły, zaczęła mieć więcej czasu i rzuciła się w wir życia towarzyskiego.

- A jak ich małżeństwo? Wszystko w porządku?

- Raczej tak - odparła z wahaniem. - Nie są już

tak w sobie zakochani jak dawniej, ale widocznie z czasem to się zmienia. Meredith po wypadku nigdy już nie była taka jak przedtem.

Wiedział, co Rebeka ma na myśli. Coś niecoś już o tym słyszał. Dziewięć lat temu Meredith miała wypadek samochodowy. Wpadł na nią pijany kierowca, gdy jechała z Emily do jej prawdziwej babki. Meredith przeżyła ogromny szok i bardzo się zmieniła.

- Nigdy tak naprawdę nie przyszała do siebie, co?
- zapytał łagodnie.

Rebeka skinęła głową.

- Stała się bardziej sztywna i niedostępna. Pewnie zawsze tak jest, jak człowiek otrze się o śmierć.

Nie przytaknął, tylko zadał następne pytanie.

- A jak stosunki Joego z dziećmi? Czy w przeszłości były jakieś zatargi? Jakies nieporozumienia, mogące z czasem zamienić się w nienawiść?

Tym razem odpowiedziała bez zastanowienia:

- Joe zawsze miał świetny stosunek do dzieci. Nigdy nie zapomniał o żadnym meczu Randona i bardzo dbał o dziewczynki. Drake... - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa - Drake nigdy nie zapomniał śmierci Michaela. Nie miałam brata i nie wiem, co to znaczy stracić go, zwłaszcza brata bliźniaka. Drake żyje samotnie, ale nie sędzę, żeby miał coś przeciwko Joemu. Po prostu jest odludkiem.

Zerknęła na Austina i dodała zawstydzona:

- Wiem, że niewiele ci pomogłam, ale naprawdę nie podejrzewam nikogo z rodziny. Joe nieraz może człowieka denerwować, ale ta rodzina jest bardzo zży-

ta. Ktoś, z kim Joe pracuje, powiedziała by ci może więcej. Rozmawiałeś już z Grahamem albo z Emmettem? Dać ci ich numery telefonów?

Austin pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. Już do nich dzwoniłem. Mamy się spotkać jutro.

Brat Joego, Graham, i jego kumpel z wojska, Emmett, pracowali w koncernie Coltonów od lat i znali wszystkie afery. Może naprowadzą go na jakiś ślad?

Rebeka uśmiechnęła się przepraszająco.

- Rozmowa ze mną nic nowego nie wniosła do twojego śledztwa. Straciłeś tylko czas.

Nic bardziej dalekiego od prawdy. Był szczęśliwy, że mógł z nią rozmawiać i patrzeć na nią. Na jej nieśmiały uśmiech, w jej szczere oczy, słyszeć jej cichy głos.

- Jestem ci wdzięczny za to spotkanie - powiedział. - Dawno nie widziałem tej części rodziny i właściwie nic o nich nie wiedziałem. Bardzo mi pomogłaś.

Nie pozostawało mu nic innego, jak jej podziękować i odejść. Miał wielką ochotę zaprosić ją na kolację, ale tego nie zrobił. Może gdyby Rebeka jakoś dała mu do zrozumienia, że chce się jeszcze z nim spotkać...

Lecz nie zrobiła tego i Austin wyszedł bez słowa.

ROZDZIAŁ DRUGI

Austin już nie zadzwoni.

Rebeka leżała w łóżku, patrząc w sufit. Powiedziała mu wszystko, co wiedziała, i na tym koniec. Zrobiła, co mogła, by mu pomóc, i jej rola się skończyła. Nie ma powodu, żeby się znowu do niej odezwał.

Powinna się cieszyć, że nic jej nie grozi i może niczego się nie obawiać. A jednak wcale się nie cieszyła: czuła się rozpaczliwie samotna.

Czy zawsze tak będzie? Czy kiedyś będzie miała męża i dzieci? Czy kiedyś dowie się, co to znaczy kochać i być kochaną? Wiedziała, że odpowiedź zależy od tego, czy potrafi przezwyciężyć strach, który sprawia, że panicznie się boi dotyku mężczyzny.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Kiedy wprowadziła się do Coltonów, tak bardzo bała się ludzi, że nie mogła nawet usiąść do wspólnego posiłku. Potem, po długotrwałej terapii, doszła do stanu, w którym mogła przebywać nie tylko z Meredith i Joem, ale również w towarzystwie ich licznej rodziny. Zaczęła nawet umawiać się na randki. Jednak gdy dochodziło do zbliżenia, uciekała ogarnięta panicznym lękiem.

Zupełnie jakby stał przed nią mur.

Następnego ranka zbudziła się z powiekami spuch-

niętymi od płaczu. Właściwie powinna zadzwonić do szkoły i powiedzieć, że jest chora, lecz postanowiła pójść do pracy. Z jękiem podniosła się z łóżka.

Tego dnia wszystko było nie tak. Najpierw nie mogła znaleźć paska od sukienki, potem nowe pantofle okazały się niewygodne, gdzieś zgubiła klucze, a po drodze do szkoły musiała jeszcze kupić benzynę. W rezultacie dotarła do szkoły pięć po ósmej i w oczach dyrektora, Richarda Fostera, dostrzegła naganę.

- Spóźniłaś się - oświadczył ostrym głosem.

Spuściła głowę i zaczęła się tłumaczyć:

- Wiem, bardzo przepraszam. Miałam straszny ranek...

Dyrektor nie pozwolił jej dokończyć.

- Jesteś tu po to, żeby dawać przykład innym - fuknął, rzucając jej lodowate spojrzenie zza okularów.

- Jak możesz wymagać czegoś od uczniów, skoro sama zachowujesz się nieodpowiednio?

Teoretycznie miał rację, ale w początkowych klasach zwykle nie przestrzegano tak surowo dyscypliny.

Richard nigdy się tak nie zachowywał i już miała go zapytać, co mu się stało, kiedy sobie przypomniała, że Fosterowie właśnie się rozwodzą. Biedny Richard, nic dziwnego, że dziś jest nie w humorze. Rebeka przyjaźniła się z nim i jego żoną, Sylwią, i nie mogła pogodzić się z faktem, że ich małżeństwo się rozpada. Wydawali się tacy dobrani...

- To się już nie powtórzy - obiecała. - Postaram się zawsze przychodzić punktualnie.

Richard nie docenił jej dobrej woli.

- Zobaczmy - mruknął pod nosem. - Obiecanki cacanki.

Ton jego głosu bardzo ją zabolął. Zaczerwieniła się i szybkim krokiem schroniła się w klasie.

Zła passa trwała przez cały dzień. W dzieci jakby wstąpił zły duch, a w czasie lunchu Rebeka była już kompletnie wykończona. Myliła się jednak, sądząc, że gorzej już być nie może. Zaraz na pierwszej lekcji po południu rozległ się przeraźliwy krzyk Tabithy Long.

- Proszę pani, Hughie ma pistolet!

Rebeka z przerażeniem spojrzała na rudowłosego urwisa, celującego czymś czarnym w koleżankę.

- Oddaj to, Hughie!

- To tylko zabawka! - wykrzyknął malec, machając ku niej drewnianym straszakiem. - Tylko się bawiłem!

Rebeka bez słowa wyciągnęła rękę. Powłócząc nogami, chłopiec podszedł do niej i niechętnie wręczył jej czarny przedmiot.

- Ona pokazywała mi język - poskarżył się przy tym.

Rebeka wiedziała, że Tabitha bywa nieznośna i wszystkim dokucza, ale to w niczym nie usprawiedliwiało zachowania chłopca. Przynoszenie do szkoły tego rodzaju zabawek było surowo zakazane.

- Nie wolno grozić nikomu bronią, nawet jeśli ten ktoś nam dokucza - pouczyła chłopca.

A kiedy otworzył buzię, by zaprotestować, przerwała mu:

- Wiem, to nie jest prawdziwa broń, ale bardzo ją

przypomina i muszę to po lekcjach oddać panu dyrektorowi. A teraz ty i Tabitha usiądziecie z tyłu klasy i napiszecie, co sądzicie o swoim zachowaniu.

- Przecież ja nic złego nie zrobiłam! - Dziewczynka skrzywiła buzię w podkówkę.

- Jesteś pewna? - Rebeka spojrzała na nią poważnie. - Przemyśl to sobie.

Tabitha z rezygnacją spakowała książki i powlokła się na ostatnią ławkę. Hughie poszedł w jej ślady, a Rebeka, włożywszy pistolet do szuflady biurka, zaczęła zadawać pracę domową.

Zgodnie z regulaminem szkoły powinna zaraz po lekcjach oddać „broń” dyrektorowi i zamierzała to zrobić. Na następnej lekcji jednak rozpiętało się istne pandemonium, a na ostatniej - jedno z dzieci źle się poczuło i musiała je zaprowadzić do pielęgniarki.

Kiedy wreszcie zadzwonił dzwonek, zebrała swoje rzeczy, złapała torebkę i teczkę i pobiegła do samochodu. Była kompletnie wykończona i myślała tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć do rodzinnego rancza i pojeździć konno.

Austin posłuchał rady Rebeki i cały następny ranek poświęcił na rozmowę z Grahamem i Emmettem. Obaj znali sprawy firmy od podszewki i przedstawili mu pełną listę osób, z którymi kiedykolwiek, z jakiegokolwiek powodu, Joe w ciągu ostatnich czterdziestu lat miał na pieńku. Lista była bardzo długa i dotyczyła zupełnie nieistotnych zdarzeń. Nikt przy zdrowych

zmysłach z tak błahego powodu nie zabija człowieka na oczach trzystu świadków!

Kompletnie zdezorientowany postanowił pojechać na rancho, żeby jeszcze raz, tym razem w samotności, przyrzeć się miejscu zbrodni. Sam otworzył sobie drzwi kluczem, który otrzymał od wuja, i znalazł się w ogromnym pustym domu.

Nigdzie żywego ducha. Ani Meredith, ani Inez. Przebył rozległy, zbyt bogato urządzonej salon, i przez szklane drzwi ujrzał patio po drugiej stronie domostwa.

Kiedy tu przyjeżdżał w dzieciństwie, było to jego ulubione miejsce zabaw. Stąd rozciągał się niezwykle widok na ocean, tu wieczorem zbierała się rodzina, tu urządzano przyjęcia.

Właśnie w czasie jednego z nich ktoś skrył się w cieniu i wycelował w gospodarza. Odczekał i pociągnął za spust. Austin wyszedł na patio i zatrzymał się. Nie był sam. Stojąca tyłem do niego Meredith ostro strofowała Inez.

- Jak to nie zdążyłaś oddać mojej czerwonej sukni do pralni! Potrzebna mi jest koniecznie na jutrzejsze przyjęcie!

- Bardzo panią przepraszam, ale zupełnie zapomniałam - wyznała ze skruchą Inez.

- Nie płacę ci za zapomnienie! - krzyczała Meredith. - Jeśli nie potrafisz robić, co do ciebie należy, znajdę sobie kogoś innego na twoje miejsce!

Austin osłupiał. Pamiętał ciotkę jako osobę wspinałomyślną i wyrozumiałą; zawsze bardzo dobrze traktowała służbę. Jak mogła tak bardzo się zmienić?

Coś musiało zwrócić uwagę pani domu, bo nagle obejrzała się przez ramię.

- Austin! - zawołała. - Co za niespodzianka!

- Skorzystałem z klucza, który dał mi Joe, i wszedłem bez pukania - wyjaśnił. - Chciałbym jeszcze raz obejrzeć to patio.

W jej oczach dostrzegł dziwne złowrogie błyski i poczuł, że przebiega go dreszcz. Potem na twarzy Meredith ukazał się szeroki, sztuczny uśmiech.

- Znajdź go, znajdź go jak najszybciej. Od tamtego czasu nie mogę zmrużyć oka, bo stale myślę, że ten szalenciec gdzieś się tutaj chowa. Zrób nam kawy - ostro poleciła służącej. - Tylko ma być świeżo parzona.

Natychmiast ugryzła się w język. Popełniła błąd. Prawdziwa Meredith nigdy nie zwróciłaby się do oddanej Inez w ten sposób. O nie, jej słodka, kochana siostra bliźniaczka zawsze była uprzejma i łagodna; dlatego Patsy tak jej nienawidziła.

Na myśl, że Austin mógłby odkryć prawdę i zde-maskować ją, poczuła, jak zalewa ją fala wściekłości.

Zbladła. Nic takiego się nie stanie. Ona jest prawdziwą Meredith. Ostatnio co prawda zdarza się jej przeżywać chwile zwątpienia, ale to tylko dlatego, że dokoła wszyscy nic tylko wężą. Najpierw policja, a teraz Austin. Jeśli komuś przyjdzie do głowy wziąć odciski jej palców, cała jej przeszłość wyskoczy z policyjnego komputera jak grzanka z tosterka.

Zmrużyła oczy. Wszystko będzie dobrze, trzeba tylko wziąć lekarstwo, ale w obecności Austina nie może tego zrobić, bo gotów wszystkiego się domyślić. Musi

się opanować i bezbłędnie zagrać Meredith, swoją słodką, uprzejmą, cholerną siostrunię!

Miło uśmiechnęła się do służącej.

- Nic się nie przejmuj tą moją sukienką, włożę coś innego.

- Dobrze, proszę pani. - Inez się skłoniła. - Zaraz podam państwu kawę.

Meredith nie spojrzała na Austina; nie interesował ją wyraz jego twarzy. Była znowu sobą i potrafiła się zachować w każdej sytuacji. Meredith zawsze to umiała. Nie na darmo, jako żona senatora, bywała na najbardziej ekskluzywnych przyjęciach w Waszyngtonie i w Kalifornii. Jej siostra w tym czasie siedziała w więzieniu, oskarżona o morderstwo, a potem przez lata gniła w klinice psychiatrycznej!

Wbrew temu, co sądzili psychiatrzy, wcale nie była chora. Chciała tylko zamienić się miejscami z siostrą! Dziewięć lat temu wreszcie jej się udało! I żaden mądrała się nie zorientował!

Z czasem wszyscy uwierzyli, że po wypadku Meredith po prostu trochę się zmieniła. Austin jednak nie był na to przygotowany; widząc ciotkę po latach w nowym wcieleniu, mógł nabrać podejrzeń.

Do tego był detektywem, i to o wiele bystrzejszym niż ten cały Thaddeus Law z policji. Policjantom nawet do głowy nie przyszło, że wtedy, na przyjęciu urodzinowym, dwie osoby postanowiły uśmiercić jej męża. Tamten niewydarzony strzelec i ona, wierna żona, która dosypała mu trucizny do szampana!

Joe wypuścił kieliszek z dłoni, gdy rozległ się strzał.

Szampan wsiąkł w trawnik i wszelki ślad po truciznie zaginał.

Teraz, kiedy zjawił się Austin, ziemia pod stopami Patsy zaczęła drżeć. Austin w kilka dni rozwiązywał zagadki, nad którymi inni detektywi głowili się miesiącami. Wiedziała, że gdy odchodził z policji, sam gubernator próbował go od tego odwieść, kusząc podwyżką i awansem. Taki nie popuści, póki nie postawi kropki nad „i”.

Kiedy się dowiedziała, że Joe go sprowadził, o mało znowu nie dodała mu trucizny do drinka. Na dodatek wręczył mu klucz od domu! Dlatego Austin mógł ją zaskoczyć, kiedy używała sobie na Inez.

Grunt to nie wpadać w panikę, tylko czujnie śledzić każdy krok przeciwnika. Opadła na wiklinowy fotel i wlepiła w Austina zatrwożony wzrok małej kobietki.

- Myślisz, że tutaj nic nam nie grozi? Możemy tak sobie spokojnie chodzić po patio? Przecież morderca gdzieś tu jest.

W duchu pogratulowała sobie dobrze odegranej sceny. Nawet lekko zatrzęsała się ze strachu; zupełnie jak ta słodka kretyńka Meredith.

- Może on wynajął sobie łódź i pływa teraz po oceanie z lornetką, śledząc każdy nasz krok? - fantazjowała przestraszonym głosem.

- Dlaczego myślisz, że to mężczyzna?

Ton Austina był spokojny i opanowany. Spodziewała się usłyszeć słowa pocieszenia; nie była przygotowana na pytanie.

Zamrugnęła powiekami.

- Bo to mężczyzna.
- Widziałaś go?
- Nie, skądże! Nikogo nie widziałam.
- Stałaś obok męża - ciągnął spokojnie Austin - a kiedy padł strzał, Joe upadł na ziemię i pociągnął cię za sobą. Czy bezpośrednio przedtem niczego nie zauważyłaś? Może ktoś zwrócił twoją uwagę dziwnym zachowaniem?

Co on sobie wyobraża? Myśli, że będzie przesłuchiwał panią Colton? Szybko ugryzła się w język. Jeśli teraz straci kontrolę nad sytuacją, raz na zawsze straci wszystko. Nigdy już nie opuści domu wariatów. Za wszelką cenę musi zachować spokój.

- To stało się tak szybko... - odparła po namyśle.
- Tuż przed tym strzałem doglądałam służby, chciałam, żeby wszyscy goście dostali szampana w odpowiednim czasie. Potem, podczas toastu, patrzyłam na Joego, jak wszyscy. Nic nie widziałam.

- A może ktoś nagle zniknął z twojego pola widzenia? - nie ustępował Austin.

Jej oczy znowu niebezpiecznie rozbłyły, a potem zapadł w nich mrok.

- Nic nie widziałam - powtórzyła zmęczonym głosem. - Już ci mówiłam.

Skoro nie może mu pomóc, niech go przynajmniej zostawi samego, żeby mógł spokojnie się rozejrzeć...

Meredith nie miała jednak zamiaru odchodzić. Rozsiadła się wygodnie w fotelu, najwyraźniej pragnąc dotrzymać mu towarzystwa do końca. Jest przecież u siebie w domu.

- Z notatek, jakie sporządził Joe, wynika, że w momencie strzału oboje staliście na podium, ale nie wiem, gdzie to dokładnie było - rzekł z rezygnacją Austin.

Meredith z namysłem zmarszczyła czoło.

- Ustawiono je w rogu, po lewej stronie - oznajmiła. - Dokoła był taki tłum, że ledwo odróżniało się twarze.

- A z której strony rozległ się strzał?

Meredith dla lepszej koncentracji zmrużyła oczy.

- Trudno powiedzieć. Staliśmy w świetle reflektorów i nic nie widzieliśmy.

Zabrzmiało to bardzo prawdopodobnie i Austin westchnął.

- Tak właśnie myślałem.

Potencjalny zabójca nie był taki głupi. Wybrał doskonały moment. Odczekał, aż zapadnie zmrok, a patio wypełni się gośćmi. Potem nadszedł czas toastu i oczy wszystkich zwróciły się na oświetlone podium. Mógł spokojnie oddać strzał i z powrotem wtopić się w mrok. Potem skorzystał z zamętu, zmieszał się z tłumem i nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi.

- Ktokolwiek to zrobił - odezwał się po chwili - nie znamy jego pobudek. Joe nie jest człowiekiem wywołującym u bliźnich uczucie agresji. Trudno mi sobie wyobrazić kogoś, kto go śmiertelnie nienawidzi.

Meredith nie zaprzeczyła wprost.

- Szaleńców nie brakuje - przytaknęła. - Joe jest bardzo naiwny i sądzi, że wszyscy go lubią. A przecież nie można wykluczyć, że któreś z biologicznych rodziców naszych przybranych dzieci ma mu za złe fakt

adopcji i chce się zemścić. Może poszukiwania powinny pójść w tym kierunku.

To mu akurat nie przyszło do głowy, ale nie można lekceważyć żadnego śladu. Austin wyciągnął listę gości.

- Mogłabyś mi wskazać nazwiska osób z rodzin waszych adoptowanych dzieci? - poprosił.

Patsy, zachwycona tym, że złapał przynętę, gorliwie wskazała mu kilka nazwisk.

Wiedziała, że prędzej czy później Austin od kogoś się dowie, że jej stosunki z mężem ostatnio bardzo się pogorszyły, i zechce się dowiedzieć, dlaczego tak się stało. Zacznie wtedy zadawać pytania i będzie się musiała bardzo pilnować, żeby nie wypaść z roli.

Stawka jest zbyt duża. Jeśli prawda wyjdzie na jaw, wsadzą ją do więzienia i odbiorą jej dzieci. A przecież chłopcy są jej i tylko jej! Joe Junior nie ma w sobie ani kropli krwi Coltonów, a Teddy jest wynikiem krótkiego zbliżenia z bratem Joego, Grahamem, do którego doszło w łazience gościnnego apartamentu podczas pewnego przyjęcia.

Omial wtedy nie wpadła: nie ryzykowałaby przecież ciąży, gdyby wiedziała, że jej mąż jest bezpłodny! Teraz niczego nie żałowała; miała swoje dzieci, swoich cudownych chłopców!

Jej rozmyślania przerwało nagłe pojawienie się pa-sierbicy.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Nie wiedziałam, że tu jesteście. Idę właśnie do stajni - wyjaśniła zmieszana Rebeka.

Sam los zesłał jej takiego sprzymierzeńca! Patsy uśmiechnęła się promiennie.

- Chcesz sobie pojeździć? Koniecznie zabierz ze sobą Austina. Dawno tu nie był i pewnie już zapomniał, jak wspaniałe mamy konie.

Rebeka milczała, więc Patsy zwróciła się bezpośrednio do gościa:

- Co ty na to? Przejażdżka na pewno dobrze ci zrobi.

- Byłoby rzeczywiście miło... - bąknęła Rebeka.

W takiej sytuacji Austin nie bardzo mógł odmówić.

- Może powinienem się przewietrzyć - odrzekł bez przekonania.

Patsy obrzuciła ich macierzyńskim spojrzeniem.

- W takim razie nie traćcie czasu. Idźcie i bawcie się dobrze.

Poszli w stronę stajni jak skazańcy, przez dłuższą chwilę nie odzywając się do siebie ani słowem. W końcu Rebeka przerwała dręczącą ciszę.

- Strasznie mi przykro, że to tak wyszło, ale jak Meredith coś sobie wbije do głowy... Pewnie wolałaś spokojnie popracować, prawda?

- Tak naprawdę - odparł szczerze - to zawahałem się, żeby ci się nie narzucać. Jeśli wolisz pojeździć sama, powiedz, wcale się nie obrażę.

Weszli właśnie do stajni. Rebeka stanowczo pokręciła głową.

- Ależ ja mam ochotę na towarzystwo. Mam za sobą bardzo ciężki dzień i chcę o nim jak najszybciej zapomnieć.

- To chyba da się zrobić.

Austin uśmiechnął się łobuzersko, zarzucił siodło na koński grzbiet, błyskawicznie wsunął stopę w strzemię, wskoczył na konia i zanim Rebeka zdążyła się zorientować, wypadał już ze stajni.

- Goń mnie!

Szybko osiodłała swoją ulubioną klaczkę i pomknęła za nim jak strzała. Szybko go dopadła i mknęli dalej razem galopem przez łąki i las. Dawno już nie czuła się tak cudownie. Pęd dodawał jej siły, wiatr rumienił policzki, myśl o niebezpieczeństwie wywietrzała jej z głowy i Rebeka, po raz pierwszy od bardzo dawna, upajała się chwilą.

To nic, że Austin niedługo opuści Kalifornię i wróci do Portland. Nie obchodzi jej, co będzie za tydzień czy za miesiąc, teraźniejszość jest cudowna i trzeba się nią nacieszyć. Miała ochotę płakać i śmiać się ze szczęścia.

- Ale fajnie! - Zwróciła ku niemu roześmianą twarz i mrugnęła okiem. - Chodź, pokażę ci moje ulubione miejsce.

Zboczyła z drogi i zawiodła go na piaszczystą plażę, tam, gdzie przed wielu laty zaprowadziła ją Meredith. Było to wkrótce po tym, jak Rebeka wprowadziła się do domu Coltonów i czuła się bardzo samotna i oszołomiona ich niespodziewaną serdecznością.

Meredith zaprowadziła ją na pustą plażę. Wokół były tylko fale i krzyk mew. Poczwała wtedy, jak na jej duszę spływa spokój i ukojenie. Przymknęła oczy i zaczęła powoli budzić się do nowego życia...

Potem, kiedy było jej źle, zawsze tak samo przy-
mykała oczy i przywoływała szum oceanu i krzyk
mew. Wtedy napływał spokój.

Teraz zatrzymała się tuż na linii wody i obejrzała
się na Austina.

- Pięknie tu, prawda? Dawniej robiłyśmy sobie
z Meredith piknik na plaży.

W jej głosie zabrzmiał żal.

- A teraz? Teraz już nie? - zapytał cicho Austin.

Rebeka zmieszała się.

- Meredith jest wspaniała. Zawsze ją podziwiałam
za stosunek do przybranych dzieci i za wszystko, ale
ona jest teraz bardzo zajęta. Od wypadku nie ma już
czasu na pikniki.

Patrzył na nią wyczekująco i Rebeka dodała:

- Całkowicie poświęciła się chłopcom. Najpierw
urodził się mały Joe, potem Teddy... Później, kiedy
poszli do szkoły, rzuciła się w wir światowego życia.

I nie ma już dla mnie czasu, dopowiedziała sobie
w myślach. Bardzo nad tym bolała, ale starała się zro-
zumieć macochę: wszystkiemu winien szok powypad-
kowy.

Posmutniała i w drodze powrotnej wiele nie mó-
wiła. Gdy wrócili, na patio podano właśnie do stołu.
Na kolacji byli goście i Rebeka poczuła się źle w stroju
do konnej jazdy. Dlaczego Meredith zawsze musi ko-
goś zapraszać? Dawniej jadal kolacje w wielkiej ku-
chni, wszyscy razem, i bardzo lubiła te rodzinne po-
siedzenia.

Teraz wszystko się zmieniło. Gdyby nie obecność

Austina, Rebeka wymówiłaby się pracą i umknęłaby do siebie, ale tak bardzo nie chciała się z nim rozstać. .. Zresztą jeden rzut oka na Austina wystarczył, by zrozumieć, że jego również nie bawi perspektywa kolacji w towarzystwie kongresmana i słynnego filmowca. Postanowiła podtrzymać go na duchu.

Kolacja wcale nie okazała się koszmarem. Joe, zadłolony i rozluźniony, był w swoim żywiole i Rebeka z radością słuchała jego dykteryjek i ciętych ripost. Nie widziała go w tak dobrej formie od czasu niefortunnego przyjęcia urodzinowego.

Meredith z godnością sprawowała funkcję pani domu i dopiero pod koniec kolacji skierowała rozmowę na wiadomy temat.

- Jak ci idzie śledztwo? - zwróciła się do Austina modulowanym głosem. - Czy już kogoś podejrzewasz?

Zapadła krępująca cisza. Austin przełknął ślinę. Wszyscy czekali na jego słowa i w końcu musiał zabrać głos.

- Na razie nic nie mogę powiedzieć, jest jeszcze za wcześnie - oświadczył.

Gospodyni spojrzała na niego zachęcająco.

- Na pewno trafiłeś już na jakiś ślad. Przez cały tydzień rozmawiałeś z ludźmi.

- To nie są proste sprawy... - Austin próbował jakoś zyskać na czasie, czekając aż ktoś przyjdzie mu w sukurs.

Joe stanął na wysokości zadania.

- Dość tego, Meredith - powiedział surowym to-

nem, rzucając żonie rozkazujące spojrzenie. - Nie wiem, jak państwa, ale mnie wcale nie bawi rozmowa na ten temat podczas kolacji w gronie rodziny i przyjaciół. To źle wpływa na trawienie.

Patsy zacisnęła usta. Jak on śmie tak ją traktować przy gościach! Pani Colton może wypowiadać się na każdy temat, kiedy zechce, i nikt nie ma prawa jej przerywać!

Spojrzała na męża z góry.

- Myślałam, kochanie - oświadczyła wyniośle - że chcesz wiedzieć, kto jest twoim wrogiem. Ale jeśli wolisz żyć w świecie złudzeń, to twoja sprawa. Tylko żebyś potem się nie skarżył.

Wewnętrzny cenzor w porę kazał jej się opanować i przerwać tę tyradę. Joe swoją głupotą potrafił doprowadzić ją do szału. Nie miała pojęcia, co jej nieszczęsna siostra w nim widziała. Ona widziała w nim tylko pieniądze, wielkie, oszałamiające pieniądze, otwierające przed nią świat. Dla takiej fortuny można znieść niejedno. Nawet życie u boku Joego Coltona.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Na szczęście ktoś próbował go zabić; nie tylko ona jedna wpadła na ten pomysł. Tym razem się nie udało, ale może ten ktoś spróbuje znowu, i będzie miał więcej szczęścia. A wtedy wszystkie pieniądze przypadną niepokieszzonej wdowie: pani Meredith Colton.

ROZDZIAŁ TRZECI

Koszmary sen zjawił się niespodzianie jak złodziej i zaskoczył ją. Louise Smith obudziła się z krzykiem i przerażona usiadła na łóżku. Straszne obrazy napływały falą z głębi podświadomości i przez dłuższą chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Potem z wolna odzyskała przytomność: znajdowała się w swoim skromnym domku w Jackson, w stanie Missisipi.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Mimo ciepłej letniej nocy ciało przeszedł dreszcz. Louise zapatrzyła się w ciemność i zaczęła się kiwać. Od pewnego czasu koszarne sny pojawiały się coraz częściej. Nigdy jej nie opuściły od chwili, kiedy ocknęła się w klinice psychiatrycznej, nie mając pojęcia, kim jest i skąd się tam wzięła, ale dawno już nie były tak przerażające.

Zawsze powtarzała się w nich ta sama scena: z ciemności dobiega ją przeraźliwy krzyk małej dziewczynki, wzywającej na pomoc matkę.

- Mamo! Mamusiu!

Tą matką jest ona. Nazywa się Patsy Portman, ma za sobą kryminalną przeszłość i długotrwały pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Miała kiedyś dziecko, ale straciła je wkrótce po urodzeniu.

Gdy psychiatrzy jej to powiedzieli, pomyślała, że

to musi być pomyłka. Ona nie jest potworem, chodzi pewnie o kogoś innego. Może mieć amnezję, ale na pewno nie zabiła człowieka! Wtedy pokazali jej dokumenty, z których niezbitcie wynikało, że odsiadywała wyrok za zabójstwo.

Przerażona postanowiła zerwać z przeszłością. Wyjechała do Missisipi, zmieniła imię i nazwisko i zaczęła szukać pracy. Nie było to łatwe, wzięwszy pod uwagę, że nic nie umiała. W końcu jakoś zaczęła się na uniwersytecie i po kilku latach ciężkiej pracy doszła do stanowiska kierowniczkki działu personalnego.

Była dumna ze swoich osiągnięć, ale w dalszym ciągu nie mogła odzyskać pamięci. Udręczona tym faktem i powtarzającymi się koszmarami, zwróciła się do doktor Marthy Wilkes, specjalistki od zaników pamięci. W krótkim czasie zaczęła robić postępy, ale wkrótce pojawiły się ciężkie migreny, a natężenie koszmarów sennych stało się nie do wytrzymania.

Martha uważała, że ich treść odnosi się do wydarzeń z przeszłości i Louise gubiła się w domysłach. Coś wyjątkowo, potwornego musiało się kryć w jej przeszłości, skoro jej świadomość tak uporczywie to odrzucała. Ale co to mogło być? Wiedziała, że zamordowała człowieka i pozwoliła sobie odebrać dziecko. Cóż jeszcze gorszego zrobiła?

Wśliznęła się pod kołdrę i zacisnęła powieki. Z pomocą Marthy da sobie radę. Dowie się, co ją dręczy i stawi temu czoło. Jeśli się na to nie odważy, zginie, a przecież nie pozwoli się zniszczyć.

Pętla koszmaru ponownie zaczęła się zaciskać wo-

kół niej i Louise szeroko otworzyła oczy. Leżała tak aż do świtu, bojąc się ześliznąć w sen, gdzie kłębiły się żmije.

Rebeka obudziła się z radością w sercu i doskonale wiedziała, komu to zawdzięcza. Dawno tak świetnie się nie bawiła. Najpierw ta cudowna jazda konna, a potem kolacja w gronie rodziny i przyjaciół. Żadnego przymusu, najmniejszych obaw. Obcowanie z Austinem było łatwe i przyjemne i miała nawet nadzieję, że na pożegnanie pocałuje ją w policzek.

Gdy tego nie zrobił, próbowała nie dopuścić do siebie uczucia rozczarowania. Tak nawet jest lepiej. Są po prostu przyjaciółmi i to jej wystarczy.

Wstała podśpiewując, i włożyła swoją ulubioną sukienkę z białego płótna. Na nogi wsunęła białe sandały, na włosy - opaskę. Lekko się umalowała i skropiła perfumami; odbicie w lustrze powiedziało jej, że jest prześliczna.

Coś dobrego unosiło się w powietrzu i nawet jej zwykle niesforni uczniowie tego dnia zachowywali się wzorowo.

Potem nagle ktoś zapukał do drzwi klasy i w progu stanęła Mildred Henderson, szkolna sekretarka.

- Pan dyrektor prosi cię do siebie - powiedziała cichym głosem.

Rebeka bardzo się zdziwiła.

- Teraz, w środku lekcji?

- Tak. - Sekretarka, starsza nobliwa pani, wyraźnie się zmieszała. - Nie wiem, o co mu chodzi, ale jest

strasznie zdenerwowany. Prosił, żebyś przysłała zaraz. Zostanę z twoimi uczniami.

- Już idę. - Rebeka zerwała się i szybkim krokiem poszła w stronę gabinetu dyrektora.

Skoro sprawa jest nie cierpiąca zwłoki, musiało się stać coś niedobrego. Może jakieś nieszczęście spotkało kogoś z rodziny? Może Joe jest ranny? Może nie żyje?

Zapukała i nie czekając na zaproszenie, wtargnęła do gabinetu, biała jak ściana.

- Co się stało? - spytała bez tchu.

Richard Foster czytał gazety i oglądał telewizję, toteż wiedział, co zaszło na przyjęciu w jej rodzinnym domu.

- Z twoją rodziną wszystko w porządku - oświadczył chłodno. - Chodzi o sprawy służbowe.

Dopiero wtedy spostrzegła, że nie są w gabinecie sami. Przy boku wielkiego dębowego biurka dyrektora stał wysoki blondyn i patrzył na nią z niechęcią.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała. - Nie wiedziałam...

Richard przerwał jej bezceremonialnie.

- To jest pan Bishop. Uczysz jego syna, Hughiego. Rebeka uśmiechnęła się.

- Miło mi pana poznać. Wielokrotnie rozmawiałam z pańską żoną na zebraniach.

Chciała wyciągnąć do niego rękę, ale powstrzymała ją wzrokiem. Zawahała się.

- Jak rozumiem, chodzi o pańskiego syna - dodała. - Czy coś się stało?

- Owszem - odezwał się dyrektor nieprzyjaznym

tonem. - I ty sama nam powiesz co. Czy wczoraj odebrałaś temu chłopcu pistolet zabawkę?

Zupełnie wyleciało jej to z głowy.

- Tak - odparła pośpiesznie. - Hughie straszył wczoraj koleżankę drewnianym pistoletem i zabrałam mu go. Wiem, że powinnam była zaraz go przynieść do gabinetu, ale miałam bardzo ciężki dzień i kompletnie zapomniałam.

Mina pana Bishopa nie uległa zmianie.

- Proszę mi go oddać - wycedził.

Regulamin szkoły mówił wyraźnie, że w takich przypadkach zarekwirowanego przedmiotu nigdy nie oddaje się z powrotem uczniowi ani jego rodzinie. Rebeka wyczekująco spojrzała na dyrektora, ale w jego niebieskostatowych oczach dostrzegła tylko gniew.

- Słyszałaś, o co pan prosił - syknął Richard.

- Ale to jest niezgodne z regulaminem - wyjąkała zdumiona.

Gniew w oczach dyrektora zamienił się we wściekłość.

- Nie dyskutuj. Rób, co ci każą.

Richard nigdy dotąd tak się nie zachowywał. Poczuli się upokorzona. Wiedziała, że ma rację i dyrektor też to wiedział. Zachowała się prawidłowo, odbierając chłopcu broń, i nikt nie miał prawa jej za to ganić, zwłaszcza w taki sposób. O co mu właściwie chodzi?

Już miała zaprotestować, kiedy nagle sobie przypomniała o rozwodzie Fosterów i postanowiła ustąpić. Richard przechodzi trudne chwile i widocznie nie daje sobie ze sobą rady.

- Zaraz przyniosę - mruknęła i wyszła z gabinetu dyrektora.

Czuła się strasznie, ale wróciła do klasy z wysoko podniesioną głową.

- Zostań przez chwilę z dziećmi, jeśli możesz - poprosiła panią Henderson. - Jeszcze nie skończyłam.

- Nie śpiesz się. Zostanę z nimi, jak długo będzie trzeba.

Miała ochotę kazać tamtym dwóm na siebie czekać, ale poczucie obowiązku jej na to nie pozwoliło. Przyjaźniła się z Richardem, ale na terenie szkoły był jej przełożonym i musiała wykonywać jego polecenia. Wyjęła pistolet z szuflady i skierowała się do gabinetu dyrektora.

Pan Bishop nie był zadowolony z tempa, w jakim to zrobiła.

- Niezbyt się pani pośpieszyła - oświadczył złym głosem. - Zawsze jest pani taka powolna? Nic dziwnego, że dzieciak niczego się nie uczy.

Tym razem była pewna, że Richard wystąpi w jej obronie. Przecież podobny zarzut powinien go urazić jako kierownika placówki, w której pracowała.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Stało się nawet przeciwnie.

- Bardzo pana przepraszamy za cały ten incydent. - Richard przymilnie uśmiechnął się do antypatycznego rodzica. - Obiecuję, że to się już nie powtórzy.

- Mam nadzieję - burknął ten ostatni i bez pożegnania skierował się ku wyjściu.

Rebeka nie wierzyła własnym oczom. Trzaśnięcie

drzwiami w wykonaniu pana Bishopa powitała z uczuciem ulgi.

Teraz Richard na pewno wyjaśni jej powody swojego dziwnego zachowania. Może nawet ją przeprosi...

- Co powiesz na swoje usprawiedliwienie? - usłyszała zamiast tego.

Ośłupiała. To nie może dzieć się naprawdę! Ona ma się usprawiedliwiać? Przecież nie zrobiła nic złego.

- Słucham? - zapytała słabym głosem.

- Chętnie powtórzę jeszcze raz - syknął dyrektor.

- Dlaczego postępujesz wbrew regulaminowi szkoły?

- Ja? - wyjąkała zdumiona. - Nie złamałam żadnego punktu regulaminu. Odebrałam uczniowi niebezpieczną zabawkę i schowałam ją. To ty złamałeś regulamin, każąc mi ją oddać ojcu dziecka.

Zrobił taką minę, jakby chciał ją uderzyć.

- Zrobiłem to, bo nie miałem innego wyjścia po tym, jak się zachowałeś. Nie oddałeś mi tej cholernej zabawki, więc musiałem mu ją zwrócić.

To wszystko nie trzymało się kupy.

- Przecież to nie ma najmniejszego sensu - oświadczyła.

W końcu wyprowadziła go z równowagi.

- Nie mam zamiaru z niczego ci się tłumaczyć! - wrzasnął. - Jestem tu dyrektorem i mogę robić, co mi się podoba! Ostrzegam cię, jeszcze jedna taka wpadka i możesz sobie szukać innej pracy! Zrozumiałaś?

Nic nie zrozumiała. W dalszym ciągu nie miała pojęcia, dlaczego odebranie dziecku pistoletu było czymś nagannym, a Richard zachował się prawidłowo,

oddając ten pistolet ojcu dziecka. Kręciło jej się w głowie od jego wrzasku i postanowiła zakończyć tę scenę.

- W takim razie - powiedziała, opanowując się ostatkiem woli - wrócę teraz do klasy.

Purpurowy z wściekłości Richard skinął głową, i Rebeka wyszła na korytarz. Czuła, że pieką ją policzki, a w oczach zbierają się łzy. Próbowwała go zrozumieć: Richard rozwodzi się z żoną. Człowiek w takiej sytuacji przestaje być sobą; kiedy wszystko się skończy, Richard znowu stanie się taki jak dawniej. Musi tylko być cierpliwa... i modlić się, żeby stało się tak jak najszybciej.

Członkowie rodziny i przyjaciele obecni na feralnym przyjęciu w niczym mu nie pomogli i Austin postanowił pójść zupełnie innym śladem, to znaczy zwrócić się do osób uczestniczących w urodzinowej fecie w odmiennym charakterze.

Może dostawcy, kelnerzy, dekoratorzy i ochroniarze - jako bardziej obiektywni i spostrzegawczy - okażą się bardziej użyteczni w prowadzonym przez niego śledztwie.

Uzbrojony w odpowiednią listę, udał się do właściciela firmy kateringowej, Johna Robertsa, i ze zdumieniem spostrzegł, że nikt z nim nie chce rozmawiać. Dopiero potem zrozumiał, dlaczego tak jest. Opinia firmy organizującej przyjęcia w dużej mierze zależy od dyskrecji zatrudnionych w niej osób. Ktoś, kto detektywowi dostarcza informacji o prywatnym życiu swoich klientów, może pożegnać się z pracą.

John Roberts doskonale znał tę zasadę. Kiedy Austin wyjaśnił mu, o co mu chodzi, popatrzył na niego chłodno.

- Policjanci już ze mną rozmawiali, nie mam nic więcej do dodania. Ani ja, ani moi pracownicy niczego nie widzieliśmy.

- Rozumiem. - Austin skinął głową. - Mimo to chciałbym porozmawiać z pańskimi pracownikami, którzy byli wtedy na przyjęciu. Może komuś coś się przypomniało.

John Roberts nie zamierzał ustępować.

- Moi pracownicy niczego nie widzieli, bo czuwali tylko nad tym, żeby dobrze wykonać swoją pracę. Traci pan niepotrzebnie czas.

Przeciągnął strunę i Austin postanowił mu to uświadomić.

- To pan traci mój czas. Ma pan coś do ukrycia? Dlatego utrudnia mi pan kontakt z pracownikami? Boi się pan, że czegoś się dowiem?

- Ależ skądże!

- Skąd zatem ten upór?

John Roberts podkulił ogon i stał się bardziej skłonny do współpracy.

- Może pan z nimi pogadać. Na stałe nie zatrudniam zbyt wielu osób. W razie potrzeby angażuję ludzi na zlecenia.

- Ale chyba ma pan ich adresy?

- Mam.

Niechętnie wyciągnął spis nazwisk i podał go Austinowi.

- Policja wszystkich już przesłuchała zaraz po wypadku - podkreślił.

Austin doskonale o tym wiedział, ale jako doświadczony policjant zdawał sobie również sprawę, że bezpośrednio po sensacyjnym wydarzeniu ludzie nie pamiętają wielu rzeczy, które przypominają im się dopiero po pewnym czasie.

Schował kartkę do kieszeni.

- Dziękuję - powiedział. - Mimo to z nimi porozmawiam. A czy pan pamięta coś z tamtego wieczoru? Czy spostrzegł pan coś dziwnego, podejrzanego? Krążył pan przecież cały czas wśród gości. Musiał pan coś zauważyć.

Nawet jeśli tak było, jego rozmówca wolał swoją wiedzę zachować dla siebie.

- Interesowało mnie tylko to, czy stoły są dobrze przygotowane, czy jedzenie jest ciepłe i czy wszyscy na czas dostaną szampana - oświadczył z godnością.
- Ja tam pracowałem, proszę pana, nie miałem czasu się rozglądać.

Austin spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi. John Roberts od początku zrobił na nim wrażenie służbisty; taki zauważyłby faceta z pustym kieliszkiem w dłoni, ale spokojnie mógł przeoczyć... faceta z rewolwerem.

- W takim razie dziękuję za pomoc - powiedział tylko.

Od pracowników firmy cateringowej wziął jeszcze spis kelnerów i sprzątaczy i wrócił do Prosperino. Tego dnia niewiele się dowiedział, ale nie zamierzał re-

zygnować. Byli przecież jeszcze ochroniarze i zespół muzyczny. Ktoś musiał coś widzieć!

- Właśnie mieliście zagrać „Happy Birthday”, kiedy to się stało, prawda? - zapytał perkusista imieniem Ramon, w przerwach między koncertami zatrudnionego w sklepie spożywczym. - Czekaliście tylko, aż skończy się toast.

Długowłosy muzyk przecząco pokręcił głową.

- Nie, pani Colton miała nas uprzedzić, kiedy zacznie się wznoszenie toastów, ale nic nie powiedziała i zrobiliśmy sobie przerwę. Potem nagle zobaczyłem, że pan Colton podnosi swój kieliszek i... nic więcej nie pamiętam, bo wszyscy nagle zaczęli krzyczeć i rzucili się do ucieczki.

- A może zdołał pan zauważyć, gdzie rozległ się strzał?

- Chyba pan żartuje! Próbowałem znaleźć swoje pałeczki.

- A co w tym czasie robiła reszta zespołu?

Perkusista odparł bez wahania:

- W czasie przerwy chłopcy albo jedli, albo pili, albo byli w toalecie. Zresztą nie wiem, może niektórzy poszli na papierosa.

Austin wyjął listę, którą pierwszego dnia wręczył mu Joe, i sprawdził, czy znajdują się na niej nazwiska i adresy członków zespołu.

- W takim razie będę musiał z nimi porozmawiać. A panu dziękuję.

Muzyk skrzywił się.

- Nie bardzo jest za co.

Eliminowanie podejrzanych to była najnudniejsza część jego pracy. Austin ciężko westchnął, wytypował kolejne nazwisko i skierował się na drugi koniec miasta.

Nie przypuszczał, że gitarzysta rockowego zespołu mieszka w tak wytwornej rezydencji.

- Chciałbym się widzieć z Chesterem Phillipsem - oznajmił Austin, podchodząc do ochroniarza stojącego przy furtce. - Chciałbym z nim porozmawiać o przyjęciu, na którym grał w ubiegły weekend.

- Nie ma go w domu.

- Mógłbym poczekać.

Ochroniarz spojrzał na niego wymownie i Austin wzruszył ramionami.

- Chyba jednak przyjdę później.

Tymczasem postanowił odszukać dwóch innych członków zespołu. Luke'a z niemałym trudem odnalazł na polu golfowym i dowiedział się od niego tylko tyle, że kiedy padł strzał, jego rozmówca był akurat przy bufecie, a kiedy wybiegł na zewnątrz, zobaczył ludzi leżących pokotem na trawie, rękami osłaniających głowy.

Greg widział niewiele więcej. Tuż przed strzałem próbował napić się szampana, ale pewien siwowłosy pan potracił go i szampan wylądował na jakimś innym równie nobliwie wyglądającym mężczyźnie. Greg właśnie przeproszał poszkodowanego, kiedy padł strzał i wszyscy rzucili się na ziemię.

Austin nie był tym specjalnie rozczarowany, bo nie-

zbyt wiele sobie obiecywał po ich relacjach. Pojechał z powrotem do posiadłości Phillipa, ale tym razem zaparkował statecznie na podjeździe obok dostawczego forda i starannie poprawił krawat, zanim podszedł do ochroniarza.

- Jestem prywatnym detektywem - przedstawił się, wyjmując legitymację. - Chciałbym porozmawiać z panem Phillipsem o próbie zabójstwa, do której doszło w czasie jego obecności. Kiedy mogę go zastać?

- O to musi go pan samego zapytać - chłodno odparł ochroniarz.

- Ale jak mam to zrobić, skoro nie mogę wejść?

- Nie wiem, proszę pana.

Austin zacisnął wargi. Nie znosił, kiedy do niego mówiono takim tonem. Trudno, spróbował jeszcze raz.

- Gdzie mógłbym teraz zastać pana Phillipa? Mam do niego pilną sprawę.

- Od ochroniarza nic pan nie wyciągnie - rozległ się głos dobiegający gdzieś zza furtki i Austin ujrzał starszą panią z grubym buldogiem na smyczy. - Czego pan chce od Chestera?

- Słucham? - spytał zdumiony.

- Dobrze pan słyszał. Niech pan nie udaje, szkoda czasu. Ja w każdym razie nie mam go już zbyt wiele.

Przemawiająca do niego dama miała co prawda siwe włosy, ale energiczny ton jej głosu bynajmniej nie świadczył o tym, że jest jedną nogą w grobie.

- Chciałbym zapytać Chestera o strzelaninę na pewnym przyjęciu. Nie jest o nic podejrzany, po prostu może coś widział.

- To dlatego przez cały tydzień dokoła domu kręciły się gliny - podjęła lekko rozbawionym tonem starsza pani. - A Chester myślał, że chodzi im o tę marihuanę, którą kupuje dla babci. Babcia ma artretyzm i Chester bardzo o nią dba. Jest właścicielką tej posiadłości.

To wiele wyjaśniało.

- A jak mogę go spotkać?

Postawił to pytanie, nie mając nadziei na odpowiedź, ale dama, przyjrawszy mu się uważnie, skinęła głową.

- O tej porze zwykle przesiaduje w Silver Slipper i słucha muzyki. Lokal należy do jego przyjaciela, więc niech się pan nie spodziewa, że ktoś go panu wskaże. Może pan o niego pytać, ile pan chce, i tak nikt nic panu nie powie, zupełnie jak tutaj.

- Dziękuję za ostrzeżenie, wezmę to pod uwagę.

Starsza pani pociągnęła buldoga za sobą i ruszyła w stronę domu, a Austin stał jeszcze przez chwilę bez ruchu, nie wiedząc, co począć.

Chester pewnie też nic nie widział, a nawet jeśli coś zauważył, nie powie słowa, bo nie chce mieć nic wspólnego z glinami z powodu tej marihuany, którą kupuje dla babci, i trudno mu się dziwić.

Nikt z przyjaciół nie pokaże go detektywowi palcem, a Austin nie zna go i ledwo wie, jak wygląda. Ma tylko pobieżny opis, a trzydziestoletnich mężczyzn rasy białej, szatynów z niebieskimi oczami, chyba w klubie nie brakuje.

Gdybyś czegoś potrzebował, po prostu zadzwoń, przypomniatł sobie słowa Rebeki i jej nieśmiały

uśmiech, towarzyszący tej deklaracji. Jak ślicznie i niewinnie przy tym wyglądała. Cudownie się czuł wczoraj w jej towarzystwie. Zupełnie zapomniał o przeszłości. Tak jakby dawne cierpienie gdzieś odeszło i stawał się gotów... na przyjęcie następnego. Kiedyś oddał już serce kobiecie i stracił ją. Nigdy tego nie zaryzykuje po raz drugi.

W takim razie powinien skierować się bezpośrednio do Silver Slipper i próbować samemu odnaleźć Chestera. Tak byłoby najrozsądniej. Rozsądek zawiódł jednak Austina i jego samochód sam zaczął jechać w stronę domu, w którym mieszkała Rebeka.

Zupełnie się go nie spodziewała. A jednocześnie Austin był jedyną osobą, którą chciała zobaczyć po tym, co zaszło w szkole. Uśmiechnęła się i szeroko otworzyła drzwi.

- Witaj. Co za miła niespodzianka! Wejdz, proszę.
- Przepraszam, że tak bez zapowiedzi...
- Nie wygłupiaj się. Właśnie zasiadałam do ciasteczek z mlekiem, chętnie cię poczęstuję.

Odwróciła się i nie patrząc, czy za nią idzie, skierowała się do kuchni.

- Jak tam twoje śledztwo? - rzuciła przez ramię.
- Znalazłeś coś interesującego?

Austin po chwili wahania przestąpił próg.

- Stale kręcę się w kółko. Ostatnio próbuję skontaktować się z pewnym muzykiem, który kupuje marihuanę dla swojej babci.

Usta Rebeki drgnęły w uśmiechu.

- To rzeczywiście bardzo ciekawe - powiedziała żartobliwie - ale co to ma wspólnego z tamtym strzałem?

- Próbowałem porozmawiać z członkami orkiestry grającej na przyjęciu u Joego. Udało mi się znaleźć prawie wszystkich, oprócz jednego. Mieszka z babcią i dostarcza jej marihuanę.

Pokrótkie wszystko jej wyjaśnił.

- Jeśli pójde do tego klubu na Fifth Street i zacznę o niego pytać, ptaszek najprawdopodobniej mi umknie - zakończył.

Rebeka była bardzo pojętna.

- Pojadę z tobą i pomogę ci go znaleźć - oświadczyła.

Sama nie mogła uwierzyć w to, co powiedziała. Fifth Street kojarzyła jej się z najgorszymi chwilami dzieciństwa. To właśnie tam jej matka włóczyła się po barach. Jako dorosła osoba, Rebeka nigdy nawet nie zajrzała do tej przekłetej dzielnicy. Z Austinem jednak mogła śmiało iść wszędzie. Ufała mu i wierzyła, że przy nim nic złego jej nie grozi.

On jednak sam po chwili zrozumiał, że popełnił nie-takt.

- Przepraszam - rzekł ze skruchą - nie powinienem ci proponować odwiedzania podobnych miejsc, zwłaszcza po ciemku.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Wcale mi tego nie proponowałeś. Zgłosiłam się na ochotnika.

- Ale...

- Nie ma żadnego „ale” - przerwała mu stanowczo. - Robię to dla ciebie i dla Joego.

Kiedy tak patrzyła na niego tymi swoimi pięknymi oczami, ufnie i szczerze, skoczyłby za nią w ogień...

Boże, co ona z nim zrobiła?

- W takim razie... - powiedział, próbując mówić normalnym tonem - idź się przebierz. Nie mogę cię tam zabrać w szortach.

Nie musiał jej tego powtarzać dwa razy. Rebeka z szelmowskim uśmiechem pobiegła do sypialni włożyć sukienkę.

Kiedyś klub Silver Slipper cieszył się nawet pewną renomą, ale obecnie należało to już do przeszłości. Ściany pokryte graffiti i zamalowane na czarno okna przywodziły na myśl pijacką melinę.

Czytając w myślach swej towarzyszki, Austin ujął ją za rękę, kiedy stali na chodniku, czekając na zmianę świateł.

- Może to tylko tak wygląda - pocieszył ją niezbyt przekonująco.

- A może nie - dodała przekornie.

- Jeśli nie chcesz, wcale nie musimy tam wchodzić - oświadczył stanowczo.

Naprawdę tak myślał. Znajdzie jakiś inny sposób na wytropienie Chestera. Niepotrzebnie ją tu ciągnął. To nie jest miejsce dla kogoś takiego jak Rebeka. Zdażył się już jednak przekonać, że ma do czynienia z bardzo upartą osobą, którą trudno jest zmusić do zejścia z raz obranej drogi.

- Przyjechaliśmy tutaj i zrobimy, co trzeba - oznajmiła i energicznie ruszyła przed siebie.

Poszedł za nią jak na ścięcie.

W środku było jeszcze gorzej niż na zewnątrz. Dym papierosowy szczypał w oczy, grała ogłuszająca muzyka. Słuchająca jej publiczność zachowywała się jednak całkiem spokojnie.

Austin zaprowadził Rebekę do wolnego stolika w głębi i zbliżył twarz do jej twarzy, żeby go mogła usłyszeć.

- Poznajesz tu kogoś? - zapytał.

Zmrużyła od dymu oczy i spojrzała na estradę, skąd buchał heavy metal. Członkowie orkiestry byli bardzo do siebie podobni. Austin znowu przysunął się do niej.

- I co?

Poczuła jego ciepły oddech na uchu i przeszedł ją dreszcz. Rozejrzała się po sali i w rogu, przy barze, ujrzała chudą sylwetkę wysokiego mężczyzny, sączącego piwo.

- To chyba on! - krzyknęła zdławionym głosem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W tej samej chwili muzyka umilkła i Chester Phillips zwrócił w ich stronę zdumione spojrzenie. Rozpoznał Rebekeę, wstał i szybkim krokiem ruszył w jej stronę.

- Jesteś z rodziny Coltonów? - zapytał. - Widziałem cię na urodzinach twojego staruszka.

Zerknęła pytająco na Austina, nie wiedząc, czy ma ujawnić powód swojego przybycia, czy udawać, że doszło do całkiem przypadkowego spotkania.

Odczytawszy odpowiedź w jego oczach, wyciągnęła na powitanie rękę do Chestera.

- Witaj, co za spotkanie. Jestem córką Coltona, a to nasz kuzyn, Austin. Grałeś wtedy u nas na przyjęciu, prawda?

Muzyk skinął głową.

- Tak, na gitarze. Jak się miewa starszy pan? Czy gliny znalazły już tego, co próbował go zabić?

- Właśnie o tym rozmawialiśmy - odparła ze swobodą, która zdziwiła ją samą. Nie przypuszczała, że tak łatwo wejdzie w rolę tajniaka. - Policjanci strasznie się grzebią, a przecież przy takiej liczbie świadków nie powinno być kłopotów. Ktoś musiał coś widzieć.

Chester pokręcił głową.

- Było strasznie dużo ludzi. Stali upchani na patio jak sardynki. Kiedy sobie zrobiliśmy przerwę i chciałem się wycofać na papierosa, stale wpadałem na kogoś z kieliszkiem szampana w rękę. Zanim zapaliłem, cały byłem pochlapany.

Poczuła, że Austin sztywnieje.

- Czy to znaczy, że kiedy padł strzał, stałeś z tyłu w tłumie i paliłeś papierosa? - zapytał obojętnym tonem.

- A dokładnie wziąłem kurs na pewną blondynę z takimi ogromnymi... - Urwał i zrozumiał, że się zagalopował, ze skrucą spojrzął na Rebekeę. - Przepraszam. Krótko mówiąc, ona potem wrzasnęła, rzuciła mi się w ramiona i razem upadliśmy na ziemię. Nieźle było.

- I nie wiesz, z której strony padł strzał?

- Wolne żarty! Mając na sobie taką sztukę, miałem się rozglądać?

Widać było, że facet nie kłamie. Przemawiała za tym szczerość, z jaką wspominał blondynę. Austin zresztą przypomniał sobie, że gdy rozmawiał z córką sąsiadów Coltonów, dziewczyna powiedziała, że nic nie widziała, bo w chwili strzału schroniła się w ramionach wysokiego, chudego mężczyzny o niebieskich oczach. Ten mężczyzna stał teraz przed nimi.

Jeszcze jedna ślepa uliczka!

Spojrzął na Rebekeę; też chyba uważała, że nie mają tu nic do roboty. Spróbował jednak jeszcze raz.

- A przedtem niczego nie zauważyłeś? Wiem, że byłeś zajęty grą, ale skoro stałeś na podium, miałeś

dobry widok na gości. Może ktoś jakoś dziwnie się zachowywał?

- Pani Colton cały czas była strasznie zdenerwowana, ale to nic dziwnego. Chciała, żeby wszystko jak najlepiej wypadło - odparł muzyk.

Rebeka uśmiechnęła się.

- Takie wielkie przyjęcia to jej specjalność. Zawsze bardzo się przejmuję.

Chester zrobił ruch, jakby chciał ich opuścić.

- Chyba więcej wam nie pomogę, przykro mi.

Austin uściśnął mu rękę.

- Dzięki za to, że próbowałaś.

Wyprowadził Rebeke na zewnątrz i uśmiechnął się, kiedy głęboko zaciągnęła się powietrzem.

- Trochę tam było duszno, co? - zapytał.

- Koszmarnie. - Skrzywiła się z obrzydzeniem. - Nie rozumiem, jak ludzie mogą przesiadywać w takim strasznym zaduchu. Całe ubranie mi śmierdzi i mam łzy w oczach.

Austin żartobliwie zapewnił ją, że wcale tego nie widać i wyraził żal, że zaprowadził ją do takiej speluny.

- Dziękuję, że mimo wszystko mi towarzyszyłaś - powiedział na zakończenie.

- Przykro mi, że niewiele ci pomogłam. Głupio mi, że nic nie mogłam zrobić. - W jej głosie zabrzmiał żal.

- Bardzo mi się przydałaś - pocieszył ją Austin, otwierając przed nią drzwi samochodu. - Bez ciebie bym go nie poznał.

- I tak niczego się od niego nie dowiedziałeś.

- Ale mógł się okazać bardzo ważnym świadkiem. Musiałem z nim pomówić, żeby to sprawdzić. Taka praca. Czasem człowiek błądzi po omacku i już mu się wydaje, że nigdy nie wydobędzie się z labiryntu, a potem nagle zapala się światełko i wszystko zaczyna się układać.

Odwożąc ją do domu, opowiedział jej kilka ciekawych przypadków, które zdarzyło mu się rozwikłać. A potem myślał już tylko o tym, żeby się z nią umówić na następne spotkanie. Wiedział, że nie chodzi mu o pomoc w rozwiązaniu zagadki tajemniczego strzału, tylko o coś zupełnie innego.

Chciał ją gdzieś zabrać: na kolację albo do kina; wszystko jedno dokąd, aby tylko z nią być.

Miał świadomość, że pakuje się w kłopoty, ale nic na to nie mógł poradzić. Odprowadził ją do drzwi.

- Zjedz ze mną jutro kolację - wypalił nieoczekiwanie.

Rebeka, która sięgała właśnie po klucze, uniosła na niego zdziwione oczy.

- Chcesz ze mną porozmawiać o tej sprawie? Zgoda, ale już przecież przejrzelismy całą listę.

- Nie chodzi mi o sprawę - brnął dalej. - Chcę się z tobą umówić na randkę.

Spojrzała na niego tak, jakby był przybyszem z innej planety.

- Nie chodzi ci o sprawę? - powtórzyła.

- Podobasz mi się - oznajmił krótko. - Chcę się z tobą spotykać. Co cię tak dziwi?

Serce biło jej jak szalone. Nie mogła mu powiedzieć, że wcale nie brała pod uwagę takiej ewentualności i że nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że może zrobić na nim takie wrażenie, jak on na niej. To było nie do pomyślenia, bo przecież ona... nie mogła... ona nigdy...

Gubiła się w myślach. Przecież jeśli zaczną się spotykać, kiedyś w końcu okaże się, że ona nie znosi dotyku mężczyzny i wszystko będzie strasznie trudne i okropne. Powinna natychmiast mu odmówić i nie dopuścić do tego, aby ich znajomość przerodziła się w coś więcej.

- Dobrze - powiedziała zamiast tego. - Chętnie się z tobą spotkam.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo mu zależało, by się zgodziła. Zaprosił ją do swojego życia, nie bacząc na niebezpieczeństwo, jakie to ze sobą niesie, i w tej chwili ważne było tylko to, że Rebeka nie odrzuciła jego propozycji.

Na twarzy Austina ukazał się radosny uśmiech.

- W takim razie wpadnę po ciebie jutro o siódmej - obiecał. - Pojedziemy sobie coś przekąsić.

Jednym okiem śledząc wskazówki zegara, a drugim sprawdzając zawartość szafy, Rebeka stała półnaga w swojej sypialni i mówiła sobie, że zachowuje się jak nastolatka. Idą po prostu coś razem zjeść; to nie będzie żadna wytworna kolacja. Dżinsy i koszulka całkowicie wystarczą.

No to wkładaj na siebie coś! - zganiła się w duchu.

Za dziesięć minut on zadzwoni do drzwi, a ty nawet jeszcze się nie umalowałaś!

Na oślep wyjęła z szafy błękitną letnią sukienkę i wciągnęła ją na siebie drżącymi rękami.

Kiedy w kilka minut później rozległ się dźwięk dzwonka, serce waliło jej tak mocno, że ledwo utrzymywała się na nogach. Nie wiedziała, czego tak się boi. Czy samego spotkania z Austinem, czy swojej na niego reakcji... Może tym razem będzie inaczej, pomodliła się w myślach. A może lepiej po prostu powiedzieć mu, że zmieniła zdanie i nigdzie nie idzie. Kobieta ma prawo rozmyślić się w ostatniej chwili.

Wiedziała, że tego nie zrobi. Tym razem będzie udawać, że jest normalną kobietą, która spotyka się z pociągającym ją mężczyzną jakby nigdy nic.

Rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro, uperfumowała się i pobiegła do drzwi. Na widok Austina poczuła ogromną radość.

- Cześć - powiedział. Miał na sobie dzinsy i koszulkę polo i wyglądał cudownie.

Przez całą drogę wmawiał sobie, że to zwyczajna randka ze zwyczajną kobietą, lecz wiedział, że się oszukuje. Jego reakcja na jej widok dowodnie o tym świadczyła. Jej uroda, słodycz i nieśmiały uśmiech podbiły go i przesłoniły mu świat.

Bardzo go to niepokoiło. Byli prawie rodziną, choć nie łączyły ich więzy krwi, i musiał bardzo uważać, co robi. Kiedy skończy śledztwo, wróci do Portland. Nie chciałby zostawiać za sobą czegoś, co by skomplikowało jego stosunki z Coltonami. Nie był zbyt ro-

dzinny, ale nie zamierzał z nimi zrywać. A to stałoby się nieuniknione, gdyby skrzywdził Reбекę.

Powinien był odwołać to spotkanie dla świętego spokoju. Teraz, kiedy ujrzał ją w progę, śliczną i świeżą w błękitnej sukience, z długimi włosami opadającymi na ramiona kasztanowozłocistą kaskadą, miał ochotę tylko na jedno: wziąć ją w ramiona.

- Jesteś gotowa? - zapytał schrypniętym głosem.
- Tak, tylko wezmę torebkę.

Zabrał ją do restauracyjki na plaży, gdzie roiło się od dzieci. Nigdy tutaj nie był; zauważył to miejsce któregoś dnia, kiedy jechał na spotkanie z kolejnym świadkiem, i bardzo mu się spodobało. Na zewnątrz stały stoły i drewniane ławy i jadło się, patrząc na fale oceanu.

- Ale tu pięknie! Jak znalazłeś to miejsce? Mieszkam tu całe życie i wcale go nie widziałam! - Rebeka była zachwycona.

- Nie wiem, czy dobrze dają jeść. - Austin zaparkował na małym placu i zgasił silnik. - Ale widok jest gwarantowany. To co? Możemy tu zostać?

Rebeka bez słowa wyskoczyła z samochodu.

Jedzenie było doskonałe, widok cudowny i czuła się wspaniale. Nigdy z żadnym mężczyzną nie było jej tak dobrze. Zawsze podczas spotkania była sztywna i spięta, myślami sięgająca niedobrej przeszłości. Przy Austinie niczego się nie bała. Rozmawiali o kinie i przeczytanych książkach. Austin, podobnie jak ona,

uwielbiał Stephena Kinga i przeczytał wszystkie jego powieści. Z filmów najbardziej lubił „Psychozę”, która przypadkiem należała też do ulubionych filmów Rebece.

Czas płynął jak szalony, a oni nawet tego nie zauważyli. Dawno już zjedli swoje hamburgery i paplali dalej, zapatrzeni w słońce zachodzące nad Pacyfikiem.

W końcu Rebeka zerknęła na zegarek.

- Już dziesiąta! Siedzimy tutaj trzy godziny! - wykrzyknęła zdumiona.

Austin pomyślał, że mógłby tak z nią siedzieć trzy dni i trzy lata, ale wstał i podał jej rękę.

- Strasznie się zasiedzieliśmy. Odwiozę cię teraz do domu.

Rebeka drgnęła. Z wahaniem pozwoliła mu się wziąć za rękę; nie mogła się oprzeć, mimo że wiedziała, że to do niczego dobrego nie doprowadzi.

Później nie pamiętała drogi powrotnej do domu. Austin cały czas trzymał ją za rękę, przenosząc dłoń na kierownicę tylko wtedy, kiedy naprawdę musiał. Potem odprowadził ją do drzwi i wiedziała, że powinna jak najszybciej go pożegnać, ale znowu nie mogła się powstrzymać.

- Może byś wszedł na filiżankę kawy? Mam ciasteczka czekoladowe domowej roboty - zaproponowała.

Austin pokręcił głową.

- Dziękuję, ale nie. Mam jutro rano dużo pracy, a jest już późno.

Wyjął z jej ręki klucz i otworzył przed nią drzwi.

- Dziękuję ci za cudowny wieczór - rzekł z uśmiechem.

- A ja ci dziękuję, że mnie zaprosiłeś - szepnęła.

- Jeszcze to powtórzymy.

Jeśli chce, by to się nie stało, powinna teraz szybko wejść do mieszkania i zamknąć za sobą drzwi. W przeciwnym razie Austin zaraz ją pocałuje.

Postąpiła krok i znalazła się w jego ramionach. Pragnęła tego, chciała poczuć dotyk jego ust, chciała zamknąć oczy i rozkoszować się jego pocałunkiem.

Austin objął ją i... zbudziły się upiory. Lawiną strachu runęła na nią cała przeszłość; to nie Austin trzymał ją w ramionach, to nie Austin ją całował. To tamten straszny człowiek próbował ją...

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie i wyrwała się z jego objęć. - Nie!

Dopiero gdy usłyszała swój krzyk i zobaczyła przerażenie na twarzy Austina - bo to był Austin, a nie żaden potwór z jej koszmarnych snów - zrozumiała, co się stało.

- Przepraszam cię, strasznie mi przykro - wyjąkała. - Ja nie chciałam... myślałam, że... ja...

Nigdy jeszcze żadna kobieta nie zareagowała tak na jego pocałunek i nigdy jeszcze nie widział w nich oczach tak potwornego strachu.

- Co ci jest? - zapytał. - Może o tym porozmawiamy.

- Nie - powiedziała przez łyzy. - Rozmowa nic tu nie pomoże. Po prostu nie mogę się z tobą spotykać.

Weszła do mieszkania i zamknęła mu drzwi przed

nosem. Stał przez chwilę, niczego nie rozumiejąc. Przecież wydawało się, że podoba się Rebecce tak samo, jak ona jemu. Przysięgłby, że coś ich do siebie ciągnie. W takim razie dlaczego tak się zachowała? Do niczego jej nie zmuszał. Sama pozwoliła się pocałować. Chciała tego, tak samo jak on.

Już miał zastukać do drzwi i poprosić, żeby mu wszystko wyjaśniła, ale się powstrzymał. W takim stanie Rebeka nic mu nie powie. Musi odczekać. Da jej czas, a kiedy Rebeka się do niego przyzwyczai, dowie się, o co chodzi.

Odszedł zrezygowany, ze spuszczoną głową.

Przez całą noc myślał tylko o niej; przez następny dzień również. Nie mógł zapomnieć paniki, jaką ujrzał w jej oczach. Skąd ten potworny strach? Z czyjej winy?

Zadzwonił do niej dopiero następnego wieczoru.

- Cześć, to ja - powiedział szybko. - Jesteś zajęta? Może moglibyśmy porozmawiać?

- Przepraszam, ale właśnie przygotowuję test dla uczniów - odparła smutnym głosem.

- Nic nie szkodzi, zadzwonię jutro.

Zadzwonił wieczorem, ale nikt nie odebrał. Rebeka najwyraźniej go unikała. Zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce, ale nie oddzwoniła.

Inny mężczyzna dałby sobie spokój. Nie zamierzał przecież wplątywać się w nic poważnego, więc może i lepiej, że Rebeka przed nim ucieka. Spokojnie skończy śledztwo i wróci do Portland.

Nie mógł jednak zapomnieć strachu w jej oczach.

Rebeka nie bała się jego, bała się kogoś innego i to doprowadzało go do szału. Ktoś śmiał ją zranić i on mu tego nie daruje!

Musi koniecznie się z nią spotkać.

Następnego dnia w południe pojechał do szkoły. Rebekę ujrzał na patio; razem z innymi nauczycielami jadła lunch. Kanapka o mało nie wypadła jej z ręki.

- Austin! Co ty tutaj robisz?

- Chciałem z tobą chwilkę porozmawiać - odezwał się spokojnie.

Myślał, że odmówi, ale po chwili w jej oczach błysnęło coś jakby wołanie o ratunek, i Rebeka wstała. Przeprosiła kolegów i zaprowadziła go do różanego ogrodu z drugiej strony szkolnego budynku.

- To duma naszego dyrektora. - Wskazała ręką kwiaty. - Uważaj, żeby któregoś nie dotknąć. Richard nie znosi, kiedy ktoś dotyka jego róż.

- W takim razie będę trzymał ręce przy sobie - powiedział znacząco. Chciał, by wiedziała, że z jego strony nic jej nie grozi.

On nigdy nie wyrządzi jej krzywdy. Spojrzał na jej smutną buzię i poczuł, że pęka mu serce.

- O co chodzi? - zapytał. - Co ci jest? Ja nie chciałem cię przestraszyć.

- To nie ty - zaprzeczyła gwałtownie. - To znaczy... myślę, że to... Ty nic złego nie zrobiłeś. Ja...

Nie dokończyła, nie znajdując właściwych słów, i łzy popłynęły jej po policzkach.

- Powiedz mi, kochanie - szepnęła. - Opowiedz mi

wszystko. Ja zrozumieć, mnie możesz powiedzieć wszystko.

Mimo że stała tyłem do patia i nikt nie mógł usłyszeć jej słów, wiedziała, że koledzy obserwują każdy jej ruch. Nie chciała o tych sprawach mówić właśnie teraz; to nie było odpowiednie miejsce na tego typu zwierzenia. Po minie Austina wniosowała jednak, że tym razem nie ustąpi i zrobi wiele, by otrzymać odpowiedź na swoje pytanie. Rozumiała go; po tym, jak się zachowała, mógł oczekiwać wyjaśnień.

Było to strasznie trudne. Czuła, jak dławia ją łyzy, a serce podchodzi do gardła. Musiała mu wyjawiać prawdziwą przyczynę; nie chciała, by Austin winił za cokolwiek siebie. Nie zasłużył na to. Była mu winna te kilka słów prawdy.

- Chcę, żebyś wiedział, że nie wychowałam się w normalnym domu - zaczęła, siłą powstrzymując łyzy.
- Nigdy nie znałam swojego ojca, a moja matka nie była wzorem matki. Piła i sprowadzała do domu mężczyzn. Kiedy miałam czternaście lat, jeden z nich się na mnie rzucił.

- Bydlę! - syknął Austin.

- Najgorsze było to, że nie mogłam liczyć na pomoc matki. Nie obroniłaby mnie - ciągnęła Rebeka.
- Dlatego uciekłam z domu i zamieszkałam na ulicy.

- Boże! Byłaś przecież jeszcze dzieckiem!

- Jakoś sobie radziłam. Wyjadałam resztki ze śmietników, a kiedy sytuacja robiła się nie do zniesienia, chodziłam do schronisk dla bezdomnych. Właśnie tam kiedyś o mało nie zostałam zgwałcona.

Wiedziała, że teraz musi mu opowiedzieć wszystko do końca.

- Znowu uciekłam i trafiłam do domu dziecka. Stamtąd zabrali mnie do siebie Meredith i Joe. Nigdy jednak nie zapomniałam tego, co mnie spotkało. Od tamtej pory nie znoszę dotyku mężczyzny. Próbowalam nad sobą zapanować. Meredith i Joe wydali fortunę na moją terapię, wozili mnie do najlepszych specjalistów, ale bez rezultatu. Kiedy tylko mężczyzna próbuje mnie dotknąć, nawet ktoś tak miły i godzien zaufania jak ty, natychmiast sztywnieję i wpadam w panikę. Tak właśnie się stało wtedy, wieczorem, kiedy mnie pocałowałeś. Wiedziałam, że z twojej strony nic mi nie grozi, a jednak nie mogłam się powstrzymać. Ogarnęło mnie przerażenie i myślałam tylko o tym, żeby uciec.

- Nie miałem pojęcia, moja droga...

- Powinłam była ci o tym powiedzieć przedtem. Wiem, że ci się podobam, ty mnie też, ale nie byłam w stanie o tym mówić. - Jej oczy wypełniły się łzami.
- Bardzo lubię z tobą przebywać i miałam nadzieję, że tym razem zareaguję inaczej i wszystko będzie dobrze, ale stało się tak jak zawsze i nic na to nie poradzę. Nie możemy się spotykać.

Austin spojrział na nią z ogromną czułością.

- Po prostu za bardzo się pośpieszyliśmy. Chyba trzeba zmniejszyć tempo.

Skąd on wiedział, jak bardzo pragnęła usłyszeć te właśnie słowa? Gdyby nie postanowienie, że nigdy tego nie uczyni, zakochałaby się w nim tylko dlatego, że to powiedział. Tak bardzo chciała, by ktoś potwier-

dził, że jej problem da się rozwiązać, że sytuacja nie jest beznadziejna i że z czasem wszystko się zmieni. W głębi duszy jednak wiedziała, że to niemożliwe. Oszukuje samą siebie. Czeka ją kolejne rozczarowanie i cierpienie.

- Bardzo bym chciała, żeby tak właśnie było - szepnęła - ale tak nie jest. Nie mogę cię krzywdzić. Prędkiej czy później znienawidzisz mnie.

Austin zmarszczył czoło.

- Nigdy cię nie znienawidzę i nie przejmuj się mną. Ja sobie dam radę, chodzi tylko o ciebie. Bardzo się o ciebie niepokoję.

Odrzuciła włosy z czoła.

- Uwierz mi, nie ma wyjścia. Musimy to skończyć. Im prędzej, tym lepiej.

Czuła, że zaraz się rozpłacze na oczach spoglądających w ich stronę kolegów i koleżanek.

- Dziękuję za zrozumienie - powiedziała szybko.
- Do widzenia, Austin.

Później nie mógł sobie przypomnieć, jak to się stało, że odeszła. Od czasu śmierci Jenny i dziecka w jego życiu nie zdarzyło się nic dobrego i tylko Rebeka mogła to zmienić. A on pozwolił jej odejść. Nie miał właściwie wyjścia. Było mu jej strasznie żal i pragnął wziąć ją w ramiona i utulić, a tego właśnie nie mógł zrobić, bo kiedyś, przed laty, jakiś bydlak śmiertelnie ją przestraszył.

Opuścił szkołę z wrażeniem, że stracił coś niesłychanie cennego. Musiał jednak postąpić zgodnie z życzeniem Rebeki i odejść z jej życia.

Bóg jeden wie, jakie to trudne. Przez kilka następných dni usiłował bez reszty poświęcić się pracy, żeby zapomnieć. Nie udało mu się; myśl o Rebecce nie odstępowała go ani na krok. Bez przerwy się zastanawiał, co ona w danej chwili robi i jak sobie radzi. Bał się o nią i nic na to nie mógł poradzić. Najgorsze były noce.

Zasypiał i natychmiast widział mężczyznę atakującego Rebeke. Chciał rzucić się jej na ratunek, ale nogi miał jak z waty i nie mógł się ruszyć. Mógł tylko stać i patrzeć.

Kolejnej nocy nie wytrzymał. Wystukał jej numer i dopiero kiedy się odezwała, spojrzął na zegarek. Było wpół do pierwszej.

- Przepraszam - powiedział na wstępie - nie wiedziałem, że już tak późno.

- Austin, to ty? Stało się coś?

- Nie, po prostu bardzo się o ciebie martwię. Czy wszystko w porządku?

Rebeka zawahała się i przez chwilę miał nadzieję, że usłyszy, że bardzo za nim tęskniła.

- Raczej tak - odparła zamiast tego. - Mam dużo pracy. A jak twoje śledztwo?

- Powolutku - powiedział zgodnie z prawdą. - Ale nie dlatego dzwonię. Wiele myślałem o tym, co mi wtedy powiedziałaś w szkole.

- Austin...

- Poczekaj, nic nie mów - przerwał jej. - Wiem, że nie chcesz, żebym ci o tym przypominał, rozumiem to. Przeżyłaś coś strasznego i nie chcesz do tego wra-

cać. Nie możesz jednak pozwolić, żeby tamten łajdak zmarnował ci życie. Jeśli przestaniesz się ze mną spotykać z powodu tego wydarzenia z przeszłości, on odniesie zwycięstwo.

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie.

- Owszem - oświadczył z naciskiem. - Przemyśl to sobie. Za każdym razem, kiedy z powodu tamtego bydlaka zrywasz znajomość, która ci sprawia przyjemność, jest tak, jakby to on kierował twoim życiem. Pozwalasz mu na to.

- Nie!

- Tak, kochanie, tak właśnie jest - powtórzył łagodnie. - Nie widzisz, jak przeszłość decyduje o twojej terażniejszości? Nie powinno tak być. Pomogę ci.

Leżała w ciemnościach, kurczowo przyciskając słuchawkę do ucha, i walczyła ze łzami wzruszenia. Nie była sama, był ktoś, kto chciał jej pomóc zмагаć się z koszmarem. Skąd Austin zawsze wie, jak się zachować?

- To nie takie proste - szepnęła. - Ja próbowałam...

- O to właśnie chodzi. Ty próbowałaś, sama, a teraz my spróbujemy, razem.

Zabrzmiało to bardzo prosto i łatwo.

- Jak? - zapytała.

- Możemy przecież spotykać się jak przyjaciele. Przebywać razem, rozmawiać, poznawać się. Teraz, kiedy już wszystko wiem, nigdy cię nie przestraszę. Ze mną możesz być spokojna, nie dotknę cię bez pozwolenia.

- Wiem, jaki jesteś.

- W takim razie nie ma powodu, żebyśmy przestali się widywać. Spróbujemy jeszcze raz. Nie dotknę cię ani nie pocałuję, przysięgam. Daj nam jeszcze jedną szansę, proszę. Daj sobie szansę.

Rebeka przez chwilę milczała. Bardzo chciała się zgodzić, ale tyle razy już próbowała i zawsze na nowo przeżywała to samo rozczarowanie. Nie chciała jeszcze raz przez to przechodzić.

- Nie wiem - odezwała się łagodnym głosem - czy wiesz, o co mnie prosisz.

- Proszę cię, żebyś nam dała szansę - powtórzył.

- To wszystko, nie proszę o nic więcej. Nie musisz decydować w tej chwili. Jest już późno i pewnie cię obudziłem. Przemyśl sobie wszystko spokojnie jutro i rozpatrz wszystkie za i przeciw. Wrócimy do tego za kilka dni, dobrze?

Powiedział to tak łagodnie i czule, że tym razem nie zaprotestowała.

- Dobrze, ale niczego ci nie obiecuję - zgodziła się z wahaniem.

- W porządku. Po prostu przemyśl to sobie.

Pożegnali się i Austin się rozłączył. Rebeka długo nie mogła zasnąć. Leżała w ciemnościach, myśląc o słowach Austina i nie mogąc się zdecydować, czy przyznać mu rację, czy nie.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio mężczyzna zrobił na niej takie wrażenie jak Austin. Wcale nie chciała go stracić. Myślała o nim bez przerwy od tamtej pierwszej kolacji u Coltonów, zaraz po jego przyjeździe. Ale cóż

mu mogła zaproponować? Skoro nawet pocałunek wywołuje w niej taką panikę, to o bliższym związku w ogóle nie ma mowy. A przecież jest zupełnie zrozumiałe, że ktoś taki jak Austin z czasem zapragnie czegoś więcej. Doskonale go rozumiała; to normalne.

A może propozycja Austina jest dla niej jedynym wyjściem z sytuacji? Może tylko w taki sposób przezwycięży przeszłość i zacznie normalnie żyć? Austin jej pomoże, razem będzie im łatwiej. Czy można tracić taką szansę?

Przypomniła sobie wszystkie swoje zerwane znajomości, wszystkie uniki i ucieczki. Nie chciała dalej tak żyć.

Austin dawał jej szansę i dla swojego własnego dobra musi z niej skorzystać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Minęły dwa dni i Rebeka nie odezwała się. Były to najdłuższe dwa dni w życiu Austina. Miał co prawda niejedno do zrobienia, ale jego myśli znajdowały jakoś sposób, żeby nieustannie kierować się w jej stronę.

Co ona robi? O czym myśli? Jaka decyzję podejmie? Czy jej milczenie jest odpowiedzią?

Kilka razy już sam chciał do niej zadzwonić i nieraz machinalnie skręcał w stronę jej domu, ale zawsze w porę się powstrzymywał. Obiecał przecież, że da jej tyle czasu, ile będzie potrzebowała, że nie będzie jej ponaglał.

Musi dotrzymać słowa.

Dawniej zawsze sądził, że jest bardzo cierpliwy. Nigdy nie był w gorącej wodzie kapany, potrafił odczekać, i to zarówno w sprawach zawodowych, jak prywatnych. Ale nigdy dotąd nie spotkał kobiety takiej jak Rebeka Powell. Mimo tego wszystkiego, co przeżyła, był w niej spokój działający jak plaster miodu na jego zbolełą duszę i wrażliwość sprawiająca, że miał chęć objąć ją i osłonić przed całym światem.

To ostatnie było na razie niemożliwe. Dlatego czekał. Rebeka musi sama podjąć decyzję i on nie może na nią wywierać nacisku. Czekał zatem i próbował co

chwila nie patrzeć na zegarek. Kiedy wreszcie któregoś wieczoru zadzwonił telefon, rzucił się na słuchawkę jak nastolatek, do którego po raz pierwszy w życiu zadzwoniła dziewczyna.

- To ja - nieśmiało odezwała się Rebeka. - Jadłeś już kolację?

- Właśnie zamówiłem pizzę - odparł jakby nigdy nic. - Zaraz mają ją przynieść.

- Może byś przyszedł z nią do mnie? Zrobię sałatę i chwilę porozmawiamy.

- Będę za dziesięć minut - zgodził się chętnie i w tej samej chwili do drzwi zapukał dostawca z pizzerii.

Płacąc mu pośpiesznie, Austin zdał sobie sprawę, że Rebeka ani słowem nie wspomniała, jaką podjęła decyzję. Najwyraźniej postanowiła mu to zakomunikować w cztery oczy.

Droga do jej domu zajęła mu pięć minut. W końcu potwornie zdenerwowany stanął pod jej drzwiami. Otworzyła mu natychmiast i zaraz o wszystkim zapomniała.

Wcale się nie wystroiła; miała na sobie czerwone szorty i białą koszulkę; włosy zaciesała do góry, była prawie nie umalowana i wyglądała na szesnaście lat.

Wyglądała jak zjawisko.

- Strasznie jest gorąco - powiedziała, jakby tłumacząc swój niedbały strój. - Wróciłam do domu i przebrałam się w coś wygodnego.

- Nie ma sprawy - odrzekł swobodnie i przyszło mu do głowy, że gdyby umiała czytać w jego myślach,

bez wahania wyrzuciłaby go za drzwi. - A co tam w pracy?

Zaprowadziła go do kuchni i posadziła przy małym stole nakrytym na dwie osoby.

- W lecie zawsze jest ciężko - odpowiedziała na jego pytanie. - Dzieci chcą jak najczęściej przebywać na dworze i te trzy tygodnie wakacji w czerwcu to dla nich za mało. Przynajmniej dla moich uczniów.

- Doskonale to rozumiem - powiedział Austin. - Kiedy byłem mały, mieliśmy prawie trzy miesiące wakacji, a ja i tak nigdy nie chciałem wracać do szkoły.

- Ze mną było zupełnie inaczej. Nie mogłam się doczekać końca wakacji i powrotu do szkoły.

Nie znosiła lata, nie znosiła tych facetów, których przyprowadzała matka, a którzy nigdy nie chodzili do pracy. Siedzieli w domu i gapili się na nią, a ona nie wiedziała, gdzie się schować. W szkole przynajmniej czuła się bezpiecznie. Z każdym rokiem wakacje robiły się coraz dłuższe i coraz trudniejsze do zniesienia.

Odsunęła wspomnienia na bok i skupiła się nad tematem, który stał się powodem ich spotkania.

- Myślałam o tym, co mi wtedy powiedziałaś... - zaczęła, biorąc kawałek pizzy.

- Tak, i co? - zapytał Austin pozornie spokojnym tonem.

- Doszłam do wniosku, że masz rację. Nie mogę przez całe życie uciekać.

Opanował się, żeby nie zatańczyć z radości.

- To nie będzie łatwe - dodała poważnym tonem.
- Boję się, że przestaniesz mnie lubić.

- Do tego nigdy nie dojdzie - zapewnił ją. - Damy sobie radę, zobaczysz.

- Musimy opracować pewne zasady - ciągnęła. - I zobowiązać się do ich przestrzegania.

- Słucham, i z góry je przyjmuję - zapewnił ją gorliwie.

W jego głosie było tyle szczerego zapału i dobrej woli, że Rebeka wzruszyła się.

- Najważniejsze, żebyś mnie nie zaskakiwał żadnym gestem - dodała z namysłem. - Wtedy taka przykra scena jak tamta nigdy się nie powtórzy i żadne z nas drugiemu nie zrobi przykrości. Pamiętaj, żadnych niespodziewanych pocałunków, nic takiego.

Austin skinął głową.

- To się więcej nie powtórzy. - Przez chwilę nad czymś myślał. - A gdybym tak na przykład powiedział, że chcę cię pocałować i poczekał na odpowiedź, czy to byłoby dla ciebie bardziej do przyjęcia?

Zdziwiona, zamrużyła oczami.

- Nie wiem. Nikt mnie nigdy o to nie pytał.

- Następnym razem zrobię to. Nie zamierzam tego robić szybko - zapewnił ją w obawie, że Rebeka się spłoszy. - Po prostu kiedyś zapytam, czy mogę, i postąpię w zależności od odpowiedzi. Nie będzie to może zbyt spontaniczne, ale przynajmniej będziesz się czuła bezpiecznie.

Jego wyrozumiałość nie przestawała jej zdumiewać.

- Może to dobry pomysł - odparła powoli - ale nie chciałabym, żebyś z tym wiązał jakieś nadzieje.

- Po prostu będziemy przyjaciółmi. Będziemy cho-

dzić do kina i do restauracji, będziemy od czasu do czasu trzymać się za ręce...

Spojrzała na niego w obawie, że sobie z niej kpi, ale poważne spojrzenie Austina upewniło ją, że nie żartuje.

- Bardzo bym chciała, ale nie wiem...

- Ale ja wiem. - Uśmiechnął się do niej serdecznie.

- I z góry ci zapowiadam, że dzisiaj na pożegnanie bardzo bym chciał cię pocałować w policzek, ale zrobie to tylko na twoje wyraźne życzenie.

Był naprawdę cudowny. Nigdy nie spotkała kogoś takiego. Wystarczyło spojrzeć mu w oczy, by nabrać do niego zaufania. Austin nigdy jej nie zrani, a jego terapia jest po prostu wspaniała.

- W takim razie - oznajmiła, wyciągając ku niemu rękę - umowa stoi.

Ich dłonie spotkały się i Rebeka doznała niezwykłego uczucia, że przeszłość bezpowrotnie odchodzi w dal. Przy odrobinie wysiłku mogłaby nawet dostrzec przyszłość rysującą się na horyzoncie...

Po kolacji obejrzeli „Milionerów” w telewizji. Austina zdumiała łatwość, z jaką Rebeka prawidłowo odpowiadała na większość pytań.

- Skąd wiedziałaś, że dypsomania to okresowe występowanie niepohamowanej potrzeby alkoholu, i kto był trzynastym prezydentem Stanów Zjednoczonych?

- zapytał w końcu.

- Uwielbiam rozwiązywać krzyżówki - wyjaśniła.

- Doskonale gimnastykują umysł.

- Nie chciałybym być twoim przeciwnikiem w żadnym quizie - oświadczył Austin. - Pobiłabyś mnie na głowę.

Rebeka roześmiała się.

- Wystarczyłoby kilka pytań z dziedziny sportu, i leżę.

No jasne, pomyślał. Wychowywała się bez ojca, a jedyni mężczyźni w jej dzieciństwie interesowali się tylko puszką piwa i kobietą, po którą wystarczy wyciągnąć rękę.

- W takim razie zabiorę cię któregoś dnia na mecz rugby - zapowiedział - i nauczę kilku podstawowych rzeczy. Ale teraz już cię zostawię. Zrobiło się późno, a jutro rano idziesz do pracy.

Rebeka odprowadziła go do drzwi.

- Dziękuję, że przyszedłeś - rzekła na pożegnanie.
- To był bardzo miły wieczór.

- Dla mnie również.

Stała obok niego śliczna i uśmiechnięta i pomyślał, że dzieciaki muszą ją ubóstwiać. Była naiwna i naturalna i nie miała pojęcia o swojej urodzie. Po tym wszystkim, co ją spotkało w życiu, potrafiła zachować otwartość i szczerść.

Zaprzagnął ją pocałować, i natychmiast postanowił o tym zapomnieć. Przyszedł tutaj, by jej pomóc, jego potrzeby nie miały znaczenia. Na razie liczą się tylko spokój i bezpieczeństwo Rebeki.

Nie było mu łatwo nad sobą zapanować. Stale jeszcze pamiętał, jak to jest, kiedy się trzyma w ramionach tę prześliczną istotę. I jakie ma cudowne usta.

- Jeszcze raz dziękuję za kolację - powiedział z wysiłkiem.

- To ty przyniosłeś pizzę. - Uśmiechnęła się do niego. - Ja powinnam ci podziękować. Gdyby nie ty, musiałabym coś ugotować albo zjeść w samotności byle co. A tak było bardzo przyjemnie.

- Mnie też.

Stał tak, nie mogąc się zdecydować na rozstanie. Wiedział, że powinien jak najszybciej sobie pójść i nie kusić szczęścia. Mimo to zaryzykował.

- Czy mógłbym pocałować cię w policzek? - zapytał nieśmiało. Zeskanowała Anula, przerobiła pona.

Serce Rebeki mocno zabiło. Lepiej mu odmówić, jest jeszcze za wcześnie na jakąkolwiek bliskość, nawet tak niewinną jak pocałunek w policzek. Jednak pragnienie normalności przeważyło; tak bardzo i od tak dawna pragnęła być taka sama jak inne kobiety. Chciała móc zakończyć wieczór z mężczyzną pocałunkiem, choćby tylko przyjacielskim.

- Dobrze - powiedziała i nadstawiła policzek.

Ich oczy spotkały się i oboje zrozumieli, że zbliża się ważna chwila.

- Nie masz się czego obawiać - rzekł cicho Austin.
- Nawet cię nie obejmę, tylko musnę ustami twój policzek.

Zrobił to czule, delikatnie i bardzo szybko. Rebeka cofnęła się, czując na twarzy ciepło jego oddechu.

- Chyba cię nie przestraszyłem? - zapytał z niepokojem.

- Nie. - Machinalnie uniosła dłoń do twarzy, jakby

chciała pogłaskać ślad jego ust. - Nie, wszystko w porządku.

Austin odetchnął z ulgą.

- Zobaczysz, kochanie, wszystko będzie dobrze. Popracujemy nad tym - dodał z łobuzerskim uśmiechem.

Rozpaczliwie pragnęła mu wierzyć, ale po jego wyjściu raz jeszcze przebiegła myślami te wszystkie sytuacje, kiedy przerażenie z przeszłości wyłaniało się nagle i paraliżowało teraźniejszość. Wzdrygnęła się.

Tym razem będzie inaczej; nie pozwoli, by koszmary dzieciństwa zatruły jej życie. Nie da sobie odebrać Austina. Musi tylko być cierpliwa i krok po kroku oswajać się z nim.

Wkrótce położyła się spać i niemal natychmiast zapadła w sen.

Był to bardzo piękny sen. Pocałunek Austina z policzka zsunął się na jej usta, a ona sama rozkwitła pod wpływem jego dotyku. Całe jej ciało zbudziło się do życia w ciepłym blasku bijącym od zapalonego w salonie kominka. Trwoga znikła, przerażenie rozpułyło się, niepewność ustąpiła miejsca spokojnemu przekonaniu, że tak właśnie musi być. Rebeka wśliznęła się w upragnione normalne życie bez wstrząsu i przełomu, tak jakby cała jej istota od dawna była już na to przygotowana.

Obudziła się z policzkami mokrymi od łez i spokojem w duszy. Nigdy nie czuła się tak pogodzona ze sobą i światem. Gorąco zapragnęła, żeby jak najszybciej nadszedł ten dzień, kiedy sen stanie się rzeczywi-

stością. Pomodliła się cichutko, by wzbudzić w sobie wiarę, że cud jest możliwy.

Idąc w sobotni rano do Rebeki z torbą pachnących rogalików w rękę, Austin wmawiał sobie, że to tylko taki koleżeński gest. Życie emocjonalne ma pod kontrolą i nie grożą mu żadne zawirowania. Jeśli myśli o niej prawie bez przerwy, to tylko dlatego, że tak bardzo przejął się jej losem. Lubi Rebekę, dobrze mu w jej towarzystwie i postanowił jej pomóc. To wszystko. Rebeka bardzo go pociąga, i to pod każdym względem, ale jest silny i da sobie radę. Nie pozwoli się sprowadzić z raz obranego kursu.

Rebeka otworzyła mu drzwi w stroju nie wskazującym na to, że spodziewa się gości. Miała na sobie dzinsy i wypłowiła koszulkę poplamioną farbą, spięte włosy i wielką tubę z superklejem, wycelowaną prosto w niego.

Austin podniósł ręce do góry.

- Nie strzelaj, błagam! Przychodzę jako przyjaciel.
- Cudownie! - krzyknęła i wciągnęła go do środka. - Pomożesz mi!

Skrzywił się.

- Nic nie będę lepił. Nigdy nie znosiłem robót ręcznych.

- Ja też nie - wyznała. - Robię coś dla moich uczniów... Uważaj! - krzyknęła. - Nie siadaj na tym krześle! Całe jest w kleju! Trochę mi się wylało.

Austin podskoczył komicznie jak pajac i zrobił przerażoną minę.

- Wszystko jest upaprane tym superklejem? - zapytał.

Rebeka miała skruszoną minę.

- Prawie... Nie bardzo umiem się obchodzić z tą tubą, klej wylatuje z niej jak z pistoletu.

Austin rozejrzał się. Ślady kleju widniały rzeczywiście wszędzie. Na środku kuchni stała dziwaczna konstrukcja z papieru, tektury, kawałków plakatów i styropianu przypominająca... Żadne porównanie jakos nie przychodziło mu do głowy.

- Co to ma być? - spytał zdumiony.

- Zobaczyłam to w Internecie - wyjaśniła - i postanowiłam zbudować moim dzieciom na poniedziałek. Zabawa będzie cudowna.

Gdyby był choć trochę bardziej rozsądny albo przynajmniej mniej zafascynowany gospodynią, wyszedłby natychmiast, nie czekając, aż sam padnie ofiarą pistoletu z klejem.

Nie opuścił jednak mieszkania Rebeki, usiadł za to na podłodze obok tekturowego potwora i zagapił się w niego.

- Trochę to wygląda jak kosmiczny statek - zaryzykował.

Rebeka wpadła w zachwyt.

- Otóż to! - wykrzyknęła. - Na obrazku tak to właśnie wyglądało. To miał być statek kosmiczny. Dali mi tylko może o kilka kawałków za dużo, ale w instrukcji jest napisane, że każdy sześciolatek zbuduje to w niecałe pół godziny.

Przez dłuższą chwilę oboje wpatrywali się w pa-

pierowe straszycło, a potem nagle wybuchnęli śmiechem.

- Niesamowity, prawda? - wykrztusiła Rebeka. - Zupełnie przypomina...

- Starego pingwina - dokończył Austin i znowu wybuchnęli śmiechem. - Grubego, łysego, pijanego pingwina.

Straszycło, jakby obrażone porównaniem, przewróciło się i Rebeka zachichotała.

- Przepraszam - odezwała się potem, ocierając łzy - ale zazwyczaj przygotowywanie lekcji idzie mi nieco lepiej. Naprawdę jestem całkiem niezłą nauczycielką.

- I bardzo kreatywną - dodał Austin. - Najlepiej będzie, jeśli teraz przerobimy ten kosmiczny statek na coś, co nam lepiej wychodzi. Zrobimy z tego stado pingwinów. Zobaczysz, dzieci bardzo się ucieszą.

Rebeka podskoczyła.

- Genialny pomysł! To się może nawet udać. Robimy pingwiny!

Intensywnie pracowali aż do lunchu i w sumie wyprodukowali pokaźne stado pingwinów; niektóre z nich nawet same trzymały się na nogach. Rebeka była zachwycona.

- Dzieciaki oszaleją, jak to zobaczą!

Potem długo myli nad zlewem ręce.

- Nie masz pojęcia, jak ci jestem wdzięczna, że wpadłeś - powiedziała Rebeka. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Pewnie bym wszystko upałała klejem i wcale nie skończyła tego cholernego statku.

Austin skłonił się, nie cofając rąk spod strumienia wody.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Gdyby chciała, mogłaby zrobić malutki krok w jego stronę i znalazłaby się w jego ramionach. To takie proste i... naturalne. Bardzo tego pragnęła, ale nie mogła mu tego powiedzieć. Przez cały tydzień widywali się codziennie i zawsze żegnali się pocałunkiem w policzek, i to po uprzednim uzgodnieniu. Tym razem jednak Rebeka pragnęła czegoś więcej; tylko ten jeden jedyny raz.

Oczywiście mu tego nie wyznała, ale jej spojrzenie musiało być bardzo wymowne.

Uśmiech znikł z twarzy Austina.

- Czy już ci mówiłem, że jesteś bardzo piękna?
- zapytał.

Skineęła głową, czując, że serce bije jej jak szalone.

- Masz w sobie naturalne piękno, którego nie jesteś świadoma - mówił dalej Austin. - Kiedy się uśmiechasz czy poruszasz, kiedy wykonujesz najprostsze gesty, robisz to z tak niezwykłym wdziękiem, że wzroku od ciebie nie można oderwać. Zawsze wtedy mam ochotę cię pocałować.

Czuł, że w tej chwili może to zrobić, nie pytając o pozwolenie. Widział zgodę w jej oczach. Serce Rebeki przyzywało go i prosiło, by zrobił to, o czym marzył przez tyle dni. Rozum jednak mówił co innego.

Przepowiadał, że strachy mogą się obudzić, i ostrzegał przed niebezpieczną próbą.

Dotknął wargami policzka Rebeki, a ona pomyślała,

że ta chwila mogłaby trwać wiecznie. Chciał ją objąć, ale się powstrzymał. Co go opętało? Rebeka przecież jeszcze nie przyszła do siebie po tamtych złych doświadczeniach, które sprawiły, że trzeba się z nią obchodzić jak z rekonwalescentką z wolna powracającą do zdrowia.

Tylko ona sama może zdecydować, kiedy postąpią krok naprzód. Jeśli tego nie zrobi, pozostaną w miejscu. Do niczego nie będzie jej zmuszał. Tylko czas może coś zmienić.

Głęboko westchnął i spróbował się uśmiechnąć.

- Co mi się tak przyglądasz? - zapytała. - Mam na nosie klej czy co?

- Nie - zaprzeczył. - Myślałem o czymś zupełnie innym. Nie jesteś głodna? Zapomnieliśmy o rogaliakach. Kupmy sobie teraz pieczonego kurczaka i chodźmy do parku, dobrze? Zrobimy sobie piknik. Zasłużyliśmy na to naszą ciężką pracą.

Rebeka złapała torebkę wiszącą na oparciu krzesła.

- No to lecimy!

Ze śmiechem pobiegli do drzwi.

- Proszę pani! Mój pingwin pierwszy dotarł do bieguny północnego! To ja wygrałam, prawda?

Rebeka pogładziła Lucy po głowie.

- Bawiliśmy się tylko, kochanie, i wszyscy wygrali. Wiele dróg prowadzi na biegun północny - zauważyła. - Chodzi o to, żeby mieć przyjemność i rozglądać się dokoła.

Lucy chyba nie bardzo zrozumiała, ale reszcie klasy

nie przeszkodziło to w zabawie. Zabawa była przednia. Czytali o życiu i zwyczajach pingwinów i robili wyścigi. Papierowe pingwiny od razu im się spodobały.

- One chyba jedzą ryby, prawda, proszę pani? Zrobmy im jeszcze papierowe ryby! - zawołał Josh Kitchen, a Rebeka o mało nie uściskała chłopca z radości.

Josh przyszedł do klasy przed dwoma miesiącami. Pochodził z rodziny należącej do marginesu społecznego i do tej pory właściwie nigdy nie zabierał głosu.

A teraz? Nie tylko bawi się ze wszystkimi, ale na dodatek proponuje nową zabawę!

Spojrzała na niego wzruszona.

- Doskonały pomysł. Zaraz ci pokażę obrazek w książce, którą wypożyczyłam z biblioteki. Zobaczysz, jak taka ryba dla pingwina ma wyglądać.

Niczym wróble skupili się nad jej stołem i zaczęli oglądać obrazki.

- To ta ryba!

- A tutaj jest igloo! Ja zrobię igloo!

- A ja rybę!

Rebeka biegała od ławki do ławki, pomagając jednym i chwając innych, radosna i podniecona wspólną zabawą.

Dla takich właśnie chwil zostaje się nauczycielem. Z tego powodu podejmuje się ogromny trud i z tego samego powodu nieraz przeżywa się chwile zwątpienia.

Nawet nie zauważyła, kiedy w drzwiach klasy stanął Richard Foster... Obejrzała się dopiero wtedy, kiedy Lucy pociągnęła ją za spódnicę.

- Proszę pani, pan dyrektor przyszedł. Stoi w drzwiach cały czerwony. Czy on się na nas gniewa?

Rebeka zerknęła we wskazanym kierunku i zadrżała. Purpurowa twarz zwierzchnika nie wróżyła nic dobrego. Kiedy Richard tak wyglądał, wszyscy chowali się w mysie dziury. Pewnie znowu ma zły dzień.

- Wcale się na nas nie gniewa - powiedziała do Lucy, nie chcąc jej przestraszyć. - Po prostu pewnie był na plaży i trochę się opalił. Nie przerywaj sobie zabawy, a ja porozmawiam z panem dyrektorem.

Na uginających się nogach podeszła do Richarda.

- Dzień dobry - powitała go uprzejmie.

W jego wzroku były wszystkie wieczne śniegi bieguny północnego.

- Co tu się dzieje? - zapytał bez wstępów.

Rebeka zamrugała powiekami.

- Jak to? - nie zrozumiała.

- Pytam, co to za wrzaski. U siebie w gabinecie nie mogę nawet rozmawiać przez telefon. Nie słyszę samego siebie! Co to za awantury?

- Właśnie się bawiliśmy... - Rebeka próbowała wprowadzić go w arkana nowej gry, ale nie dopuścił jej do głosu.

- Nie obchodzi mnie to! - wrzasnął. - Natychmiast ma być cisza! Zrozumiano?

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Ale my...

- Proszę ze mną nie dyskutować - oświadczył lodowatym tonem. - Nie panujesz nad klasą. Nie wiem, co się stało, że ostatnio tak fatalnie pracujesz, ale będę

z tego musiał wyciągnąć wnioski. Masz zaraz ich uspokoić i czymś zająć. Zaraz!

Rebeka nie lubiła się kłócić. Zawsze wolała ustąpić; miała niedobre doświadczenia: w młodości nieraz widziała, do czego może doprowadzić gwałtowna wymiana zdań. Tym razem jednak musiała bronić uczniów. Należało do jej obowiązków przełamać ich nieśmiałość i zachęcić do pracy w grupie. I właśnie teraz, kiedy tak wspaniale jej się udało, kiedy wszyscy tak świetnie się bawili, Richard chce wszystko zepsuć.

- Nie chciałam im przerywać właśnie teraz - powiedziała łagodnie. - Z niektórymi dopiero dziś po raz pierwszy nawiązałam kontakt. To może być w ich życiu bardzo ważny dzień. Josh Kitchen, na przykład, i Tara Sears, oni nigdy dotąd nie bawili się z resztą klasy. Nie mogę tego zniszczyć.

Jeśli sądziła, że go wzruszy, bardzo się myliła.

- Nie chodzi mi o uczniów, tylko o ich rodziców - wycodził dyrektor. - Gdyby teraz przypadkiem ktoś z nich wszedł do szkoły i usłyszał te dzikie ryki dochodzące z twojej klasy, co by sobie o mnie pomyślał? Że prowadzę tu zwierzyniec? Masz natychmiast przetrwać te wygłupy albo zrobię to za ciebie. Wybieraj.

Nie miała wyboru.

- Zaraz sama to zrobię - szepnęła, powstrzymując napływające od oczu łzy.

Światło w oczach Josha Kitchena przygasło i Rebeka poczuła cierń w sercu. Jeszcze w kilka godzin później z bólem wspominała ten moment, kiedy

musiała zakomunikować dzieciom, że powinny odłożyć pingwiny, bo teraz „sobie chwilę spokojnie poczytają”.

Wstawiła z powrotem do lodówki sałatkę z kurczaka; nie była w stanie nic przełknąć. Wszystko z winy Richarda Fostera. Myślała, że zna tego człowieka, a okazał się kompletnie nieprzewidywalny. Bardzo mu współczuła z powodu rozwodu, ale przecież w chwili, gdy wchodził do szkoły, przestawał być zdradzonym mężem i stawał się pedagogiem.

Przynajmniej tak powinno być. Nie wolno pozwolić, żeby życie prywatne wywierało wpływ na obowiązki zawodowe. Jak on może tak lekceważyć dobro powierzonych sobie dzieci?

Przed wyjściem ze szkoły zamierzała iść do jego gabinetu i wszystko mu wygarnąć. Oczywiście tego nie zrobiła. A teraz dręczyła się tym, że podkuliła ogon i wymknęła się jak zbity pies. Powinna była przecież jakoś zareagować!

Prawie nie dosłyszała lekkiego pukania do drzwi. Doszedł ją dopiero dźwięk dzwonka. Nie miała ochoty na gości, ale w mieszkaniu paliło się światło i nie mogła udawać, że jej nie ma. Zrezygnowana poszła otworzyć. Przez wizjer dostrzegła Austina...

Skąd wiedział, że tak bardzo go potrzebuje?

- Austin! Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj.

- Byłem właśnie w okolicy, więc postanowiłem wpaść i dowiedzieć się, czy nasze pingwiny podobały się dzieciom - wyjaśnił, wchodząc do środka. - Coś się stało? - zaniepokoił się, przyjrawszy jej się uważnie.

Nie chciała mu mówić. To jej problem i rozwiąże go bez niczyjej pomocy, ale jej oczy same napełniły się łzami.

- Dzieciom bardzo się podobały - szepnęła - ale dyrektorowi mniej.

Opowiedziała mu, co zaszło, próbując jakoś wytłumaczyć zachowanie Fostera.

- Przechodzi bardzo ciężki okres. Właśnie rozwodzi się z żoną, po siedemnastu latach małżeństwa. Bardzo ciężko to przeżywa. Fatalnym zbiegiem okoliczności miał właśnie swój zły dzień, kiedy moje dzieci świetnie się bawiły.

Austin przez chwilę nad czymś myślał.

- Nie wiem, czy to zbieg okoliczności - oznajmił potem. - Mnie ten facet wygląda po prostu na palanta. Przecież jako pedagog powinien wiedzieć, że nie wolno mu się wyładowywać na uczniach. To niedopuszczalne. Rada szkoły też pewnie będzie tego zdania.

Rebeka spojrzała na niego błagalnie.

- Nikomu o tym nie powiesz, dobrze? Każdemu może się zdarzyć, że nad sobą nie zapanuje. To przecież też i moja wina. Dzieci mogą się bawić, nie robiąc takiego hałasu. Nie potrafiłam ich uspokoić.

Nie wierzył w jej winę ani w to, że Rebeka mogła nie radzić sobie z uczniami. Doskonale wiedział, że za wszelką cenę stara się usprawiedliwić dyrektora. Nie chce, żeby miał kłopoty; może się obawia, że potem będzie się na niej mścił. A przełożony, jak zechce, zawsze znajdzie sposób, żeby życie podwładnego zamienić w piekło.

- Jesteś wobec siebie zbyt surowa - stwierdził - ale cię rozumiem. Nie złożę skargi na twojego szefa, bo mógłbym ci tym zaszkodzić. Staraj się unikać go w miarę możliwości, schodź mu z drogi, a jeśli już musisz z nim rozmawiać, bądź po prostu uprzejma. Może rzeczywiście, kiedy ta historia z rozwodem się skończy, facet się uspokoi.

Rebeka też na to liczyła. „Ta historia z rozwodem” może, co prawda, jeszcze trochę potrwać, ale za jakiś rok Richard pewnie już odzyska formę i zacznie zachowywać się normalnie.

Westchnęła. Rok to strasznie długo; trzeba zacisnąć zęby i jakoś wytrzymać, chyba że postanowi poszukać sobie innej pracy. Na to jednak nie miała ochoty.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez następny tydzień udawała, że nic się nie stało, i próbowała zachowywać się normalnie. Dzieci bez przerwy pytały, kiedy znowu będą się bawić pingwinami i z bólem serca musiała je zwodzić. Papierowe pingwiny schowała do szkolnej szafy, ale któraś z dziewczynek znalazła je i wyciągnęła, więc Rebeka musiała wynieść je do domu i zniszczyć.

Z czasem uczniowie przestali dopominać się o zabawę w biegun północny. Ich pani jednak nie mogła zapomnieć przykrego zdarzenia, zbyt zabołało ją zachowanie Richarda. Za każdym razem, kiedy go spotykała w drzwiach szkoły albo na korytarzu, przypominała sobie tamtą scenę i budził się w niej gniew.

A przecież jeszcze niedawno uważała go za idealnego dyrektora. Był surowy, ale sprawiedliwy i uczniowie bardzo go lubili. Teraz wszystko się zmieniło. Schodzili mu z drogi, a za jego plecami robili małe miny. Przezywali go i śmiali się z niego. Nic dziwnego: Richard snuł się po szkole naburmuszony i każdemu zwracał uwagę.

Nie tylko uczniowie tak na niego reagowali. Znacznemu pogorszeniu uległy również stosunki dyrektora z nauczycielami. Richard nikogo jednak nie tępił z ta-

ką zaciekłością jak Rebeki. Gubiła się w domysłach. Kiedy Fosterowie byli jeszcze małżeństwem, często bywała w ich domu. Przyjaźnili się, a teraz Richard patrzył na nią jak na śmiertelnego wroga.

Sytuacja pogarszała się z każdym dniem i nic nie pomagało schodzenie mu z drogi. Richard każdego ranka zaglądał do pokoju nauczycielskiego i zawsze znalazł powód, żeby jej zwrócić uwagę.

- Nie jesteś już małą dziewczynką - oświadczył złośliwie pewnego dnia - i nie powinnaś nosić rozpuszczonych włosów. To dobre dla pierwszoklasistek. Jesteś nauczycielką i powinnaś odpowiednio wyglądać. Przemyśl to sobie.

W pokoju było kilkunastu innych nauczycieli i Rebeka o mało nie zapadła się pod ziemię ze wstydu. Rano bardzo się spieszyła i nie zdążyła się uczesać, założyła tylko opaskę na włosy. Kilka innych nauczycielek też tego dnia nie spięło włosów, ale tylko ona jedna została wyróżniona nagana.

Zaczerwieniła się i już miała go zapytać, czy specjalny rodzaj uczesania obowiązuje tylko ją jedną, czy też odnosi się do wszystkich, ale ugryzła się w język. Nie chciała się z nim kłócić w obecności tylu osób.

- Mam w torbie spinki. Zepnę włosy przed pójściem do klasy - oświadczyła.

- Mam nadzieję - rzucił sucho dyrektor i nie raczywszy na nikogo spojrzeć, opuścił pokój nauczycielski.

Zapadła ciężka cisza. Rebeka siłą powstrzymała łzy.

- Wszystko w porządku? - Penny Taylor, wychowawczyni piątej klasy, spojrzała na nią z niepokojem.

Rebeka skinęła głową.

- Tak.

Penny nie ustąpiła.

- Widzę przecież, że coś się dzieje. Czego on się ciebie tak czepia? Przecież zawsze byłeś ulubienicą naszego potwora.

Rebeka skrzywiła się.

- Co chcesz przez to powiedzieć? I dlaczego nazywasz go potworem? Myślałam, że go lubisz.

- Chyba żartujesz. - Penny wzruszyła ramionami.
- Przez te wszystkie lata po prostu go tolerowałam, bo musiałam. Zależy mi na pracy. Dotychczas tylko ciebie traktował po ludzku, my byliśmy dla niego jedynie złem koniecznym. Teraz, kiedy żona go rzuciła, kompletnie zwariował. Zachowuje się podle, chyba zauważyłaś?

Rebeka niechętnie kiwnęła głową.

- Myślałam, że tylko wobec mnie jest taki. Krytykuje wszystko, co robię - wyznała.

- Nie chodzi o ciebie - pocieszyła ją koleżanka.
- Wszystkich tępi. Osobiście, nawet się zdziwiłam, że ciebie też, bo zawsze utrzymywał, że jesteś świetną nauczycielką. Ostatnio wymyśliłaś jakąś zabawę z pingwinami, prawda?

Rebeka osłupiała.

- Tak, ale to akurat bardzo mu się nie spodobało. Przerwał mi lekcję i kazał natychmiast uspokoić klasę.

- Każdemu, kto tylko chciał słuchać, opowiadał, że to było genialne. - Penny pokręciła głową. - Mó-

wiłam ci, że facet zwariował. Sam już nie wie, co gada, a my za to płacimy. Powinien chyba iść do psychiatry.

Rebeka nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Może źle rozumiałaś. Nie mógł mnie chwalić za te pingwiny, bo doprowadziły go do szału. Wpadł jak bomba i kazał przerwać zabawę, bo gdyby jakiś rodzic właśnie wszedł, przestraszyłby się hałasu. Nic go nie obchodziło, że dzieci dobrze się bawią.

Penny wzniosła oczy do nieba.

- Cały Richard Foster! Zawsze chodziło mu tylko o pozory. Do tego już się zdażyłam przyzwyczać, nie znoszę tylko, jak się tak o wszystko czepia. Cała nadzieja w tym, że kiedyś wreszcie się rozwiedzie i znowu będzie naszym starym poczciwym dyrektorem, który umiera ze strachu przed radą szkoły, ale przynajmniej nikomu nie szkodzi.

Rozstały się; Rebeka spięła włosy i powoli poszła do klasy. Trudno, miewała już gorsze sytuacje w życiu i jakoś dawała sobie radę. Przetrzyma i Fostera.

Następne trzy dni były koszmarne. Mimo że unikała go jak ognia, on codziennie znalazł jakiś sposób, żeby skrytykować jej strój albo metody wychowawcze. Próbowowała nie dać się zgnębić i pragnąc mu pokazać, że nic sobie z niego nie robi, śmiała się i wesoło gawędziła z uczniami i kolegami. Potem wracała do domu i pod prysznicem wypłakiwała swój żal.

Nie chcąc, żeby Austin czegoś się domyślił, udawała bardzo zapracowaną i rozmawiała z nim tylko przez telefon. Na pytania, jak tam w szkole, ożywionym głosem opowiadała, że „wszystko jak najlepiej”. Nie po-

trzebowała jego pomocy; nie była już porzuconym dzieckiem, które każdy mógł skrzywdzić. Sama da sobie radę ze swoimi problemami.

Pewnego dnia jednak kropla przepełniła kielich. Po wyjątkowo trudnym dniu Rebeka wróciła do domu i stojąc pod prysznicem, wybuchnęła płaczem. Wyszła z łazienki purpurowa, ze spuchniętymi oczami i uczuciem, że nikt ani nic nie może jej pomóc. Włożyła szlafrok i poszła do kuchni zrobić sobie zupę.

Siedziała właśnie przy kuchennym stoliku, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Serce podeszło jej do gardła na myśl, że to Austin. On nie może jej zobaczyć w tym stanie! Nie może się dowiedzieć, jakie rozmiary przybrał jej konflikt z Richardem! Musi udać, że jest chora i nie może go przyjąć. Brzydzi się kłamstwem, ale trudno, nie może spojrzeć mu w oczy; nie dzisiaj.

Podeszła do drzwi i nie patrząc przez wizjer, szepnęła:

- Austin, nie mogę cię wpuścić, bo bardzo źle się czuję.

Ku swemu ogromnemu zdumieniu w odpowiedzi usłyszała głos Joego.

- To nie Austin, to ja, kochanie. Jesteś chora? Co się stało? Otwórz, muszę cię zobaczyć.

Przymknęła oczy i cichutko jęknęła. Bardzo kochała swego przybranego ojca, ale właśnie teraz nie chciała go widzieć. Joe znał ją na wylot; spojrzy na nią i od razu się domyśli, że coś jest nie tak.

Musiała jednak go wpuścić, tym bardziej teraz, kiedy mu powiedziała, że jest chora. Joe nie pozwoli się

spławić; jeśli mu nie otworzy, sprowadzi Meredith i tak czy inaczej dostaną się do środka. Lepiej wpuścić go teraz, jakoś go uspokoić i odesłać do domu.

Wydawało się proste, ale wcale takie nie było. Ledwo uchyliła drzwi, Joe przyjrzał jej się uważnie, dotknął ręką jej czoła, by sprawdzić, czy ma gorączkę, i zajął głęboko w oczy.

- Co się stało? Dlaczego płakałaś? - zapytał od razu.

- To po prostu uczulenie - odpowiedziała. - Męczy mnie od rana. Wzięłam już lekarstwo, ale muszę trochę poczekać, aż zacznie działać.

Ktoś inny może by to kupił i dał się przekonać, ale Joe nie na darmo wychował kilkoro dzieci i nie tak łatwo było wyprowadzić go w pole.

- Dobra, dobra - oświadczył niecierpliwie. - Zapomniałaś, że mamy alergię na to samo, a ja dziś świetnie się czuję. Wymyśl coś innego, córeczko. A może lepiej po prostu powiedzieć prawdę. Czy chodzi o Austina? Chyba na niego czekałaś. Czy coś ci zrobił? Już ja z nim pogadam.

- Nie! - krzyknęła przerażona. - To nie ma z nim nic wspólnego. Dam sobie radę sama.

- Ale z czym? O co chodzi?

Nie chciała mu mówić, nie chciała go martwić tym, że znowu ma kłopoty, ale tak bardzo ją wzruszyło, że Joe jest tuż obok, jak zwykle gotowy jej pomóc, że nie mogła powstrzymać łez.

- Przestań, kochanie.

Joe objął ją i pocałował w policzek. Był jedynym mężczyzną, którego się nie bała. Wiedziała, że jego

czułość niczym jej nie grozi. Joe był dla niej jak prawdziwy ojciec, którego nigdy nie miała.

- Opowiedz mi wszystko, kochanie - poprosił. - Może będę mógł ci pomóc.

Gdyby Meredith tak się nie zmieniła, już dawno by jej wszystko powiedziała i pewnie nie doprowadziłaby się do tak rozpaczliwego stanu, ale Meredith nie znajdowała dla niej czasu. Miała obowiązki towarzyskie i dwóch synów, których nie spuszczała z oka. Joe zawsze umiał godzić pracę z życiem rodzinnym i zawsze każdego umiał wysłuchać.

Wytarła nos podaną sobie chusteczką.

- Chodzi o Richarda... mojego szefa. Stale mi dokucza. Bardzo przeżywa swój rozwód i jest strasznie zdenerwowany. Chodzi po całej szkole i wszystko ma wszystkim za złe. Nikt mu nie zwróci uwagi, bo nauczyciele boją się stracić pracę.

- Myślałem, że się przyjaźnicie - zdziwił się Joe.

- To było dawno. Ostatnio bardzo się zmienił, wszystkich terroryzuje. Ja dłużej tego nie wytrzymam.

Joe bez słowa sięgnął po telefon komórkowy.

- Zaraz to załatwimy. Zadzwoń do Sinclaira, niech coś z tym zrobi. Dalej jest przewodniczącym rady szkolnej, prawda?

Rebeka przestraszyła się. Powinna była się spodziewać, że Joe zareaguje w ten sposób. Przestał już być senatorem, ale nadal wiele mógł załatwić. Jeden jego telefon i Richard wyleci z pracy.

- Nie chcę, żeby miał kłopoty - zaprotestowała szybko. - Nie po to ci powiedziałam.

- W takim razie jutro sam pójde do niego - zdecydował natychmiast Joe. - O której zaczynacie lekcje?

Musiała się uśmiechnąć. Jego troska bardzo ją wzruszyła. Rebeka nie po raz pierwszy podziękowała w duchu opatrności, że na drodze jej życia postawiła Coltonów. Nie wiedziała, co by bez nich zrobiła.

- Dziękuję ci, że chcesz mi pomóc - powiedziała przez łyzy. - Nawet nie wiesz, co to dla mnie znaczy. Ale z tą sprawą muszę uporać się sama.

- Zawsze tak mówisz. - Joe był wyraźnie zawiedziony. - Nic, tylko sama i sama. Dlaczego nie chcesz, żebym to dla ciebie zrobił?

- Zrobiłeś dla mnie już tyle, że tę jedną sprawę mogę załatwić sama - odparła Rebeka. - Zresztą stale jeszcze uważam Richarda za przyjaciela, mimo że zachowuje się tak dziwnie. A przyjaciół nie porzuca się w trudnych chwilach.

Joe skinął głową.

- Zgoda, ale przyjaciele nie postępują tak jak on.

- Porozmawiam z nim - oświadczyła z determinacją. - Dawno już trzeba było to zrobić. Nie chciałam się wtrącać w jego sprawy, ale widzę, że sam nie da sobie rady. Muszę mu jakoś pomóc.

Joe nie wyglądał na przekonanego, ale ufał swojej przybranej córce.

- Skoro tak wolisz... Rób, jak uważasz. Myślę, co prawda, że najlepiej by mu zrobił solidny kopniak, ale jeśli sądzisz, że szczerza rozmowa wystarczy, trudno, spróbuj. Gdyby ci się nie udało, zawiadom mnie.

Miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Zazwyczaj

nie dokładała problemów ludziom znajdującym się w trudnej sytuacji, zwłaszcza jeśli chodziło o kogoś, kogo do niedawna uważała za przyjaciela. Okazała się może wobec Richarda i tak zbyt cierpliwa, ale postanowiła spróbować jeszcze raz.

- Dobrze - uspokoiła Joego. - Powiem ci, dziękuję za troskę.

Mimo pewności, że zamierza postąpić słusznie, odwlekała tę rozmowę, jak długo się dało. Ostatecznie postanowiła porozmawiać z nim dopiero po lekcjach, kiedy już wszyscy uczniowie i nauczyciele rozejdą się do domów.

Wziąwszy pod uwagę jego zachowanie w ostatnim czasie, mogła spodziewać się wybuchu, ale nie chciała zwlekać dłużej.

Kiedy szkoła opustoszała, wzięła się w garść i ruszyła do jego gabinetu. Przez szybkę w drzwiach zobaczyła Richarda siedzącego za biurkiem.

Zapukała w szybkę, uchyliła drzwi i wsunęła głowę do środka.

- Jesteś zajęty? - zapytała, przybierając wymuszony uśmiech. - Chciałabym z tobą porozmawiać.

Przez chwilę myślała, że Richard odeśle ją z kwitkiem, ale tego nie zrobił; wstał zza biurka, podszedł i otworzył szerzej drzwi.

- Wejdz - powiedział krótko. - Właśnie skończyłem. Czym mogę służyć?

Poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Nie miała pojęcia, jak zacząć. Jak poinformować przełożonego,

że zachowuje się niemądrze, skoro w każdej chwili może człowieka wyrzucić z pracy? Weszła do gabinetu, złożyła ręce i z determinacją spojrzała mu prosto w twarz.

- Nie wiem, jak to powiedzieć, nie chciałabym cię urazić. Wiem, że ludzie, kiedy się rozwodzą, tracą nie raz przyjaciół, ale chciałabym, żebyś wiedział, że nam to nie grozi. W dalszym ciągu uważam cię za przyjaciela i bardzo ci współczuję. Ostatnie tygodnie były dla ciebie bardzo ciężkie i chciałabym ci jakoś pomóc.

Powiedziałyby to każdemu w takiej sytuacji. Była naprawdę wzruszona i gotowa nawet popłakać sobie nad jego losem, ale Richard nie dał jej na to szansy.

Rzucił się na nią jak szaleniec i zaczął obmacywać.

- Richard! Co robisz? Zostaw mnie! - krzyknęła przestraszona.

- Nie bądź śmieszna - wydyszał jej prosto do ucha.

- Chyba wiesz, jak długo na to czekałem. Pragnę cię i cieszę się, że nareszcie to zrozumiałaś.

Przerażona i pełna obrzydzenia próbowała mu się wyrwać.

- Nie! Puść mnie! Mylisz się!

Richard tylko się roześmiał.

- Nie udawaj głupiej. Już ja wiem, kiedy kobieta ma na mnie ochotę. A ty masz na mnie ochotę, tak samo jak ja na ciebie.

Objął ją jeszcze mocniej i zaczął całować. Był bardzo silny i Rebeka, szamocząca się pod naporem jego ciała i wszystkich swoich koszmarnych wspomnień, czuła, że opuszczają ją siły.

Oderwała od niego usta.

- To nie o mnie ci chodzi - próbowała go przekonać. - Myślisz o Sylwii. To ją widzisz na moim miejscu. Dlatego tak się dziwnie zachowywałeś, bo nie mogłeś znieść myśli, że od ciebie odejdziesz.

Poczuła jego lepki oddech na szyi.

- Zawsze chciałem się z tobą przespać. Musiałem na ciebie pokrzyczeć od czasu do czasu, żeby inni nie gadali, że cię wyróżniam. Ale teraz nikogo tu nie ma i możemy sobie pofiglować.

- Nie! - szarpnęła się.

Znowu zaczął ją całować i Rebeka poczuła, że traci kontakt z rzeczywistością. To nie był Richard i nie znajdowali się jego gabinecie. Ściany się rozsunęły, pociemniały i znowu znalazła się w schronisku dla nieletnich, a zaraz potem w brudnym mieszkaniu matki. Męskie spocone ciała napierały na nią i znowu była małą bezbronną dziewczynką, wydaną na pastwę ich żądz. Czuła lepkie ręce napastników na całym ciele...

Potem nie wiedziała, jak się od niego uwolniła. Musiała walczyć jak ranne zwierzę, bo w pewnej chwili oderwał się od niej i ze zdumieniem spojrział w jej szeroko otwarte oczy.

Nigdy nie widział kogoś tak przerażonego i naprawdę się przestraszył.

- Rebeko, co ci jest?

- Nie pozwolę ci! - krzyknęła. - Nie pozwolę ci znowu tego zrobić! Słyszysz? Nie pozwolę!

Próbował jakoś ją uspokoić, ale wyrwała mu się jedynym ruchem.

- To ja, Richard, już dobrze... Nic ci nie zrobię, tylko się uspokój - mówił, próbując ująć ją za ręce.

Nie słyszała go, myślami przebywając w krainie koczmaru. Wiedziała tylko jedno: ten mężczyzna próbuje ją złapać. Odepchnęła go z taką siłą, że wylądował na biurku, stracił równowagę i jak worek kartofli spadł na podłogę.

Rebeka nawet na niego nie spojrzała. Wybiegła z gabinetu, jakby goniło ją stado diabłów.

Richard pozbierał się i ruszył za nią. Zdążył tylko zobaczyć tylne światła oddalającej się toyoty camry.

Austin siedział w hotelowym pokoju nad prowizoryczną mapką patia. Zaznaczył krzyżykami miejsca, gdzie w czasie, kiedy padł strzał, stały poszczególne interesujące go osoby. Odnosił wrażenie, że bez względu na to, jaki trop wybierze, wali głową o mur. Najgorsze, że ten łobuz gdzieś tu musi być, na tym planie. Jest tak blisko, że prawie go widać. Tylko kto to, do cholery, jest? I dlaczego tak trudno wpaść na jego ślad?

Niejeden dzień spędził, próbując sobie odpowiedzieć na te pytania. Porozumiał się nawet z innymi detektywami zajmującymi się tą sprawą, lecz oni również nie mieli żadnej koncepcji, a na dodatek stale podejrzewali kogoś z rodziny.

Postanowił zasięgnąć opinii jeszcze jednej osoby. Może ona podsunie mu jakiś pomysł. Schował papiery do teczki i pojechał prosto do Rebeki.

Była w domu, bo jej samochód stał na parkingu, ale na dzwonek u drzwi nikt nie odpowiedział. Austin

odczekał kilka minut i energicznie zapukał. Nikt się nie odezwał.

Wyglądało na to, że Rebeka wyszła. Mogła przecież iść na spacer albo pojechać gdzieś samochodem z kimś znajomym. Wpadnie do niej później. Już miał odejść, gdy coś mu powiedziało, by jeszcze poczekał.

Przysunął twarz do drzwi i odezwał się:

- Rebeko? To ja, Austin. Jesteś tam?

Odpowiedziała mu cisza i zrobiło mu się głupio.

Pewnie, że jej nie ma. Idiota ze mnie, wyszła gdzieś i już. W tej samej chwili usłyszał dźwięk zasuwki.

- Czułem, że jesteś w domu... - zaczął i nie skończył.

Rebeka wyglądała przerażająco. Była blada jak ściana i ledwo trzymała się na nogach. W jej oczach zastygło przerażenie.

- Co ci jest, kochanie? Co się stało? - pytał zaniepokojony.

Cofnęła się tak szybko, że omal nie przewróciła stojącego w przedpokoju stolika. Przewrót w jej oczach zmieniło się w dziką panikę. Austin cofnął wyciągniętą ku niej rękę.

Rebeka spojrzała na niego i z wolna zaczęła wracać do siebie. Zdumienie na jego twarzy uświadomiło jej, jak musi wyglądać.

- O Boże! - szepnęła i rozpłakała się.

Chciał ją wziąć w ramiona i utulić jak przestraszone dziecko, ale tego właśnie nie mógł zrobić. Ostrożnie wszedł do środka i powoli zamknął za sobą drzwi.

- Chodźmy do kuchni - odezwał się łagodnie. -

Zrobię ci coś do picia. Może gorącej herbaty z cytryną? Moja matka mówi, że gorąca herbata z cytryną jest dobra na wszystko.

Zaprowadził ją do kuchni i zaczął szukać herbaty w torebkach. Kiedy wreszcie postawił przed nią na kuchennym stole filiżankę z parującym napojem, Rebeka znowu załkała.

- Ach, Austin...

Szukała pomocy i pociechy, chciała poczuć się bezpieczna, a on nie mógł nic zrobić. Mógł jedynie lekko musnąć dłonią jej drżącą rękę leżącą na stole.

- Dziękuję - szepnęła - i przepraszam za to, że tak długo trzymałam cię za drzwiami.

- Nie martw się o mnie - poprosił. - Napij się herbaty i spróbuj mi wszystko opowiedzieć.

Nie chciała wracać do tamtej koszmarnej sceny, chciała jak najszybciej zapomnieć o rękach Richarda błakających się po jej ciele, ale po latach terapii wiedziała, że jeśli zaraz z siebie tego nie wyrzuci, zniszczy wszystko, co dotąd udało jej się zrobić z własną psychiką. A na to nie mogła pozwolić.

Piła herbatę dużymi łykami, tak jakby chciała, żeby ciepło napoju roztopiło lód, jakim była ścięta jej dusza.

Siedzieli tak w milczeniu bardzo długo. Kochała tę bezgraniczną cierpliwość Austina, lecz kiedy przemówiła, spojrzenie miała utkwione w bok.

- Po lekcjach poszłam do gabinetu Richarda - zaczęła, nie patrząc na niego. - Jak wiesz, ostatnio bardzo mi dokuczał. Postanowiłam z nim o tym porozmawiać.

Austin zmarszczył brwi.

- Próbowałam go unikać - ciągnęła martwym głosem - ale mi się nie udawało. Zachowywał się okropnie. Nie mówiłam ci o tym, bo nie chciałam cię martwić. Masz tyle kłopotu ze śledztwem... Chciałam sama załatwić tę sprawę. Przepraszam, że to ukrywałam.

- Nie masz za co - odparł. - Nie musisz mi mówić wszystkiego.

- Ale... może sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym ci powiedziała. Może byś się domyślił, uprzedził mnie...

Urwała.

- Czego miałem się domyślać?

- Że on ma na mnie ochotę!

Określiła to tak obcesowo, bo nagle obudziła się w niej złość i nie starała się dobierać słów.

- Miałam go za przyjaciela, ufałam mu, a on...

- Co zrobił? - spokojnie zapytał Austin.

Łzy spłynęły po jej twarzy.

- Powiedział, że mnie pragnie i dlatego tak mnie dręczył, bo nie chciał, żeby inni nauczyciele mówili, że mnie faworyzuje. Dzisiaj byliśmy w szkole sami, wszyscy już wyszli, a ja, idiotka, poszłam do jego gabinetu, żeby mu powiedzieć, że może na mnie liczyć.

Usta Austina zacisnęły się i pobladły.

- A on uznał to za zaproszenie i rzucił się na ciebie.

Rebeka spuściła głowę.

- Tak, rzucił się na mnie i zaczął mnie całować. Nie bardzo pamiętam, co było dalej, bo nagle zaczęło mi się wydawać, że jestem w schronisku dla nieletnich,

tam, gdzie wtedy... Byłam przerażona, nie wiem, jakim sposobem udało mi się uciec. Chyba go uderzyłam. Potem jechałam do siebie i nagle znalazłam się w domu. Nie wiem jak ani kiedy.

Austin z trudem się opanował. Richard Foster doprowadził ją do takiego stanu... Mógłby go teraz zabić. Przestraszył ją tak bardzo, że straciła kontakt z rzeczywistością i nie wiedziała, gdzie jest. A wszystko dlatego, że ten bydlak miał na nią ochotę i nie zadał sobie trudu, by to ukryć. Z łatwością nauczyłby pana dyrektora, jak należy odnosić się do damy. Wystarczyłoby mu na to pięć minut. Dałby mu najlepszą szkołę.

Teraz jednak musi zachować spokój. Rebeka go potrzebuje i nie liczy się nic innego.

- Nic złego nie zrobiłaś - rzekł poważnie. - To chyba wiesz.

- Zaufałam mu.

- Tak, ale to nie znaczy, że ponosisz winę za to, co się stało. Próbowалаś pomóc komuś, kogo uważałaś za kolegę, a on to wykorzystał. To jego problem, nie zadreńczaj się tym.

Mógł spokojnie sobie darować podobną argumentację.

- Wiesz, co mnie najbardziej dręczy? - zapytała umęczonym głosem. - Wyobrażam sobie, co myślał za każdym razem, kiedy na mnie patrzył. - Drgnęła. - To obrzydliwe, czuję się brudna.

Austin zrozumiał; nareszcie wszystko zrozumiał. Wiedział już, co stało się przekleństwem jej życia, po tym, jak zbrukano ją w dzieciństwie. Nie mógł odebrać

jej wspomnień, nie mógł jej uwolnić od pamięci. Nikt nie mógł tego zrobić.

Rebecę można było tylko dać nadzieję. Można było trwać przy niej w chwili obecnej, w oczekiwaniu na lepszą przyszłość.

- A może byś wzięła kąpiel? - zaproponował. - Długą, ciepłą kąpiel w wannie pełnej piany? Odpoczniesz sobie i poczujesz się lepiej.

- Nie chcę, żebyś wychodził.

- Nie wyjdę, poczekam tutaj na ciebie.

Niemal widział jej myśli. Rebeka wahała się, czy mu zaufać. Chciała wierzyć, że może spokojnie wziąć kąpiel, kiedy on jest w mieszkaniu, lecz widocznie nie mogła. Ktoś zniszczył jej zaufanie do mężczyzn.

- Ze mną jesteś bezpieczna - zapewnił ją. - Nic ci nie zrobię. Daję ci słowo.

Przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, bacznie mu się przyglądając, jakby chciała z jego oczu wyczytać prawdę. Chyba jej się to udało, bo w końcu wstała i skierowała się do łazienki.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Postaram się nie kąpać zbyt długo.

- Nie spiesz się - rzucił swobodnie. - Poczekam na ciebie. Kiedy wyjdiesz, zastaniesz mnie na tym samym miejscu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy czterdzieści minut później Rebeka wróciła do salonu, wyglądała znacznie lepiej. Przebrała się w dżinsy i koszulkę, była boso. Z rozpuszczonymi, mokrymi włosami wyglądała jak nastolatka.

Austin spojrział na nią z podziwem.

- Nie wiedziałem, że włosy ci się kręczą - powiedział.

Rebeka uniosła rękę ku ciemnym splotom.

- Jak tylko je zmoczę, robią się zupełnie niesforne. Dawniej bardzo nie lubiłam takich loczków, ale potem nauczyłam się je prostować.

- Jest ci w nich ślicznie - stwierdził szczerze.

W promieniach zachodzącego słońca, wpadających przez okno do salonu, loki Rebeki lśniły miedzią i złotem.

- Jak się teraz czujesz? - zapytał.

- Lepiej. Staram się o tamtym nie myśleć.

Straciła już uprzednią bladość i z jej oczu zniknęło przerażenie, lecz oboje wiedzieli, że strach, niczym ukryty wirus, czai się w niej, gotów w każdej chwili obudzić się i opanować całą jej istotę. Trzeba było ją czymś zająć, by nie miała czasu wrócić myślami do przeszłości.

- Może byśmy gdzieś poszli? - zaproponował. - Zjedźmy coś w mieście.

Rebeka zawahała się.

- Sama już nie wiem... Nie jestem odpowiednio ubrana.

Austin mrugnął okiem.

- Tam, gdzie pójdziemy, twój strój nikogo nie zgorzy. Zobaczysz, chodźmy.

Nie dał jej czasu do namysłu. Bez dalszych dywagacji sięgnął po torebkę, którą po powrocie ze szkoły rzuciła na łóżko, i wyprowadził Rebekeę na parking. W dziesięć minut później wysiadali już z samochodu pod pizzerią, gdzie głównie jadal rodzice z małymi dziećmi.

- Wiem, że po całym dniu spędzonym z dzieciarnią możesz nie mieć ochoty na ich widok, ale to najlepsze miejsce, żeby przestać myśleć - wyjaśnił Austin. - Taki tu hałas, że człowiek nie słyszy własnych myśli.

Miał rację. Harmider wchłonał ich z siłą trąby powietrznej, skotłował i rzucił na najbliższy stolik stojący obok placu zabaw.

Rebeka nie czuła głodu i sądziła, że nic jej nie przejdzie przez gardło, ale kiedy Austin zamówił kilka gatunków pizzy, spróbowała każdego i musiała przyznać, że są wyśmienite. Najadła się jak nigdy w życiu i nigdy w życiu tak się nie uśmieła. A wszystko za sprawą dzieci. Biegały dokoła i wspinały się na drabinki jak stado małpek wypuszczonych z zoo. Były wszędzie.

- Są cudowne, spójrz na tę grupkę z klaunem. -

Wskazała Austinowi rudowłosą dziewczynkę, ciągnącą klauna za nos. Ta niewybredna zabawa nagle wydała jej się bardzo śmieszna.

- Kiedyś, dawno temu, przytrafiło mi się coś podobnego. - Austin uśmiechnął się do wspomnień. - Mama pokazała mi Świętego Mikołaja, a ja pociągnąłem go za brodę, bo myślałem, że to tata.

- I co było potem? - chciała się dowiedzieć Rebeka.

- Wszyscy w sklepie bardzo się oburzyli, a dzieciaki nie chciały się z nim fotografować, bo mówiły, że jest nieprawdziwy i tylko udaje Mikołaja. Chyba niewiele tego dnia zarobił.

Jego oczy rozbłyły i Rebeka wyobraziła go sobie jako nieznośnego urwisa obmyślającego nowy figiel.

- Twoja matka musiała mieć z tobą urwanie głowy, kiedy byłeś mały - powiedziała z uśmiechem.

Austin nie zaprzeczył.

- Nawet przeze mnie posiwiła - oznajmił.

Uśmiechnęli się oboje. Matka Austina, Andie, miała piękne platynowe włosy, które nosiła upięte w kok.

- A twój ojciec? - zapytała Rebeka.

- Jest łyсы jak kolano albo kula bilardowa. I to od lat.

Roześmiała się głośno. Peter McGrath miał wspaniałe ciemne włosy, podobnie jak jego syn. Tacy mężczyźni w ogóle nie łysieją.

- Nosi perukę, teraz wszystko rozumiem - powiedziała z udaną powagą. - A ja zawsze myślałam, że to jego prawdziwe włosy.

Austin skinął głową.

- To nasza rodzinna tajemnica. Tata sprowadza peruki z Londynu, od fryzjera jej królewskiej mości. Są najlepsze na świecie.

Paplał tak bez przerwy, śmiejąc ją i bawiąc, aż zupełnie zapomniała o tym, co się wydarzyło w gabinecie Richarda Fostera. Przynajmniej na jakiś czas.

Była mu za to nieskończona wdzięczna i kiedy stanęli pod drzwiami jej mieszkania, chętnie ucałowałaaby go za to, że pomógł jej uporać się jakoś z tym strasznym dniem.

Wiedziała jednak, że skoro tylko przestąpi próg i zostanie sama, wspomnienia osaczą ją znowu i koszmar rozpocznie się na nowo. Austin jakby czytał w jej myślach.

- Jeśli chcesz, mogę z tobą trochę posiedzieć. Czekam na sporządzenie cotygodniowego raportu dla Joe'go, ale mogę to odłożyć na później.

Powiedział to obojętnym tonem, jakby chodziło o rzecz najzwyczajszą na świecie, ale Rebeka wiedziała, że zrobił to dlatego, iż spostrzegł, jak bardzo niepewnie się czuje. Austin naprawdę jest niesamowity i bardzo by chciała, żeby z nią został, mimo późnej pory, ale już tyle dla niej zrobił, że nie mogła od niego wymagać więcej. Prędzej czy później i tak zostanie sama i będzie sobie musiała jakoś poradzić. Im szybciej to zrobi, tym lepiej.

- Bardzo bym chciała, żebyś został - powiedziała wzruszonym głosem - ale to niemożliwe. Muszę sobie poradzić sama. Nie wiesz, jak bardzo ci jestem wdzię-

czna za to, co dla mnie dzisiaj zrobiłeś. Chętnie bym cię pocałowała, ale właśnie dzisiaj to chyba niedobry pomysł.

- Z czasem będzie lepiej, zobaczysz - zapewnił ją.
- Wszystko się ułoży. Pamiętaj, jak będziesz chciała z kimś pogadać, zadzwoń do mnie, bez względu na porę. Dobrze?

Rebeka skinęła głową.

- Dobrze, jeszcze raz ci dziękuję.

Opuszczał ją z ciężkim sercem. Rebeka nie powinna teraz zostawać sama, ale nie mógł jej narzucać swojego towarzystwa. Potem zadzwoni do niej, żeby się dowiedzieć, jak się czuje. A na razie załatwi coś, co trzeba załatwić od razu.

Zatrzymał się przy najbliższym sklepie i kazał sobie podać książkę telefoniczną. W dwie minuty później podążył w stronę domu Richarda Fostera. Musiał z nim porozmawiać.

Tak właśnie sobie mówił: chce z nim tylko porozmawiać. Spokojnie, jak cywilizowany człowiek; nie jest dzikusiem, który zaraz traci panowanie nad sobą... Zapuka do drzwi, tamten mu otworzy, powie mu, co ma mu do powiedzenia, i pójdzie sobie. A Foster, jeśli ma choć krztynę zdrowego rozsądku, już nigdy nawet nie spojrzy na Rebeke i będzie ją omijał z daleka. Bo jeśli nie... Austin robi z niego mokrą plamę.

Przypomniał sobie jej przerażone oczy i zgrzytnął zębami. Ten samolubny, lubieżny bydlak doprowadził ją do takiego stanu!

Wjechał w niewielką uliczkę i bez trudu znalazł dom Richarda Fostera. Na podjeździe stał czerwony ford explorer.

W domu paliło się światło.

W porządku, pomyślał Austin, zaraz załatwię tę sprawę i wrócę prosto do hotelu, na wypadek gdyby Rebeka postanowiła zadzwonić. Przeczynał, że wraz z nastaniem nocy Rebeka poczuje się gorzej i będzie go potrzebowała.

Zapukał i... wszystkie jego dobre postanowienia wzięły w łeb, kiedy tylko Foster otworzył drzwi. Austin nigdy go przedtem nie widział, ale nie było wątpliwości: ten podrapany na twarzy człowieczek musiał być tym, kogo szukał.

- Pan Richard Foster? - warknął jednak na wszelki wypadek.

Gospodarz spojrzał na niego zza okularów.

- Tak. Pan w jakiej sprawie?

- Zaraz ci powiem, ty sukinsynu!

Całe opanowanie gdzieś znikło; Austin rzucił się na niego i złapał go za gardło. W sekundę potem rozpląszczał Fostera o drzwi jego własnego domu, niewiele się przejmując ewentualnymi spojrzeciami sąsiadów czy kierowców przejeżdżających samochodów. Myślał tylko o jednym: ten wstrętny pokurcz ośmielił się całować Rebeke, ośmielił się ją objąć i dotykać swoimi brudnymi łapami! Przeraził ją śmiertelnie i teraz on, Austin, nie może nawet próbować jej pocieszać!

- Co zrobiłeś Rebeco? Gadaj! - ryknął rozwścieczony.

- Nic - wykrztusił Foster i oczy wyszły mu na wierzch.

- Nieprawda! Zła odpowiedź! - Austin uniósł go i potrząsnął nim jak szmacianą kukłą. - Słucham, co jej zrobiłeś?

- Ja tylko... ja myślałem... ja... - jąkał się tamten.

- Co myślałeś, ty gnojku? Że ma na ciebie ochotę, tak? To dlatego o mało nie wydrapała ci oczu!

Foster jednak nie należał do głupich, a stawka była wysoka.

- Pomyliłem się - wyznał gorliwie. - Ona tylko powiedziała, że się o mnie martwi... czy coś takiego, a ja... źle to zrozumiałem.

- I postanowiłeś ja przestraszyć. To tak zwykle okazujesz kobiecie swoje zainteresowanie? Rzucając się na nią jak małpa?

Foster z trudem przełknął ślinę.

- Nie chciałem jej przerazić. Ja... ja po prostu... straciłem głowę.

Po prostu stracił głowę! A Rebeka za wszystko zapłaci. Zawiódł ją nie tylko jako przyjaciel, zawiódł ją jako człowiek, który chociażby z urzędu powinien zachować się nienagannie. Był dyrektorem szkoły, był jej szefem, pracowała u niego i była od niego zależna. Na samą myśl o tym Austinowi kręciło się w głowie.

- Mężczyzna, który zmusza kobietę do takich, rzeczy, jest tchórzliwym gnojem - wycodził, patrząc prosto w przestraszone oczy ukryte za soczewkami okularów. - Wykorzystałeś fakt, że jesteś jej przełożonym

i sterroryzowałaś ją. Bardzo mnie to rozgniewało, rozumiesz? Naraziłeś mi się.

Foster zbladł.

- Ja bardzo przepraszam... ja już nigdy... - bełkotał.

Austin mówił teraz lodowatym, złowieszczym tonem.

- Będziesz się odtąd trzymał od niej z daleka. A kiedy już będziesz musiał się do niej odezwać, zrobisz to uprzejmie i bezosobowo. Jeśli się dowiem, że mnie nie posłuchałeś, znowu złożę ci wizytę, i wtedy już będę mniej grzeczny. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Foster próbował skinać głową.

- Tak... ja... następna wizyta będzie niepotrzebna - obiecał niczym mały chłopiec.

Austin puścił go i otrzepał ręce, jakby dotknął czegoś obrzydliwego.

- W takim razie umowa stoi - rzucił na pożegnanie.

Odwrócił się i poszedł w stronę samochodu.

Kiedy tylko znalazła się sama w mieszkaniu, cisza rozdzwoniła się wokół niej echem złych wspomnień. Rebeka z bijącym sercem poszła do kuchni i zaczęła opróżniać szafki i szuflady. Już dawno temu postanowiła „przemeblować” zawartość szafek; nadszedł właściwy moment.

Wkrótce krzesła i podłoga zasłane były garnkami, słoikami i różnymi produktami i miała przed sobą

całą długą noc, żeby je porozmieszczać na nowych miejscach.

Nucąc głupiutką dziecinną piosenkę, która się do niej przyplątała na placu zabaw przed pizzerią, zaczęła robić porządki, od czasu do czasu spoglądając na zegarek.

Kiedy skończyła, dochodziła druga. Zupełnie poważnie pomyślała o tym, żeby przejrzeć również ubrania w szafach, ale nagle poczuła, że jest wykończona. Siły odmówiły jej posłuszeństwa; zgasiła światło i poszła do sypialni.

Bolały ją wszystkie kości, była śpiąca i marzyła tylko o tym, żeby zapaść się w sen i zapomnieć o ciężkim dniu.

Nie udało jej się. Kiedy tylko położyła się i zamknęła oczy, z ciemności wyłonił się Richard i wyciągnął ku niej łapy. Usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach.

- Boże!

Siedziała tak, powstrzymując łzy i przekonując samą siebie, że to tylko złudzenie i że w rzeczywistości jest zupełnie bezpieczna. Nie pozwoli mu! Nie pozwoli następnemu mężczyźnie prześladować się na jawie i we śnie! Koniec. Już nikt nigdy nie będzie niszczył jej życia. Znajdzie sposób, żeby to przewyciężyć.

Zadzwoił telefon i podskoczyła, cała pokryta gęsią skórką. Wpatrzyła się w ciemność przerażonymi oczami. Richard! To na pewno Richard! Domyślił się, że nie zapomniała o tym, co jej zrobił i dzwoni, żeby ją dalej torturować!

- Nie podnoś słuchawki! - szepnęła do siebie.

Odsunęła się od telefonu, jakby się bała, że wyskoczy z niego Richard, i to wzbudziło w niej wściekłość. Do jakiego stanu doprowadził ją ten łajdak!

Złapała słuchawkę.

- Słucham! - krzyknęła ze złością.

- Wszystko w porządku?

Z trudem rozpoznała głos Austina.

- Tak, trochę się tylko wystraszyłam tym telefonem, ale wszystko dobrze.

- Wiem, że jest bardzo późno - wyjaśnił - ale chciałem się dowiedzieć, jak się czujesz. Bałem się, że nie możesz zasnąć, ale jak widzę, obudziłem cię. Przepraszam.

- Nie - zaprotestowała. - Ja nie spałam, naprawdę.

- Tak też myślałem. Chcesz porozmawiać o tym wszystkim?

Położyła się z powrotem ze słuchawką przy uchu, rozkoszując się łagodnym głosem Austina. Sama nie wiedząc kiedy, zaczęła mówić.

- Kiedy telefon zadzwonił, pomyślałam, że to Richard, i strasznie się przestraszyłam. Potem ogarnęła mnie złość na samą siebie za ten strach. Jestem już zmęczona tym nieustannym lękiem i uciekaniem.

- To już bardzo długo trwa, prawda?

- Bałam się zawsze, odkąd pamiętam. - W jej spokojnym głosie zabrzmiał smutek. - Kiedy byłam małą, matka wieczorami wychodziła, żeby się napić, i zostawiała mnie samą w domu.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Jakieś sześć, siedem.
- Musiałaś bardzo się bać.
- Strasznie się bałam.
- Twojej matki to nie obchodziło?

- Moja matka - powiedziała powoli Rebeka - myślała tylko o tym, żeby się napić. Obchodziło ją tylko, w jaki sposób zdobyć kolejną butelkę rumu. Sprowadzała do domu mężczyzn i oddawała im się za alkohol. Potem piła, a następnego wieczoru wychodziła znowu.

Zamyśliła się i Austin odgadł, nad czym tak duma.

- Przypomniał ci się ten facet, który chciał cię skrzywdzić? Ten jej przyjaciel? - zapytał.

Rebeka skrzywiła się.

- Bez przerwy ktoś się przy niej kręcił. Jak nie jeden, to drugi. Zawsze kiedy wracała, starałam się już leżeć w łóżku, żeby na mnie nie zwrócili uwagi. Kiedy skończyłam jedenaście lat, zaczęłam się barykadować w swoim pokoju.

- I to pomagało?

- Przez jakiś czas tak, a potem zjawił się Frank.

Ciemne, brudne wspomnienia nacierały na nią ze wsząd, ale z Austinem po drugiej stronie słuchawki czuła się bezpieczna i mogła mówić o sprawach, z których dotąd zwierzyła się tylko jednej osobie - Meredith.

- To był straszny człowiek. Siedział kilka lat za próbę zabójstwa swojej byłej żony i chyba pociągały go dzieci, bo tak dziwnie na mnie patrzył, aż cierpła na mnie skóra.

- Mówiłaś o tym matce?

Uśmiechnęła się do siebie w ciemności. Austin nie miał pojęcia, co to znaczy mieć matkę, którą bardziej interesuje kieliszek niż rodzone dziecko. Nie mogła mu mieć tego za złe: ludziom z normalnym rodzin pewne sprawy nie mieszczą się w głowie.

- Powiedziała, żebym mu schodziła z drogi - odparła krótko.

- Nie wyrzuciła go z domu?

Rebeka westchnęła.

- Frank codziennie kupował jej flaszkę. Nigdy by z tego nie zrezygnowała.

- I co? Uciekłaś z domu? - pytał dalej.

- Kiedyś rzucił się na mnie w łazience, kiedy brałam prysznic. Zrozumiałam, że muszę uciekać. Zrobiłam to w nocy, kiedy oboje spali.

- Miałaś czternaście lat... Byłaś prawie dzieckiem. Jak sobie dałaś radę?

Sama nie bardzo wiedziała. Przecież wiele dzieci w tym wieku nie potrafi nawet uprać ubrania, a ona musiała sama uporać się ze złym, wrogim światem.

- Jakoś sobie poradziłam. Nie miałam wyboru - odparła cicho. - Nie mogłam przecież wrócić do mamy i... do Franka.

Opowiedziała, jak zebrała na ulicy, a noce spędzała pod stertą gałęzi w parku. Jak znalazła starego kundla, Butcha, który czuwał nad nią w długie, samotne, letnie noce. Potem hycel złapał Butcha i znowu została sama. A kiedy nastąpiła zima, musiała pójść do schroniska dla bezdomnych, bo bała się, że dostanie zapalenia płuc.

- To była pomyłka - powiedziała - ale wtedy tego

nie wiedziałam. Myślałam, że robię dobrze, a w tym schronisku o mało mnie nie zgwałcono.

- Ale się obroniłaś - przypomniał jej Austin. - Nie poddałaś się. Wiem, że wszystko to było straszne, ale wyszłaś z tego zwycięsko. Spotkałaś Meredith i twoje życie odmieniło się. Myśl raczej o tej lepszej jego stronie, a nie o tym, jak cię napastowano.

- Nie umiem, jestem za słaba - wyznała szczerze.

Myślała, że Austin zacznie ją pocieszać, ale on nagle roześmiał się.

- Chyba żartujesz! Ty, za słaba? Jesteś najdzielniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

- Rzeczywiście! Może nie zauważyłaś, że boję się nawet umówić na randkę! - zaoponowała gwałtownie.

- Po prostu nie chcesz zaczynać czegoś, kiedy nie jesteś pewna co dalej. To nawet całkiem roztropnie.

- Ale ja się boję mężczyzn.

- Nie boisz się mężczyzn - poprawił ją - boisz się pewnego typu stosunków, a to duża różnica. Gdybyś naprawdę się ich bała, wykluczyłybyś ich ze swojego życia. A przecież przyjaźniłaś się na przykład z Richardem, zanim dał ci powód, żeby go skreślić. Przyjaźnisz się ze mną. Co prawda jesteśmy jakoś spokrewnieni, nie jesteśmy całkiem obcymi ludźmi, ale przecież gdybyś się mnie bała, przegoniłabyś mnie raz na zawsze po pierwszym pocałunku.

Ze zdziwieniem spostrzegła, że Austin ma rację. Zawsze uważała, że po tym, co zrobił jej Frank i co się jej przydarzyło po ucieczce z domu, nie znosi mężczyzn. A przecież tak wcale nie jest. Ona lubi męż-

czyżn! Lubi ich towarzystwo, poczucie humoru, sposób bycia. Nie może tylko znieść ich dotyku. Dlaczego tak długo tego nie rozumiała?

Znowu uśmiechnęła się do siebie w mroku.

- Czy wiesz, że jesteś pierwszą osobą, która mi na to zwróciła uwagę? - zapytała. - Jak mogłam sama na to nie wpaść! Bardzo ci dziękuję. Czuję się teraz znacznie lepiej. Może rzeczywiście istnieje jakaś nadzieja...

Rozmawiali jeszcze bardzo długo i kiedy znowu rzuciła okiem na zegar stojący na nocnym stoliku, dochodziła czwarta rano.

- O Boże! Przegadaliśmy prawie całą noc! A jutro oboje musimy iść do pracy! - przestraszyła się.

Austin w odpowiedzi wybuchnął śmiechem.

- Nie jutro, tylko dzisiaj! Jeśli zaraz skończymy, zdążysz jeszcze się przespać. Potem napij się kawy i wszystko będzie dobrze.

Powiedziała mu wesoło „dobranoc” i rozłączyła się, pewna, że nie zmruży oka. Czowała się lekka i rozbudzona. Kiedy jednak dotknęła głową poduszki, powieki same zaczęły jej opadać i zapadła w sen, gdzie czekał na nią Austin.

Dwie godziny później stała w sypialni przed dużym lustrem, przyglądając się sobie krytycznie. Ubrana w żółtą, długą spódnicę i białą bluzkę wyglądała bardzo urzędowo. Specjalnie wybrała taki strój, by Richardowi nawet przez myśl nie przeszło, że próbuje go kokietować.

Umierała ze zdenerwowania na myśl, że zaraz go spotka, i miała wielką ochotę zadzwonić do szkoły i skłamać, że jest chora. Nie mogła jednak chować się w mysią dziurę, zupełnie jakby to ona zawiniła i powinna czegoś się wstydzić. Winien był ktoś zupełnie inny. Ona tylko zaufała niewłaściwemu człowiekowi.

A to się już nigdy więcej nie powtórzy.

Mimo to dotarła do pracy ledwie żywa ze zdenerwowania. Dyrektor zwykle stał rano w korytarzu, przed swoim gabinetem, i witał nauczycieli i uczniów wchodzących do budynku. Wzięła głęboki oddech, przygotowała się na najgorsze i... Richarda nie dostrzegła.

Poczuła ulgę, ale postanowiła w dalszym ciągu mieć się na baczności. Dyrektor na pewno gdzieś tu jest; odkąd go znała, nie opuścił ani jednego dnia. Do końca zajęć spotka go jeszcze nieraz. Krzywiąc się na samą myśl o tym, weszła do pokoju nauczycielskiego, żeby przed lekcjami napić się kawy.

Zwykle o tej porze pokój nauczycielski świecił pustkami. Tym razem... Rebeka zatrzymała się w progu, nie wierząc własnym oczom. Ponad połowa nauczycieli znajdowała się w środku!

- Witaj! - Penny Taylor machnęła ku niej ręką. - Słyszałaś już nowinę?

Rebeka szeroko otworzyła oczy.

- Jaką nowinę? Co się stało? - zapytała.

- Potwór nas opuszcza, idzie na emeryturę - wyjaśniła koleżanka.

Rebeka już miała podskoczyć z radości na myśl,

że nigdy nie spotka Richarda, kiedy nagle pomyślała, że Penny pewnie ma na myśli przyszły rok szkolny.

- I co z tego? - W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. - To było do przewidzenia. Zresztą to jeszcze tak strasznie długo...

Teraz Penny z kolei się zdziwiła.

- Jak to „było do przewidzenia”? Przecież to się stało wczoraj. Poszedł do lekarza i...

- Do jakiego lekarza? O czym ty mówisz?

Penny zmieszała się.

- Choruje na serce... Sama już nie wiem, o czym my właściwie mówimy. Skąd możesz wiedzieć, że dyrektor dzisiaj odchodzi na emeryturę, skoro zdecydował o tym dopiero wczoraj, kiedy mu to zalecił lekarz?

Rebeka czuła się tak, jakby jej cegła spadła na głowę. Odciągnęła koleżankę na bok, żeby mogły spokojnie porozmawiać.

- Jak to „dzisiaj”? Myślałam, że odejdzie dopiero od nowego semestru, przynajmniej tak słyszałam.

- Wszyscy tak słyszeliśmy. - Penny wzruszyła ramionami. - Ale sama wiesz, jak przeżywa ten swój rozwód. Pewnie od dawna miał już podwyższone ciśnienie, a wczoraj tak mu skoczyło, że wzięli go do szpitala.

- Jak się teraz czuje?

- Chyba nieźle - odparła Penny - bo długo go nie zatrzymali. Doktor ostrzegł go jednak, że musi bardzo uważać. Najlepiej, żeby przestał pracować i poszedł na wcześniejszą emeryturę. W ogóle już się tu nie pokaże, nie będzie nawet uroczystego pożegnania.

Richard zniknął na zawsze, pomyślała z ulgą Rebeka. Nie miała wątpliwości, że bezpośrednim powodem jego decyzji było to, co się wydarzyło w gabinecie. Przestraszył się, że o wszystkim dowie się rada szkoły i postanowił odejść, zanim go wyrzucą.

Właściwie powinna mu współczuć, ale nie była w stanie. Nie czuła nic oprócz pogardy. Mógł przecież przynajmniej do niej zadzwonić i przeprosić ją za swoje zachowanie.

- Jesteś pewna? - zwróciła się do Penny. - To nie są tylko plotki? Nieraz ludzie opowiadają niestworzone historie.

Penny uśmiechnęła się.

- Tym razem źródło jest zupełnie pewne. Wczoraj wieczorem potwór sam zadzwonił ze szpitala do Christiny i wszystko jej powiedział. Ma go zastąpić do czasu, kiedy rada wyznaczy nowego dyrektora.

Christina była zastępczynią Richarda i najlepszą przyjaciółką Penny. Miała opinię osoby zrównoważonej i prawdomównej i skoro to ona stanowiła źródło informacji, nie mogło być mowy o nie sprawdzonych plotkach.

Jednym słowem, Rebeka miała Richarda z głowy.

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Była kompletnie oszołomiona. Przede wszystkim chciała natychmiast zadzwonić do Austina. Z kolegami nie mogła o tym rozmawiać - nie wiedzieli, co zaszło między nią a dyrektorem i nigdy nie mieli się o tym dowiedzieć - ale Austin od razu wszystko zrozumie.

Spojrzała na zegar. Za dziesięć minut rozpoczyna

lekcje, wobec tego nie ma już czasu na prywatne rozmowy.

Tego dnia nic nie mogło się udać. Austin spał w nocy tylko dwie godziny, ale nawet gdyby miał za sobą osiem godzin krzepiącego snu, i tak z trudnością zniósłby rozpoczynający się dzień. Dziewiąta rocznica śmierci Jenny i dziecka...

Co roku, na wiele miesięcy przed feralną datą, mówił sobie, że ten dzień przeżyje normalnie. Będzie pracował i tym razem uda mu się stłumić ból i poczucie nieodwracalnej straty. Potem nadchodziła rocznica i serce nie pozwalało mu na realizację postanowień.

Przecież gdyby zapomniał o tym dniu, mówiło mu serce, to tak jakby zapomniał o nich, o swojej do nich miłości i o szczęściu, jakiego kiedyś zaznał.

Wstał, ciężko wzdychając, i próbował zrobić coś sensownego. Dzień zapowiadał się okropnie.

Praca, zamiast przynieść ukojenie, jeszcze bardziej go przygnębiła. Równie dobrze mógł nic nie robić. Jeden dzień zwłoki i tak nic nie zmieni w ślimaczącym się beznadziejnie śledztwie. Musiał jednak zająć się czymś dla własnego zdrowia psychicznego; nie mógł siedzieć bezczynnie. Miał jeszcze do przesłuchania kilka osób i postanowił zrobić to właśnie dzisiaj.

Do południa zdołał porozmawiać z wszystkimi sześcioma osobami. Nikt oczywiście nie wniósł do sprawy nic nowego i wszystko wskazywało na to, że żaden z nich nie próbował zgładzić gospodarza.

Zniechęcony i smutny, Austin powlókł się do ka-

wiarni. Zamówił kawę i kanapkę i zamyślił się. Nie miał żadnej koncepcji. Mógł pójść śladami policji i ograniczyć krąg podejrzanych do rodziny i przyjaciół Coltonów albo - zwrócić wujowi zaliczkę i się poddać.

Problem w tym, że ani jedno, ani drugie wyjście mu nie odpowiadało. Nie lubił rezygnować ani działać zbyt pośpiesznie. Dobrze wiedział, dlaczego policja nieraz tak robi. Mają dużo pracy, małe pensje i chcą jak najszybciej zamknąć jedno śledztwo, żeby móc rozpocząć drugie. Tak działając, można jednak popełnić niejeden błąd. Austin nie miał zamiaru przeoczyć winnego tylko dlatego, że nie należy do kręgu najbliższych znajomych i rodziny Joego.

Przyznanie się do porażki również go nie pociągało. Austin nie poddawał się tak łatwo. W całej swojej długiej karierze nie doprowadził do końca tylko dwóch spraw; wyczerpał wtedy wszystkie możliwości i nie był w stanie wytypować podejrzanego. W obecnym przypadku było przeciwnie. Podejrzanych nie brakowało; było ich zbyt wielu, ale wybrać z nich tego właściwego okazało się o wiele trudniejsze, niż przypuszczał.

Sączył bezmyślnie kawę, z niesmakiem popatrując na kanapkę, i dopiero dźwięk komórki wyrwał go z apatii. Na ekranie wyświetlił się numer szkoły podstawowej, gdzie pracowała Rebeka.

- Coś się stało? - spytał z niepokojem. - Czy Foster znowu źle się zachowuje?

- Nie - odparła wesołym głosem. - Wiem, że nie powinnam się cieszyć, ale Richard ma kłopoty z ser-

cem i od zaraz odchodzi na wcześniejszą emeryturę. Czy to nie wspaniale? Już nigdy go nie spotkam!

- Żartujesz! Kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Dziś rano. Może to wyrzuty sumienia, nie wiem, ale ciśnienie tak mu nagle podskoczyło, że musiał iść do szpitala. Lekarz kazał mu przestać pracować i przejść na wcześniejszą emeryturę. Nawet się dziś nie pokazał w szkole.

Wsluchiwał się w jej radosny głos, nie przestając równocześnie analizować sytuacji. Nie chciał podważać jej dziecinnej wiary w szczęśliwy zbieg okoliczności, lecz nie wierzył, że to nadciśnienie jest powodem nagłej decyzji dyrektora. Wywołała ją raczej niespodziewana wizyta Austina w jego domu. Dyrektor zrozumiał, że to tylko kwestia czasu, sprawa gotowa się wydać, i zachował się jak na tchórza przystało: wziął nogi za pas.

Austin bardzo się z tego cieszył ze względu na Rebekeę.

- To dobra wiadomość, kochanie - powiedział. - Cały czas myślałem, jak sobie tam dajesz radę. Czułem, że nie chcesz spotkać tego gada.

- Czułam się okropnie - wyznała. - Miałam zupełnie ściśnięty żołądek, ale kiedy się dowiedziałam... Nie chcę, żeby chorował - dodała szybko. - Nikomu nie życzę nic złego, naprawdę.

- Doskonale o tym wiem - zapewnił ją.

- Tak czy inaczej, skończyło się, i dość rozmowy o mnie. Jak tam twoje śledztwo?

- Skończyłem przesłuchiwać ostatnich świadków -

oznajmił ze sztucznym ożywieniem - i przechodzę na inny etap prowadzenia sprawy.

Nie zdołał oszukać Rebeki.

- Stało się coś niedobrego? - zapytała. - Masz taki dziwny głos.

- Nie mam żadnej koncepcji i to mnie wykańcza - odparł ogólnikowo.

- A gdyby tak zrobić wizję lokalną - zaproponowała. - Mógłbyś sobie raz jeszcze obejrzeć miejsce akcji i odtworzyć, gdzie kto stał, co mógł stamtąd widzieć i przez kogo mógł być widziany. Może na coś trafisz.

Pomysł był genialnie prosty i Austin zdziwił się, że sam na niego nie wpadł.

- Pojedziesz ze mną na ranczo? - zapytał różniejszym już głosem. - Zaraz zadzwonię do Joego i umówię się z nim na popołudnie.

- Pojadę z przyjemnością. Spotkamy się u Joego zaraz po lekcjach - przyrzekła Rebeka.

Rozłączyła się i wróciła do klasy, nie mając pojęcia, jakie wrażenie wywarł na Austinie jej telefon.

Rozejrzał się dokoła rozjaśnionym wzrokiem i z zapalem sięgnął po kanapkę. Nagle poczuł, że jest bardzo głodny.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Telefon zadzwonił o drugiej po południu. Patsy wybierała się właśnie na zakupy do Beverly Hills: zamierzała nabyć nową suknię na bal u gubernatora. Uwielbiała wydawać pieniądze Joego i tym razem postanowiła kupić najdroższą kreację, jaką znajdzie.

- Proszę pani...

Inez zatrzymała ją w chwili, kiedy miała już przekroczyć próg i wsiąść do mercedesa czekającego na podjeździe.

- Telefon do pani.

Pani nie raczyła nawet na nią spojrzeć.

- Jadę do miasta, niech zostawią wiadomość - oświadczyła sucho.

- Ale to z policji! Dzwoni ten miły detektyw, Law.

Patsy stanęła jak wryta. Instynkt kazał jej szybko zbiec do samochodu i udać, że nie dosłyszała, ale była pewna, że ta wiedźma Inez powie temu koszmarnemu detektywowi, że jej pani nie chce z nim rozmawiać, a wtedy on zainteresuje się, dlaczego, i zacznie węszyć.

Rzuciła służącej mordercze spojrzenie.

- Odbiorę telefon u siebie - syknęła i wściekła poszła do swoich apartamentów.

Ten glina chyba zapomniał, z kim ma do czynienia! Jak można tak się naprzykrzać pani Colton! Jak on śmie! Przecież ona może kazać go zwolnić z pracy. Jeden telefon do kogo trzeba i Thaddeus Law przechodzi do drogówki. Zna odpowiednich ludzi. Meredith Colton zna wszystkich!

Uśmiechnęła się do siebie, lecz uśmiech szybko zamarł na jej ustach. Nie może mu nic zrobić. Nie wolno dopuścić, żeby zaczął coś podejrzewać. Z takimi jak on trzeba się obchodzić w rękawiczkach.

- Nie denerwuj się - powiedziała do siebie. - Jesteś panią Colton i on nic ci nie zrobi. Jesteś nietykalna, niczego nie musisz się bać.

Jest przecież Meredith, słodka, łagodna, wyrozumiała Meredith Colton.

- Witam pana - powiedziała do słuchawki łagodnym głosem. - Miał pan wiele szczęścia, że mnie pan zastał, właśnie wychodziłam. W czym mogę pomóc?

- Chodzi o tę strzelaninę na przyjęciu - odparł wprost detektyw Law. - Prosiłbym, żeby pani do nas wpadła, skoro i tak już pani wychodziła z domu. Powiedzmy za piętnaście minut.

Patsy przygryzła wargi, by nie krzyknąć, żeby poszedł do diabła. Za kogo on ją uważa? Za pierwszą lepszą, którą tak sobie może wzywać do komisariatu, kiedy zechce?

Jak tego nie zrobisz, przyjadą tutaj po ciebie i będzie jeszcze gorzej, szepnął jej wewnętrzny głos i poczuła, jak ogarnia ją lodowaty strach.

Nie! Wszystko tylko nie to! Już nigdy nie dopuści

do tego, żeby ją zamknęli w klatce tak jak wściekłe zwierzę!

- Dobrze - odparła, próbując nie wypaść z roli. - W takim razie spotkamy się za kwadrans.

Rozłączyła się i z furją cisnęła telefon o ścianę.

- Sukinsyn! Podły drań! - wrzasnęła.

Zaraz pojedzie do komisarza, który przyjaźni się z jej mężem, i poprosi, żeby wyrzucił pana Lawa na zbity pysk. Zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni.

Ta myśl nieco ją uspokoiła, mimo że wiedziała, iż jest niewykonalna. Przecież gdyby to zrobiła, natychmiast ściągnęłaby na siebie podejrzenie policji. Skoro jest niewinna, dlaczego nie chce odpowiedzieć na kilka pytań? Czyżby zamierzała utrudniać śledztwo mające wykazać, kto chciał zabić jej męża?

Bydle! Gnojek! Łajdak! Wszyscy oni są tacy sami. Joe, policjanci, Austin McGrath; chodzi im tylko o jedno: żeby ją zgnoić. Zwłaszcza Joemu na tym zależy. Nigdy jej nie wybaczył tamtej ciąży. Oficjalnie traktuje ją jak żonę, a Teddy'ego wychowuje jak syna, ale tak naprawdę nie może się doczekać, kiedy się od niej uwolni na zawsze.

Niedoczekanie! Prędej sam zdechnie!

Patsy spojrzała na zegarek i zbladła. Robi się późno, musi jechać na policję. Drżącymi rękami złapała torebkę. Panika sparaliżowała jej ruchy, serce podeszło do gardła. O Boże! Gdzie są pigułki? Musi natychmiast wziąć lekarstwo, bez niego sobie nie poradzi!

Znalazła buteleczkę, wysypała sobie cztery pastylki na dłoń, wrzuciła je do ust i połknęła na sucho.

Spokojnie, wszystko będzie dobrze. Pigułki zaraz zaczną działać i dasz sobie radę z tym Lawem.

Była prawie na czczo i lekarstwo zadziałało natychmiast. Rozluźniła się, uśmiechnęła i... nagle przeniosła się w inną rzeczywistość. Znajdowała się w tamtym obskurnym motelu, w którym wydała na świat dziecko, małą Jewel, a Ellis Mayfair leżał martwy u jej stóp. Cofnęła się przerażona i wpadła, na stylowy sekretarz, który w jej koszmarze zamienił się w tanią toaletkę z tamtego pokoju.

Nie!

Wzięła pewnie za dużo tych pigułek i jaźń płata jej figle. Koszmar nie ustępował: ujrzała w nim policjantów wpadających do motelu i odrywających ją od toaletki. Kilka godzin wcześniej urodziła dziecko, Ellis je porwał, a oni zakuwają ją w kajdanki, jakby to ona dopuściła się zbrodni!

Traktują ją jak zbrodniczkę, a Meredith stoi sobie spokojnie z boku i nie powie słowa w jej obronie. Ani wtedy, ani potem, podczas procesu, kiedy mogła zeznać, że to ona zabiła Ellisa, kiedy zobaczyła, jak próbuje zranić jej siostrę. Dziwka!

Zawsze taka sama święta Meredith, która nawet muchy nie skrzywdzi. I nie ruszy palcem, żeby pomóc rodzonej siostrze... Właśnie wtedy Patsy zaczęła przygotowywać zemstę.

Stary zegar w holu wybił godzinę i Patsy zadrżała. Co ona wyprawia? Przecież miała jechać na policję. Zaraz pojedzie, ale najpierw musi się napić.

Nalała sobie whisky i uniosła szklanekę do ust. Chy-

ba zwariowała! Przecież nie może jechać na komisariat z oddechem cuchnącym alkoholem!

Gwałtownie odstawiała szklanę, wychlapując cenny napój. Musi się wziąć w garść, musi się opanować, bo w przeciwnym razie znowu wyląduje w więzieniu!

Jeden fałszywy krok, jedno poślizgnięcie, i Law domyśli się, że dosypała mężowi trucizny do szampana.

Podeszła do uchylonych drzwi.

- Inez! - krzyknęła złym głosem. - Zrób mi kawę! Szybko!

Wypiła cały dzbanek kawy, ale niewiele jej to pomogło. Czuła się słaba i nie mogła przestać myśleć o martwym ciele Ellisa. Jeśli policja w jakiś sposób połączy tamtą zbrodnię z osobą Meredith Colton, dojdzie do katastrofy.

Patsy wjechała na policyjny parking w stanie krajowego wyczerpania nerwowego.

Nie idź tam!

Powoli wysiadła z mercedesa, obciągnęła na siebie czarny jedwabny kostium i próbowała uporządkować rozbiegane myśli.

Jest prawdziwą Meredith, policja wezwała do siebie Meredith Colton, Patsy ich nie interesuje. Musi ich przede wszystkim przekonać, że jest kochającą żoną byłego senatora i bardzo niepokoi się o bezpieczeństwo małżonka. Nikomu nigdy nie przyjdzie do głowy, że już kiedyś zabiła człowieka i planuje kolejne zabójstwo.

Weszła do budynku i zaczęła wchodzić po scho-

dach, kurczowo trzymając się poręczy, żeby nie upaść. Z wysoko uniesioną głową i uśmiechem królowej weszła do komisariatu.

Niech te gliny i ich klienci widzą, z kim mają do czynienia! Od razu widać, że jej miejsce jest gdzie indziej.

- Czym mogę pani służyć?

Raczyła spojrzeć na siedzącą za biurkiem policjantkę i lekko skinęła głową.

- Szukam detektywa Lawa - wyjaśniła.

Policjantka palcem wskazała jej ławkę pod ścianą.

- Proszę poczekać, zaraz przyjdzie.

Patsy pogardliwym spojrzeniem obrzuciła brudną ławkę i jeszcze brudniej szych, siedzących na niej ludzi, i skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Postoję.

- Jak pani woli - skwitowała policjantka i nie interesując się nią dłużej, zajęła się kolejną osobą.

Patsy postanowiła w duchu, że poczeka dokładnie pięć minut, ani sekundy dłużej. Potem sobie pójdzie i niech Thaddeus Law myśli sobie, co chce. Niech marnuje swój własny czas; pani Colton bardzo się śpieszy.

Wskazówka zegara przesunęła się raz i drugi, jakby naganiając do głowy Patsy niechciane myśli i obrazy. Obskurny motelowy pokój pojawił się znowu i Patsy poczuła, że się dusi. Szarpnęła kołnierzyk u szyi i automatycznie skierowała się w stronę drzwi.

- Pani Colton?

Thaddeus Law zastąpił jej drogę i znalazła się w potrzasku. Wyrósł przed nią jak ściana, zwałistym

ciałem zagradzając drogę ucieczki. Siłą powstrzymała mdłości i wytwornym ruchem uniosła rękę do ust.

- Strasznie tu duszno. Jeśli pan pozwoli, zaczerpnę świeżego powietrza... - szepnęła.

Dalej stał nieporuszony.

- To brudna praca - przyznał. - Zbrodnia wydziela specyficzny zapach. Chodźmy do mnie na górę, tam jest trochę lepiej.

Wiedziała, że jeśli znajdzie się w pokoju przesłuchań, przeszłość powróci z całą siłą i nic jej nie uwolni od wspomnień tamtego brutalnego przesłuchania, które nastąpiło bezpośrednio po śmierci Ellisa. Nie miała jednak wyboru, musiała za nim iść. Law pewnie i tak już ją podejrzewa; widać to po jego stalowych oczach, które człowieka przewiercają na wylot.

Nie okaże mu strachu, nie da marnemu glinie satysfakcji. Wyprowadzi go w pole, tak jak wyprowadziła innych.

- Wszędzie będzie lepiej niż tutaj - odezwała się pogardliwym tonem. - Jedźmy na górę.

W jego oczach dostrzegła dziwny błysk, przypominający rozbawienie. Zaprowadził ją do windy i wraz z kilkoma innymi osobami weszli do środka. Drzwi zasunęły się i Patsy poczuła się jak w celi. Zachwiała się.

- Bardzo pani zbladła. Źle się pani czuje?

Zauważył. To bardzo źle.

- Nie znoszę jeździć windą - odparła wyniośle.

Na szczęście drzwi właśnie się otworzyły i wydostali się na korytarz. Law wskazał jej pokój przesłuchań.

- Tutaj, proszę.

Przerażona zatrzymała się w progu, niezdolna zrobić kroku.

- Co to znaczy? Myślałam, że chce mi pan zadać kilka pytań dotyczących naszego przyjęcia. Nie mówi pan, że to ma być przesłuchanie! - krzyknęła zdławionym głosem.

Natychmiast ugryzła się w język, ale słowa już padły. Zachowała się jak idiotka! Sama wzbudziła jego podejrzenia! Zaraz Law zapyta, dlaczego tak strasznie się boi przesłuchania i czy ma coś do ukrycia...

Nic takiego nie zrobił, nawet nie okazał zdziwienia.

- Mam bardzo mały gabinet - wyjaśnił zmęczonym głosem - a ponieważ przyjdą jeszcze detektyw Jones i Shoemaker, myślałem, że tutaj będzie nam wygodniej.

Nie wierzyła w ani jedno jego słowo, ale skoro chce odgrywać komedię, pokaże mu, że z niej też nieźła aktorka.

- Przepraszam - powiedziała słodkim głosem. - Jestem nieznośna, prawda?

- Proszę usiąść. Napije się pani kawy?

Kawy miała dosyć na następne dwa tygodnie, lecz detektyw oszedł, nie czekając na odpowiedź, i Patsy pozostało tylko usiąść na krześle za stołem stojącym na środku pustego pokoju. Nawet nie spojrzała w stronę wielkiego lustra zajmującego prawie całą ścianę. Znała takie numery. Wiedziała, że jest to weneckie zwierciadło i ktoś z pewnością obserwuje ją z drugiej strony. Niech sobie patrzą. Jeśli myślą, że popełni jakiś błąd i sama czymś się zdradzi, grubo się mylą.

Drzwi się otworzyły i wszedł Law w towarzystwie dwóch innych detektywów - Jonesa i Shoemakera. Tych również znała; rozmawiali z nią zaraz po próbie zamachu i potem, w czasie śledztwa. Za każdym razem próbowali ją podpuścić, mówiąc, że chcą tylko uściślić jakiś szczegół: a to gdzie kto stał, a to czy ktoś przyszedł później albo może zbyt wcześnie, i tak dalej. Patsy nie była głupia i nie dała się na to nabrać. Przejrzała ich. Wiedziała, że nadal figuruje na liście podejrzanych i chcą ją na czymś przyłapać. Dlatego wezwali ją teraz na komisariat.

Trzeba przyznać, że ich metoda odnosiła pewien skutek. Za każdym razem, kiedy niechący rzucała okiem w stronę lustra, przypominała sobie scenę tamtego przesłuchania sprzed lat. Drżącymi palcami ujęła kubek z kawą podany jej przez Thaddeusa Lawa i machinalnie pociągnęła łyk.

O mało go nie wypluła.

- Co to jest? - wykrztusiła z obrzydzeniem.

David Jones uśmiechnął się.

- Nasza służbowa lura - wyjaśnił. - Jak się nasy pie dużo cukru i mleka, można to od biedy uznać za kawę.

- Oczywiście - wtrącił Mark Shoemaker - nie da się tego porównać z tym boskim napojem, który podawano na przyjęciu urodzinowym pani męża. Nigdy nie piłem tak wspaniałej kawy.

Patsy posłała mu miodowy uśmiech Meredith i z przyjemnością przypomniała sobie swój udany występ, wtedy, bezpośrednio po strzale. Spisała się wy-

śmienicie. Odegrała przerażoną żonę i zapobiegliwą gospodynię jednocześnie. Zadbała o to, żeby służba troskliwie zajęła się policjantami, napoiła ich kawą po dziurki w nosie i zrobiła wszystko, by mogli od razu przesłuchać wszystkich gości. Jak widać, opłacało się.

- Cieszę się, że panu smakowała. Mój mąż uwielbia ten gatunek kawy - wyznała melancholijnie.

- Skoro już mówimy o pani mężu... - Thaddeus Law zmarszczył czoło i skierował rozmowę na właściwy temat. - Dlaczego stała pani po jego lewej stronie, kiedy zaczęły się toasty? Kilka minut wcześniej stała pani po jego prawej stronie. Dlaczego zmieniała pani miejsce? Może nam pani to wyjaśnić?

Jego pytania padły na nią jak seria z karabinu maszynowego, oszałamiając ją i utrudniając zebranie myśli. Chciała mu powiedzieć, by poszedł do diabła, ale zanim to zrobiła, David Jones wziął ją w obronę.

- Nie tak szybko, stary. Pani już nam wyjaśniła, dlaczego zmieniała miejsce. Musiała dopilnować, żeby każdy gość dostał kieliszek szampana, a kiedy wróciła na miejsce obok męża na estradzie, przypadkowo stanęła po jego lewej stronie.

- Nie myślałam o tym, tam po prostu było miejsce - potwierdziła Patsy.

Logiczne, a na dodatek szczerą prawdą. Nikt nie musi wiedzieć, że odeszła tylko na chwilę, żeby dopsuć mężowi trucizny do szampana.

Jones i Shoemaker wydali się usatysfakcjonowani jej wyjaśnieniem; tylko Law w dalszym ciągu nie był zadowolony.

- Dobrze, ale dlaczego przez cały czas tak się pani denerwowała? Wiele osób podkreśla fakt, że była pani niespokojna i podminowana - nie ustępował.

- Miałam w swoim domu trzystu gości, drogi panie - oznajmiła z wyższością Patsy. - A do tego orkiestrę, dwanaście osób służby i ochronę. Wszystko na mojej głowie. Mojemu mężowi bardzo zależało na tym, żeby to przyjęcie się udało i chciałam, żeby wszyscy świetnie się bawili. Gdyby choć przez chwilę ciążyła na panu tak wielka odpowiedzialność, przypuszczam, że też byłby pan „niespokojny i podminowany”.

Powiedziała to ostrym tonem i wcale tego nie żałowała. Rzeczywiście denerwowała się podczas tego cholernego przyjęcia. Miała powody. Chciała uśmiercić męża, a przecież nie wiedziała, że ktoś zamierza ją w tym wyręczyć!

Mark Shoemaker spojrział na kolegę, a potem przeniósł wzrok na panią Colton.

- Niech się pani na niego nie gniewa - powiedział przepaszająco. - Jest tutaj nowy i bardzo gorliwy. Działa w dobrej wierze. Jak my wszyscy pragnie tylko ustalić, kto strzelał do pana Cottona.

Wszyscy pewnie chcieli się dowiedzieć tego samego, ale tamci dwaj zachowywali się normalnie, podczas gdy Law węszył za nią jak gończy pies. Najwyraźniej ją podejrzewał.

Teraz tamci dwaj przejęli prowadzenie i zaczęli ją wypytywać, czy Joe ma jakichś wrogów i czy jest możliwe, by ktoś nie proszony wśliznął się na przyjęcie. Law milczał, przeżuując swoją porażkę.

Patsy odprężyła się. Niech sobie siedzi z tą nadętą miną. Jest tutaj nowy i nikt się z nim nie liczy. Może sobie podejrzewać, kogo chce.

Chętnie i obszernie odpowiadała na pytania tamtych dwóch, pewna, że panuje nad sytuacją i nie powie nic, co mogłoby zostać użyte przeciwko niej. Była świetna, naprawdę świetna. Kiedy skończyli i dziękując jej za przybycie, oznajmili, że jest wolna i może opuścić to miejsce, czuła, że jej święta siostrzyczka nie zrobiłaby na nich lepszego wrażenia.

Tylko ten Law... W drodze do windy przypomniawszy sobie jego wzrok i poczuła na plecach chłodne sztylety jego oczu. Wiedziała, że nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Stojąc na patio z Joem i Rebeką, Austin w końcu poczuł, że coś mu się zaczyna układać. Najwyższy czas! Dawno już zrobił dokładny plan i wiedział, gdzie został usytuowany bufet, gdzie ustawiono estradę i gdzie znajdowali się w chwili strzału ważniejsi goście. Jednak dopiero teraz, kiedy stanął dokładnie w miejscu, gdzie znajdował się Joe zamierzający wznieść toast, coś zaczynało do niego docierać.

Nie wiedział, kto strzelał, ale kierunek z grubsza został już wytyczony.

- Stałeś tutaj, tak, Joe? - zapytał jeszcze na wszelki wypadek. - I patrzyłeś... no właśnie, gdzie? Prosto przed siebie? Czy może na kogoś po swojej lewej albo prawej stronie? Gdzie?

- Prosto przed siebie - odparł szybko Joe. - Cze-

kałem, aż wszyscy dostaną kieliszki, a ten rudy kelner ruszał się jak mucha w smole.

- Rudy kelner? Jaki rudy kelner? - Austin zajrzał w swoje notatki. - Nie mam tu takiego.

- Pamiętam go - zabrała głos milcząca dotąd Rebeka. - Taki wysoki, chudy, z długimi radymi włosami zebranymi w koński ogon. Przypominał hippisa, miał nawet kolczyk w uchu. Joe ma rację. Ruszał się jak mucha w smole.

Austin zaniepokoił się.

- Skąd się tutaj wziął? Rozmawiałem ze służbą. Nikt słowem nie wspomniał o żadnym rudowłosym hippisie.

Był tego pewien, ale wuj i Rebeka równie stanowczo twierdzili, że go widzieli. Musiał go w takim razie pominąć. A skoro pominął jednego, tylko Bóg wie, ile jeszcze innych osób obecnych na przyjęciu uszło jego uwadze.

Zaklął.

- Cholera jasna, a ten facet od kateringów przysięgał, że dał mi kompletną listę ludzi, których zatrudnił na ten wieczór.

- Może rzeczywiście tak zrobił - szepnęła Rebeka.

- To skąd... - zaczął Austin, ale mu przerwała.

- Przyjęcie było ogromne, a w takich razach nie nad wszystkim da się zapanować. Zresztą wiesz, jak to bywa. Ktoś sam nie może przyjść, bo mu wypada coś niespodziewanego, więc prosi koleżkę, żeby go zastąpił i wziął wieczór zamiast niego. Właściciel firmy kateringowej może nawet o tym nie wiedzieć. Wystar-

czy mu, że ma komplet służby i wystarczającą liczbę ludzi do napełniania kieliszków.

- To jak Austin ma znaleźć tego faceta? - jęknął Joe. - Nie znamy jego nazwiska, nic o nim nie wiemy.

Detektyw mógł tylko przytaknąć.

- Na razie nie mam pojęcia, jak to zrobię - przyznał - ale muszę jakoś do niego trafić. Jeśli rzeczywiście tam stał, mógł widzieć strzelającego. Pamiętajcie, gdzie dokładnie się znajdował w chwili strzału?

Joe zmarszczył czoło i skierował baczne spojrzenie w miejsce, gdzie widział rudowłosego kelnera tuż przed głównym toastem.

- Tam, z tyłu. Troszkę na prawo od centrum. Czekaliśmy, aż skończy i wszystkich obsłuży, ale Meredith weszła na estradę i...

- Myślałem, że stała obok ciebie - wtrącił Austin.

- Przedtem tak, ale na chwilę odeszła, nie wiem po co... - Joe z wysiłkiem odtworzył w myślach przebieg tamtego wieczoru. - Już wiem, miała przygotowane dwa kieliszki specjalnie dla nas i poszła po nie do baru. Kiedy wróciła, uniosłem swój kieliszek, żeby wznieść toast, a wtedy kula musnęła mi policzek i rozpętało się piekło.

- A tamten kelner? Gdzie się podział? Czy to on mógł strzelać? Może to wcale nie był student wynajęty na wieczór, tylko zawodowy zabójca. Widziałeś go potem, po strzale? Czy zniknął, zanim nadjechała policja? - zarzucił go pytaniami Austin.

Joe przecząco pokręcił głową.

- Nie wiem. Wszyscy nagle zaczęli krzyżeć, po-

tem zjawiło się pogotowie i policja. Był straszny harmider, istny dom wariatów.

- Goście rzucili się w stronę estrady, żeby zobaczyć, co z ojcem - dodała Rebeka. - Bardzo się o niego zlekli. Nie widziałam już potem tego rudego kelnera, co nie znaczy, że go nie było. Panowało straszne zamieszanie.

Patsy stała w drzwiach prowadzących na patio, dławiąc się z wściekłości. Słyszała każde ich słowo, a po tym, co przeżyła w komisariacie, nie miała na to ochoty. To jej dom! To jej dom i nikt tu nie będzie nic knuł za jej plecami!

Nie pozwoli im. Nikomu, ani Austinowi, ani nikomu innemu. Ten przybłęda z Portland kręci się tutaj i węszy po kątach, i lada chwila wywęszy, że między nią a jej mężem wiele się zmieniło, i że nie są już tym przykładowym małżeństwem, które znał przed laty. A potem sobie skojarzy, że ona na śmierci męża wiele zyskuje i nic nie traci.

Musi natychmiast przerwać tę scenę. Wpadła na patio, zrobiła udręczoną minę i jęknęła.

- Jak wy możecie mi to robić...

Joe drgnął i zdumiony odwrócił się w jej stronę.

- Co my takiego robimy? O czym ty mówisz? - zapytał, marszcząc brwi.

- Nie udawaj niewiniątka. Dobrze wiem, o czym rozmawiacie. Od początku mnie podejrzewałeś i teraz próbujesz przekabacić Austina i Rebeke! - zaczęła zawodzić.

Rebeka osłupiała.

- Ależ, Meredith, nic podobnego. On nic takiego nie mówił. Próbowaliśmy tylko odtworzyć przebieg tamtego wieczoru - wyjaśniła.

- Nie rozumiecie, co on chce zrobić? - ciągnęła zrozpaczonym głosem Meredith. - Chce mnie skompromitować, bo mnie nienawidzi!

- Posłuchaj - zaczął Joe. - Uspokój się i posłuchaj...

Patsy zamierzała jednak rozegrać tę scenę do końca. Skoro już zwróciła na siebie uwagę obecnych, musi to wykorzystać i tak wszystkim pokierować, by Austinowi nigdy do głowy nie przyszło rzucić na nią choć cień podejrzenia.

Rozpłakała się; zawsze umiała płakać na zawołanie.

- Myślisz, że ja nie widzę... że ja nie widzę, jak patrzysz na mnie po tym, co się stało - zaczęła łamiącym się głosem. - Dobrze wiesz, że nie mogłam pociągnąć za cyngiel, stałam przecież obok ciebie, ale myślisz, że i tak mam z tym coś wspólnego.

- To śmieszne! - krzyknął Joe, ale wypadło to dość słabo.

W głębi duszy sam sobie od pewnego czasu zadawał pytanie, czy jego żona maczała w tym palce. Czuł się winny i miał wyrzuty sumienia, ale nie mógł się pozbyć natrętnych myśli.

Przecież to była jego Meredith. Kobieta, którą pokochał od pierwszego wejrzenia. Zawsze się rozumieli, szli przez życie ręką w rękę i stanowili dla siebie oparcie. Dzielili smutki i radości. Meredith nigdy by mu nie wyrządziła krzywdy.

Na pewno?

Ostatnio miał nieco wątpliwości. Ufał jej zawsze bez zastrzeżeń, a ona... Ona go zdradziła z innym. Zaszła z nim w ciążę i próbowała wmówić mężowi, że to jego dziecko. Dawna Meredith nie byłaby do czegoś takiego zdolna.

Tak bardzo się zmieniła, że właściwie w niczym nie przypominała kobiety, którą przed laty poślubił. Po wypadku stała się inną osobą i nie potrafił już jej ufać bezgranicznie.

Mimo to w dalszym ciągu była jego żoną i należał jej się szacunek i opieka. Nie sprawiało mu to trudności, bo nigdy nie zapomniał tamtych szczęśliwych lat, które bezpowrotnie minęły.

- Nawet mi nie przyszło do głowy, że możesz chcieć wyrządzić mi krzywdę - powiedział zirytowany, że żona robi sceny w obecności osób trzecich. - Jak myślisz, dlaczego wynająłem Austina? Chciałem, żeby znalazł winnego, a widziałem, że policja szuka wśród mojej rodziny i znajomych. Powiedz jej, Austin, jak to było.

Patsy skierowała ku niemu zalane łzami oczy.

- Tak właśnie było - potwierdził zapytany. - Joe zauważył, że Law i policja szukają winnego wśród najbliższych, uznał to za błąd i stratę czasu i poprosił mnie o pomoc.

- Nikt cię nie podejrzewa, Meredith - dodała Rebecka. - Przecież to absurd. Zwłaszcza Joe nigdy by tego nie zrobił.

Patsy wzniosła oczy do nieba.

- Dlaczego w takim razie wszyscy mnie zadręczają pytaniami? Najpierw Austin, dzisiaj policja...

Joe podskoczył.

- Policja? Kiedy? Czego oni znowu od ciebie chcieli? Dlaczego nic mi nie mówiłaś?

- Nie było cię w domu, a detektyw Law kazał mi się natychmiast stawić na komisariacie. - W jej głosie zabrzmiało oburzenie i niesmak. - Spędziłam całe popołudnie w pokoju przesłuchań.

Wiedziała, jak na podobną informację zareaguje Joe, i nie zawiodła się.

Wyjął telefon komórkowy, wystukał odpowiedni numer i wyjaśnił zgromadzonym, że „zaraz sprawę załatwi”.

- Wara glinom od mojej rodziny - warknął.

Patsy przygryzła wargi, żeby się nie roześmiać; doskonale wiedziała, jak manipulować ludźmi. Tym razem też pociągnęła za właściwy sznurek. Joe mógł mieć do niej uzasadnione pretensje za to, że go zdradziła, ale w dalszym ciągu była jego żoną, a to znaczyło, że Joe zrobi wszystko, by zapewnić jej spokój i bezpieczeństwo. Tak gorliwie bronił rodziny i tak bardzo był zaślepiony na jej punkcie, że nie dostrzegał najprostszych rzeczy. Zamyśliła się i nie zauważyła, że Austin od dłuższej chwili bacznie jej się przygląda.

- O co Law cię pytał? Czego chciał się dowiedzieć?
- zapytał potem.

Usłyszała jego dociekliwy głos i drgnęła. Chyba za wcześniej uwierzyła w swoją szczęśliwą gwiazdę. To, że udało jej się wyprowadzić w pole męża, wcale nie

znaczy, że równie łatwo pójdzie jej z Austinem. Przecież to rasowy glina.

- Sugerował mi - zaczęła z niechęcią, której wcale nie musiała udawać - że wiedziałam, z której strony padnie strzał i dlatego w pewnej chwili stanęłam po lewej stronie Joego, mimo że przedtem stałam po prawej, albo odwrotnie, już zapomniałam. Kompletnie oszalałam.

Austin wyraźnie się ożywił.

- Jeśli dobrze pamiętam, mówiłaś mi, że tuż przed toastami poszłaś po szampana dla siebie i męża.

- Tak właśnie było - potwierdziła, modląc się w duchu, by Austin nie zapytał, dlaczego musiała fałtygować się sama, zamiast kazać komuś ze służby podać kieliszki. - Chciałam też sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, czy nie brakuje szampana, a kelnerzy dobrze obsługują. Szybko wróciłam i zdążyłam wprost na pierwszy toast i... ten nieszczęsny strzał.

Dokładnie to samo opowiedziała policjantom i nie była zaskoczona, że Austin zareagował tak jak oni. Stracił zainteresowanie tematem i zwrócił się do Joego, prosząc, by jeszcze raz się zastanowił, czy bezpośrednio przed strzałem niczego nie zauważył.

Patsy pogrzyżyła się w myślach. Austin, podobnie jak Thaddeus Law, stanowił pewne zagrożenie i musiała o tym pamiętać. Był jednak ktoś znacznie bardziej niebezpieczny: Emily Blair Colton. Tylko ona mogła jednym ruchem zburzyć domek z kart, tak mozolnie zbudowany przez Patsy.

Dziewięć lat...

Minęło dziewięć lat od chwili, kiedy Patsy dogoniła na szosie Meredith i zamieniła się z nią na życie. Emily, mimo urazu głowy, mogła zapamiętać wypadek i to, że bezpośrednio po nim przez chwilę widziała dwie matki. Pewnego dnia przypomni sobie wszystko i zacznie opowiadać szczegóły tego zdarzenia. Wtedy wyjdzie na jaw, że istnieją dwie identyczne osoby: Meredith i Patsy. I to będzie koniec.

Patsy nie zamierzała czekać na ten dzień.

Znalazła już człowieka, gotowego za pieniądze uwolnić ją od tej małej dziwki. Nadszedł czas, żeby się z nim spotkać i omówić szczegóły.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jak to nie było rudowłosego kelnera na przyjęciu u państwa Colton? - W głosie Austina brzmiało zniecierpliwienie. - To kim był ten hippis z kolczykiem, co serwował drinki?

Sekretarka Johna Robertsa spojrzała na niego z wyższością.

- Skąd mogę wiedzieć! Może to był któryś z gości. W każdym razie nie należał do pracowników pana Robertsa. My nie zatrudniamy hippisów.

- A jednak dla państwa Coltonów zrobiliście wyjątek - rzekł ironicznie Austin. - Są świadkowie, którzy go widzieli. Chciałbym porozmawiać osobiście z pani szefem. Proszę go poprosić.

- To niemożliwe. - Sekretarka nie kryła satysfakcji. - Pan Roberts przebywa obecnie w Los Angeles, gdzie przygotowuje przyjęcie dla filmowców.

- W takim razie - rzekł Austin zrezygnowanym głosem - chciałbym się widzieć z jego zastępcą. Może on coś będzie wiedział.

Spojrzeła na niego z obrzydzeniem jak na włos w zupie, a potem, kiedy już myślał, że go spławi, napisała coś szybko na kartce i podała mu ją przez biurko.

- Proszę, nazywa się Sean O'Connor. Przygotowuje dziś przyjęcie weselne i na pewno nie będzie miał dla pana czasu.

Austin nie potrzebował wiele. Chciał tylko zapytać, jak się nazywa rudowłosy kelner i dlaczego nie został umieszczony na liście pracowników zatrudnionych podczas urodzin Joego Coltona. Na uzyskanie odpowiedzi potrzebował kilku minut.

Sean O'Connor nie zamierzał mu poświęcić ani sekundy.

Gdy Austin zjawił się w miejscu, gdzie wieczorem tego samego dnia miało się odbyć wesele, spotkał się z bardzo chłodnym przyjęciem.

- Pan chyba żartuje! - wykrzyknął oburzony Sean.
- Czy pan wie, czyje to wesele? Córki kongresmana Harta! Będzie wielki bal i mam masę roboty. Chyba pan nie sądzi, że rzucę wszystko, żeby sobie z panem pogadać.

Austin nastawiony był polubownie i chciał się umówić z nim na następny dzień, ale sposób, w jaki go potraktowano, wyprowadził go z równowagi. Postanowił dać impertynentowi po nosie.

- Rozumiem, ma pan rację. Przepraszam, ale o tym nie pomyślałem. Proszę sobie nie przeszkadzać i wrócić do pracy. A ja zaraz zadzwonię do senatora Coltona i powiem mu, że nie ma pan czasu mi pomóc, bo dzisiaj obsługuje pan grubszą rybę. Wujek Joe na pewno zrozumie... mam nadzieję.

O'Connor nie był głupi. Wiedział, kim jest Cotton i zdawał sobie sprawę, że ktoś taki może zepsuć opinię

jego firmie. Wystarczy jedno słowo i lista zamówień stopnieje jak śnieg na wiosnę. Zbladł i zaczął śpiewać inaczej.

- Niech pan zaczeka! - krzyknął za Austinem, udającym, że odchodzi. - Proszę pytać. Kogo pan szuka? Rudego kelnera?

Austin przytaknął.

- Musiano go zaangażować w ostatniej chwili - wyjaśnił łaskawie. - Nie ma go na liście zatrudnionych tego wieczoru. Pan Colton i jego córka pamiętają, jak wygląda: wysoki, chudy, rude długie włosy uczesane w koński ogon.

O'Connor zmarszczył brwi.

- To był koszmarny wieczór. Ja miałem załatwić obsługę, a John zajmował się jedzeniem. Kilkoro naszych pracowników czymś się zatręło i tuż przed przyjęciem zaczęli dzwonić, że nie mogą przyjść. Zwykle w takiej sytuacji dzwoniemy do konkurencji, bo w takich przypadkach świadczymy sobie wzajemnie usługi, ale tym razem oni mieli podobny kryzys. Też brakowało im ludzi.

- Co pan zrobił?

- Obdzwońłem restauracje w mieście z pytaniem, czy mają kogoś wolnego. Pewnie właśnie tak znalazłem tego pańskiego rudzielca. Opis nie pasuje do naszych ludzi.

- Pamięta go pan? Musiał go pan widzieć przed przyjęciem.

- Tam było straszne zamieszanie. Od początku. Pani Colton...

Ugryzł się w język, przypominając sobie, z kim rozmawia.

- Co pani Colton? - podchwycił natychmiast Austin. - Co chciał pan powiedzieć? Niech się pan nie boi. Należę co prawda do rodziny, ale tutaj występuję w roli detektywa i wszystko, co pan powie, zachowam w tajemnicy.

Jego rozmówca zawahał się.

- Nie wiem... Pani Colton była... strasznie wymagająca. Nie pierwszy raz u niej pracowałem, ale nigdy tak się nie czepiała. Wszystkiego sama doglądała, wszędzie się kręciła i robiła zamieszanie. To było okropnie denerwujące.

- Chciała pewnie, żeby urodzinowe przyjęcie jej męża wypadło okazale - powiedział Austin. - To zupełnie zrozumiałe.

- A wypadło jak wypadło. Jedno jest pewne, nikt tego wieczoru nie zapomni - podsumował Sean.

Austin postanowił wrócić do interesującego go tematu.

- Do jakich restauracji dzwonił pan w sprawie kelnerów? - zapytał.

- Do Irish Tavern i do Baja Steakhouse - odparł szybko zapytany. - Niech pan spróbuje najpierw w Irish Tavern. Tam jest miła właścicielka, nazywa się Susan LeCoke. Ona panu pomoże.

Uzyskawszy więcej, niż się spodziewał, Austin serdecznie mu podziękował, wsiadł do swojego wynajętego samochodu i udał się do wskazanej restauracji. Jeśli Susan LeCoke okaże się równie rozmowna jak

Sean O'Connor, jeszcze tego samego wieczoru dowie się, kto strzelał na ranczu pod Prosperino.

W restauracji zaczynał się już tłok, ale właścicielka znalazła dla Austina chwilę czasu i zaprosiła go do niewielkiego biura na zapleczu. Chętnie dała mu listę kelnerów zatrudnionych na przyjęciu u Coltonów, jeśli jednak chodzi o rudowłosego, dysponowała jedynie jego nazwiskiem.

- Pracował u mnie, ale od tygodnia się nie pojawił
- wyjaśniła, kiedy Austin powiedział jej, kogo szuka.
- Nazywa się Bryan Walker, ale nie mam z nim kontaktu. Dzwoniłam do niego, telefon nie odpowiada. Został wyłączony, Bryan chyba nie płacił rachunków.

Dobrze się zapowiada, pomyślał Austin. Pewnie następna ślepa uliczka.

- Gdzie mógłbym go znaleźć? Mam bardzo ważną sprawę - spróbował jednak.

Wyjęła kartkę z prowizorycznej kartoteki.

- Mam tutaj jakiś adres, może pan spróbuje. Johnson Street 1908. Może to, że mu wyłączyli telefon, wcale nie oznacza, że się wyprowadził.

Podziękował jej za dobre chęci, lecz jej informacja nie wzbudziła w nim większych nadziei. Przyzwyczał się już do myśli, że w tej sprawie wszystkie nici prowadzą donikąd.

- Przynajmniej wiem już, jak się nazywa, no i mam to. - Potrząsnął listą sześciu kelnerów, którzy pomagali na przyjęciu u Coltonów. - Zawsze coś na początek.

Dla spokoju sumienia pojechał pod wskazany adres

i tak jak się spodziewał, zastał mały, zaniedbany domek zamknięty na cztery spusty. Bryan Walker wyprowadził się, nie pozostawiając żadnych śladów. Austin postanowił odłożyć dalsze poszukiwania do jutra i znużony oraz zrezygnowany ruszył w powrotną drogę.

Miał za sobą długi, męczący dzień. Nie pomogły postanowienia, że nie dopuści do siebie wspomnień, i przeszłość powróciła z całą siłą. Znowu przeżywał moment, gdy lekarz powiedział mu, że nie tylko stracił dziecko, ale również żonę. Niemal usłyszał zwierzęcy ryk, jaki wydobył się wtedy z jego gardła.

Czy nigdy nie zapomni chwili, w której całe jego dotychczasowe życie legło w gruzach?

Od dziewięciu lat co roku przeżywał to na nowo, a tym razem było mu wyjątkowo ciężko. Nie rozumiał dlaczego.

Postanowił się napić.

To całkiem niezłe wyjście. Wróci do hotelu, zamówi butelkę whisky i upije się. Obudzi się rano z superkacem, ale przynajmniej w nocy nie będzie o niczym myślał.

Machinalnie jednak, zamiast do hotelu, skręcił w stronę jedyne miejsce, gdzie spodziewał się znaleźć pocieszenie, a gdzie nie powinien był jechać. Do domu Rebeki.

Rebeka właśnie przygotowywała sos do spaghetti, kiedy ktoś zadzwonił. Może to Richard?

Drewniana łyżka, którą mieszała w garnku, zastygła

jej w dłoni. To na pewno on! I co ona teraz ma zrobić? Nie będzie mogła nie przyjąć jego przeprosin, ale przecież nie może go wpuścić do mieszkania!

W takim razie najlepiej wcale nie otwierać drzwi. Nie ma obowiązku rozmawiać z kimś, z kim rozmawiać nie chce. Trzeba po prostu go zignorować.

Dzwonienie rozległo się znowu i nagle wydała się sobie śmieszna i żałosna. Stoi tak zamieniona w słup soli, z łyżką w ręku, i umiera ze strachu, bo ktoś dzwoni do drzwi! Tamtemu łajdakowi znowu udało się ją sterroryzować! A przecież obiecywała sobie, że to się już nigdy nie powtórzy!

Wściekła, pobiegła do drzwi i nie spoglądając przez wizjer, otworzyła je z impetem.

- Jak śmiesz tu... Austin, to ty?

Skrzywił się.

- Coś mi się wydaje, że czekałaś na kogoś innego. Rebeka zmieszała się.

- Myślałam, że to Richard - wyznała.

- Rozumiem. Mam szczęście, że nim nie jestem. Wyglądasz, jakbyś mu chciała urwać łeb.

- Taki miałam zamiar i wcale się tego nie wstydzę, ale proszę, wejdz. Nie stójmy tak w progu.

Wprowadziła go do środka.

- Właśnie robię kolację - powiedziała. - Znalazłeś tego rudego?

Austin wszedł za nią do kuchni.

- Zdobyłem jego stary adres i wiem, jak się nazywa. Jutro pójmę do właściciela domku, który wynajmował, i może czegoś się dowiem.

- Cudownie! - ucieszyła się Rebeka. - To może być przełom w twoim śledztwie.

Austin nie podzielał jej entuzjazmu.

- Czas pokaże. - Usiadł na wysokim stołku przy kuchennym blacie i pociągnął nosem. - Robisz może spaghetti?

Rebeka przytaknęła z uśmiechem.

- Tak, zostaniesz na kolacji? Zawsze przygotowuję cały gar. Jest bardzo trudno zrobić mało sosu.

Powinien podziękować i odmówić. Wcale nie był głodny. W ten dzień nigdy nie miał apetytu i nie nadawał się na towarzystwo. Ale nie chciał zostawać sam. Nie dzisiaj, nie tego wieczoru.

- Chętnie z tobą zjem - powiedział. - Dzięki za zaproszenie.

Zasiedli do stołu i po chwili Rebeka postawiła na środku parujący garnek. Austin nabrał trochę, spróbował... i cudowny smak wypełnił mu usta.

- Pyszne! - oświadczył ze szczerym podziwem. - Gdzie się nauczyłaś tak gotować? Czekał, zaraz zgadnę! Od Inez?

Rebeka skinęła głową.

- Kiedy byłam mała, moja matka wszystko robiła z puszek. Nie miałam pojęcia, co to znaczy gotować, póki nie zamieszkałam na ranchu.

- A czego jeszcze nauczyła cię Inez? - zapytał Austin podchwytliwie. - Dała ci przepis na swoje słynne ciasto czekoladowe?

Rebeka roześmiała się.

- Przepisu na ciasto czekoladowe nie da nikomu.

Próbowałam go od niej wyciągnąć, ale Inez tę tajemnicę zabierze do grobu.

Wspomnienia łączące się z Inez były cudowne. Rebeka godziny całe spędzała z nią w kuchni, mieszając w garnkach i rondlach, przypalając niezliczone ciasteczka i kurczaki, czuwając nad ciastem, które nie chciało rosnąć, i opychając się bakaliami. To było jej prawdziwe dzieciństwo.

- Za pierwszym razem, kiedy udało mi się zrobić sos bez grudek - pochwaliła się - Inez upiekła czekoladowe ciasto specjalnie dla mnie i zjadłam je sama w całości.

- Całe? Niemożliwe!

- Nie było bardzo duże, wielkości mniej więcej spodka, ale i tak cała rodzina wypominała mi to przez wiele tygodni.

Wyobraził ją sobie jako małą dziewczynkę z buzią umazaną czekoladą i natychmiast pomyślał o innej dziewczynce, która miałaby teraz osiem lat. Jaka by była? Podobna do Jenny? Miałaby jej uśmiech i jej niebieskie oczy? Odziedziczyłaby po niej radość życia?

Posmutniał i Rebeka to spostrzegła.

- Co się stało? Jesteś myśłami tak daleko...

Usłyszał ją dopiero po dłuższej chwili i powrócił z przeszłości. Zamrugał oczami, jakby się budził.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Nie gniewam się. Byłeś strasznie smutny.

Nie chciał jej obciążać jarzmem własnej przeszłości, więc tylko pokręcił głową.

- Mam nieraz takie dni. Jutro będzie lepiej. A zmie-

nając temat, czy masz jakieś wiadomości, kto będzie nowym dyrektorem? Ile czasu potrzebuje rada szkoły na wyznaczenie odpowiedniej osoby?

Nie zamierzała skłaniać go do zwierzeń. Austin powie jej, co go gnębi, kiedy nadejdzie właściwy moment. Teraz mogą porozmawiać o byle czym.

- Jeszcze nic nie wiadomo. Mamy jednak nadzieję, że dyrektorem zostanie Christina Lopez, zastępczyni Richarda. Jest bardzo lojalna i uczciwa. Uczniowie też ją lubią.

Zadowolona, że może jakoś oderwać go od smutnych myśli, zaczęła mu opowiadać o szkole, o swoich uczniach, o domu, który kiedyś zamierza kupić. Z oczu Austina nie znikał jednak ból. Starał się, by tego nie widziała. Próbował żartować i uśmiechać się, a gdy zaproponowała, żeby po kolacji obejrżeli jakiś film, zgodził się z wyraźną ulgą.

Usiedli w bezpiecznej odległości na kanapie przed telewizorem i Rebeka mogłaby przysiąc, że Austin śledzi akcję na ekranie z takim samym zainteresowaniem jak ona. Wzrok miał utkwiony przed siebie, siedział bez ruchu, ale ani razu się nie roześmiał, a przecież „oglądali” komedię. W pewnej chwili Rebeka zorientowała się, że Austin nie słyszy ani jednego słowa padającego z ekranu. Siedział tak po prostu z martwym wzrokiem wbitym w szklaną taflę.

Zwróciła ku niemu twarz.

- Ja potrafię słuchać - powiedziała łagodnie. - Widzę, że coś cię gnębi. Może sprawi ci ulgę, jak o tym porozmawiamy.

Chciał zrobić unik, znaleźć jakąś wymówkę, umknąć tak jak to robił podczas całego wieczoru.

Znowu przeniósł wzrok na ekran.

- Dzisiaj jest rocznica śmierci Jenny i małej - oświadczył nieoczekiwanie.

Na twarzy Rebeki ukazała się skrucha.

- Strasznie przepraszam. Zapomniałam, że to właśnie dzisiaj.

- To było dawno, ludzie zapominają.

- Nie myśl tak. - Przysunęła się do niego i lekko dotknęła jego ręki. - Nie jesteś osamotniony. - Pod wpływem nagłego impulsu zmniejszyła dzielącą ich odległość i uściśnęła jego dłoń. - Mogłam zapomnieć datę, ale nigdy nie zapomniałam twojej żony i dziecka. Wszyscy pamiętamy o tragedii, jaka cię spotkała. Nie mówimy o tym z tobą tylko dlatego, że nie chcemy rozdrapywać ran.

- Wiem - przyznał Austin - ale to nie zmniejsza mojego bólu.

Nie puszczając jej ręki, zaczął opowiadać, jak bardzo byli z Jenny szczęśliwi, kiedy się okazało, że będą mieli dziecko.

- Natychmiast zaczęliśmy snuć plany na przyszłość. Nasza córeczka miała być wesoła i śliczna, zupełnie jak jej mama. Miała brać lekcje tańca i czytać „Kubusia Puchatka”. Zamierzaliśmy też wybrać się do Disneylandu...

Głos mu się załamał i po policzkach spłynęły łzy. Rebeka objęła go i mocno przytuliła.

- Austin, tak mi przykro... - Poczwała w oczach

łyzy. - Wiem, jak to boli. Płacz, kochanie, to ci przyniesie ulgę.

Przez dziewięć lat nie uronił ani jednej łzy. Z suchymi oczami przeżył pogrzeb, targany rozpaczą i wściekłością. Jak Bóg mógł pozwolić na to, by dwie istoty, które kochał nade wszystko, odeszły tak nagle? Jak mógł pozwolić, żeby je teraz grzebano w zimnym grobie?

Potem, kiedy wściekłość minęła i pozostało tylko cierpienie tłące się jak wygasłe ognisko, również nie pozwolił sobie na luksus płaczu w obawie, że jeśli zacznie, nigdy już nie przestanie płakać.

Teraz, w ramionach Rebeki, nie bał się już niczego. Wtulił się w nią i pozwolił, żeby łzy zmyły z niego cały ból nagromadzony przez te wszystkie straszne lata.

Nie wiedziała, jak długo tak siedzieli przed cicho szemrzącym telewizorem. Czuła tylko, że powieki jej opadają i w chwilę potem zasnęła.

Obudził ją sygnał karetki pogotowia jadącej ulicą. Otworzyła oczy i ze zdumieniem spostrzegła, że leży na kanapie z głową na piersi Austina. Jak to się stało?

Już miała się zerwać, kiedy nagle pożałowała. Nigdy dotąd nie leżała tak obok mężczyzny i musiała przyznać, że to bardzo przyjemne uczucie. Austin był tak blisko... W każdej chwili mogła go dotknąć...

Zawsze wiedziała, że jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną, ale dopiero teraz wydał jej się piękny. Wyciągnęła rękę w stronę jego włosów...

Nie zauważyła, kiedy się ocknął. Spojrzała wprost w jego szeroko otwarte oczy.

- Nie chciałam cię obudzić - szepnęła.

- Nie spałem - odparł i delikatnie musnął jej włosy. - Mogę?

Skinęła głową, zachwycona subtelną pieśczołą. Dłoń Austina zsunęła się po linii jej policzka tak lekko, jakby dotykał cennej porcelany. Łzy szczęścia zalśniły w jej oczach, usta lekko się rozchyliły. Poczuła na nich palec Austina.

- Od dawna chciałem cię dotknąć - usłyszała jego cichy głos.

- Od dawna? - powtórzyła jak echo. - Od jak dawna?

- Od pierwszego dnia, kiedy cię ujrzałem, wtedy, w czasie obiadu u wujostwa.

Uniosła na niego zdziwione spojrzenie.

- Przecież to było miesiąc temu! Prawie wcale się jeszcze nie znaliśmy.

- Tak bardzo chcę cię teraz pocałować... Wiesz, prawda?

Odebrała jego pytanie jako coś zupełnie normalnego.

- Tak - odparła szczerze. - Ja też bardzo tego pragnę. Nigdy nie myślałam, że będę przy tobie leżeć i że będzie tak cudownie, ale nie wiem... Nie wiem, jak zareaguję na twój pocałunek.

- Niczego nie musisz się bać. Dasz mi znak i natychmiast przestanę. Zaufaj mi.

Nie musiał tego mówić. Zdażyła go już poznać

i zrozumieć, że może mieć do niego zaufanie. Austin jest inny; nigdy jej nie skrzywdzi. Jest dobrym, uczciwym człowiekiem. Wystarczy spojrzeć mu w oczy, by uwierzyć, że mówi prawdę.

Przywarła ustami do jego warg i poczuła jego pocałunek. Cudowny, czuły, długi pocałunek Austina. Chciała mu okazać, jak wiele dla niej znaczy i że się go nie boi. Rozkwitła pod delikatnym dotykiem tego mężczyzny niczym gwiazda w mroku nocy. Czuła jego delikatne dłonie; nie wzbudzały w niej lęku, były czułe i opiekuńcze.

Przyłgnęła do niego, niejasno przeczuwając, że powinna się wycofać, żeby nie kusić losu. Uśpiony lęk może się zbudzić w każdej chwili i zburzyć kunsztowną budowlę zaufania.

Cichutko wyszeptała jego imię:

- Austin...

- Czy jest ci tak samo dobrze jak mnie? - zapytał równie cicho.

- Nie wiedziałam, że może tak być... - wyznała i zaczęła go całować gwałtownie i rozpaczliwie.

Austin rozpiął jej bluzkę. Miał ochotę porwać ją z kanapy, zanieść do sypialni i spędzić resztę nocy, kochając się z nią do bladego świtu. Marzył o tym przez ostatni miesiąc. Czuł jednak narastający w niej nieokreślony niepokój.

- Wszystko w porządku, kochanie, nie bój się - powiedział tak cicho, że pomyślał, iż chyba go nie usłyszała.

Dotknął wargami jej policzka.

- Tak jest dobrze, kochanie. Jesteś cudowna i piękna, i jest mi z tobą nadzwyczajnie.

Zapiął guziczek jej bluzki i poczekał chwilę, aż Rebeka się uspokoi. Uśmiechnął się do niej i ujrzał w jej oczach łzy.

- Nie płacz, najdroższa. Mamy dużo czasu.

Ze szlochem rzuciła mu się w ramiona.

- Dłużej tak nie mogę! - załkała. - Skoro tak reaguję na twój dotyk... Wolałabym umrzeć...

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Opanuj się. Byłaś cudowna.

- Ale... ale ja znowu stchórzyłam.

- Dopiero potem, najpierw szło ci doskonale. - Uśmiechem dodał jej otuchy. - Robisz ogromne postępy - zauważył żartobliwie.

Rozpaczliwie pragnęła mu wierzyć. Czy kiedykolwiek zapomni o wydarzeniach, które uniemożliwiły jej fizyczny kontakt z mężczyznami? Czy kiedyś będzie mogła się kochać z Austinem?

Przypomniała sobie jego pocałunki i dotknięcie jego dłoni.

- Tak bardzo chciałabym się z tobą kochać - wyznała - ale nie mogę, przepraszam...

- Za nic mnie nie przepraszaj - przerwał jej spokojnym głosem. - Ja wszystko rozumiem. Zaufanie rodzi się z czasem, a ty i tak zrobiłaś wielki krok do przodu. Poczekał, aż będziesz gotowa.

Objęła go i pocałowała, sama z własnej woli, odważnie, rozkoszując się tym, co robi. Była z siebie dumna. Czowała ręce Austina na swoim ciele, a jego po-

całunek mówił jej o bezmiarze pożądania, które wzbudziła. Była dumna i szczęśliwa, że tak jest. Pragnęła pokochać go za jego wyrozumiałość i cierpliwość, za wielkoduszność, z jaką znosił jej kaprysy i - za szlachetność ducha.

Mogła go pokochać za wszystko, czym dla niej był.

- Przrzekam ci - oświadczyła uroczyście - że coś z tym zrobię. Przewycięzę się, zobaczysz. Nie wiem, co prawda, jak i kiedy, ale zrobię to. I pewnego dnia będziemy się kochać, jestem tego pewna.

- Poczekam, aż będziesz gotowa - powtórzył Austin.

Wstał i pomógł jej podnieść się z kanapy.

- A teraz najlepiej będzie, jak mnie odprowadzisz do drzwi - oświadczył. - Zrobiło się późno. Muszę już iść, bo inaczej zapomnę jeszcze o swoich szlachetnych postanowieniach.

Wiedziała, że to niemożliwe - ostatecznie przekonała się o tym właśnie dzisiaj - ale naprawdę zrobiło się późno, a rano musiała wstać do pracy.

Odprowadziła Austina do drzwi i tym razem na pożegnanie nie pocałował jej w policzek, tylko w usta. Serce mocno jej zabiło, i to wcale nie ze strachu. Była spokojna i szczęśliwa.

Kiedy Austin odszedł i zamknęła za nim drzwi, uśmiechnęła się do siebie radośnie jak ktoś, kto właśnie wygrał los na loterii.

- Postanowiłam wyjechać na wakacje.

Joe spojrzął znad porannej gazety na siedzącą naprzeciwko żonę i zmarszczył brwi.

- Nie wiem, czy to taki dobry pomysł. Przecież policja...

Przerwała mu ze złością. Gwałtownie odstawiła filiżankę z kawą i prychnęła jak rozłoszczona kotka.

- Mam dość policji i tego całego zawracania głowy! Nie mogę już słuchać o tym cholernym strzale! Niedobrze mi się robi od tych wszystkich pytań: „Gdzie pani stała, pani Colton? Dlaczego po prawej, a nie po lewej stronie? Prosimy do nas na komisariat. Dlaczego pani nie wie, kto strzelał? A może pani wie, tylko nie chce nam powiedzieć?”.

Joe, zdziwiony jej wybuchem, odłożył gazetę.

- Nikt tak przecież nie mówi - próbował oponować.

- Nie muszą tego mówić. Dobrze wiem, co myślą, nie jestem głupia. Mam dość podchwytliwych pytań, podejrzliwych spojrzeń, mam dość wszystkiego!

W jej oczach dostrzegł łzy i zrobiło mu się jej żal. Dawniej natychmiast wstałby z krzesła, obszedł stół, objął ją i przytulił, ale te czasy minęły bezpowrotnie. Przez ostatnie dziewięć lat dość się od niej nasłuchał przykrych rzeczy, żeby ryzykować kolejny słowotok.

Uniósł pytająco brwi.

- A gdzie się wybierasz?

Jej oczy natychmiast rozbłyły.

- Do Palm Springs - odparła bez wahania. - Carly Templeton opowiadała mi cuda o pewnym nowym hotelu i chcę go zobaczyć. Otworzyli go dopiero dwa tygodnie temu.

Carly Templeton była żoną jednego z kalifornij-

skich kongresmanów. Koszmarna baba, Joe za nią nie przepadał. Tym razem jednak pomyślał o niej z sympatią. To dobrze, że namówiła Meredith na ten wyjazd; dobrze mu zrobi, jeśli na jakiś czas zostanie sam.

Zaraz też ogarnęły go wyrzuty sumienia.

- Kiedy chcesz wyjechać? - zapytał.

- Zaraz - oznajmiła Meredith. - Pożegnałam się już z chłopcami i kazałam zanieść swoje rzeczy do samochodu.

Gdyby to nie było takie żałosne, roześmiałby się. O wszystkim oczywiście dowiaduje się ostatni! I on miał wyrzuty sumienia!

- Dobrego wyczynku - oświadczył sucho.

Złożył gazetę i wstał od stołu.

- Zobaczmy się po twoim powrocie - dodał.

Wyszedł, a Patsy jeszcze przez chwilę siedziała bez ruchu. Na pewno dobrze sobie wypocznie. Za takie pieniądze będzie miała wszystko, czego dusza zapagnie. Spełni każdą swoją zachciankę, ale przedtem...

Przedtem musi się jeszcze na trochę zatrzymać w Los Angeles. Ma się tam z kimś spotkać. Z kimś, kto raz na zawsze załatwi śliczną, kochaną Emily. Zanim pani Colton wróci z wakacji, zniknie przynajmniej ten problem.

Patsy skrzywiła usta w uśmiechu, sięgnęła po torebkę i kluczyki i w chwilę później siedziała już za kierownicą małego sportowego BMW. Ruszyła w kierunku Palm Springs w doskonałym humorze.

Godzinę później, w czarnej peruce i ciemnych okularach, zdążyła w stronę jednego z najposępniejszych

przedmieść Los Angeles. Przypominało krajobraz po bitwie. Potłuczone szyby, powyrywane framugi, śmieci walające się po ulicach, brud i atmosfera beznadziei.

Sprawdziła adres na świstku, który zaraz zamierzała wyrzucić, i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Trafiała bezbłędnie; teraz trzeba tylko jeszcze znaleźć tego faceta. Nie powinno być trudno. Wiedziała, jak się nazywa, znała jego przezwisko. Nie zamierzała jednak korzystać z tej wiedzy. Facet jest mordercą do wynajęcia i tylko idiota mógłby o niego rozpytywać. Patsy wystarczy jego rysopis. „Gadzie oczy” jest brunetem średniego wzrostu, nosi długie włosy i wąsy i ma nieruchome, złe spojrzenie. Rozpozna go bez trudu.

Tym bardziej, że wie, w którym barze przesiaduje.

Zajechała pod obskurną knajpę i przejrzała się w lusterku. Wszystko w porządku. Zadbana o najmniejszy szczegół. Tandetne kolczyki i fałszywa biżuteria każdego wywiodą w pole. Pike, „Gadzie oczy”, nigdy jej w razie czego nie rozpozna i nawet mu do głowy nie przyjdzie, z kim ma do czynienia. A i cenę za usługę wyznaczy umiarkowaną, kiedy nie będzie znał prawdziwego statusu swojej zleceniodawczyni. Poprawiła perukę, wzięła torebkę i wysiadła z samochodu.

Miała nadzieję, że o jedenastej przed południem bar będzie pusty. Zawiodła się. Kiedy weszła, mężczyźni rzędem siedzący przy barze jednocześnie zwrócili ku niej głowy. Wzięła głęboki oddech i z pozornym spokojem rozejrzała się w poszukiwaniu „swojego człowieka”.

Zgodnie z umową, siedział przy stoliku w głębi.

Wyglądał trochę inaczej, niż się spodziewała. Jakby bardziej ociężały, mniej zwinny. Uspokoilo ją jednak jego spojrzenie; nieruchome, bezwzględne, martwe spojrzenie gada. Ktoś, kto tak patrzy na świat, nie ma skrupułów i to powinno jej wystarczyć.

Długie tłuste włosy miał związane w koński ogon, na czubku głowy widniała pokaźna łysina. Smętnie zwieszające się wąsy, lekko indiańskie rysy. W całej twarzy i postaci coś, co nieodparcie kojarzyło się z wieloletnim pobytem w więzieniu. Patsy siedziała za kratkami wystarczająco długo, żeby to rozpoznać.

Podeszła i usiadła obok niego.

- Cześć. Postawić ci drinka, panie nieznajomy? - zapytała w umówiony sposób.

Przez dłuższą chwilę czuła na sobie spojrzenie jego gadzich oczu.

- Wygląda na to, że będziesz miała, czym zapłacić - odparł w końcu.

Patsy lekko dotknęła fałszywego brylantu w kolczyku.

- Jasne - rzuciła, a zwracając się w stronę baru, dodała: - Jeszcze raz to samo, i dla mnie też.

Czekając, aż podadzą im napoje, patrzyła na niego uważnie.

- Kiedy wyszedłeś z pudła? - zapytała bez ceremonii.

Pike wcale nie zamierzał udawać, że nie wie, o co jej chodzi.

- Pół roku temu. Jaką masz robotę?

Tego jeszcze nie omówili przez telefon, ale czło-

wiek, który jej go nadał, mówił, że facet za pieniądze zrobi wszystko.

- Trzeba kogoś sprzątać - wyjaśniła. - Dla ciebie to podobno nie pierwszozna.

Myliła się, ale nie miał zamiaru wyprowadzać jej z błędu. Niech sobie myśli, że jest zawodowcem. Z dumą walnął się w szeroką pierś.

- Dobrze mówisz. Jak sądzisz, kto załatwił Wielkiego Jonesa w San Diego? Rodzina Giovanni dobrze wie, kogo wynająć do mokrej roboty.

- Strzelałeś do niego z jadącego samochodu?

- Nieważne. Grunt, że minęło sześć lat, a gliny jak nie wiedziały, kto go załatwił, tak nie wiedzą. Czysta robota.

Nie dodał, dlaczego w końcu wylądował za kratkami; to nie powinno obchodzić tej nadzianej krowy. Nie jej sprawa. Ona ma tylko powiedzieć, o co jej chodzi i dobrze potrząsnąć kabzą.

- Ile dajesz za ten numer? - zapytał i jego senne spojrzenie na chwilę się ożywiło.

Patsy bez słowa uchyliła torebkę tak, żeby jej rozmówca mógł zobaczyć znajdujący się w środku plik banknotów.

- Dziesięć tysiaków - wycodziła. - To zaliczka, reszta po skończonej pracy.

Wiedziała, że ryzykuje. Facet może wziąć zadatek i tyle go widziała! Nie miała jednak wyjścia. Zawodowiec nie kiwnie palcem, zanim nie powącha pieniędzy.

- To jak? - zapytała. - Interesuje cię to?

- Zależy, czy nie jesteś gliną...

W głowie Patsy rozległ się dzwonek alarmowy. Przecież to jakiś przygłup! Gdyby była policjantką próbującą go przyłapać na gorącym uczynku, chybaby mu tego teraz nie wyznała! Wzruszyła ramionami. Trudno, do takiej roboty nie potrzebny jej Einstein, tylko rzeźmieszek znający się na rzeczy.

Nagle zapragnęła jak najszybciej znaleźć się w Palm Springs w swoim luksusowym apartamencie. A ten tutaj niech się zajmie Emily. Nie jest może zbyt bystry, ale za pieniądze zrobi wszystko. Zresztą wystarczy, że umie nacisnąć cyngiel.

- Pewnie, że nie jestem gliną - powiedziała z pogardą. - Czy ja wyglądam na jedną z tych przebranych dziwek? Po prostu potrzebuję kogoś, kto mi załatwi pewną sprawę, a tak się złożyło, że nie mogę tego zamówienia złożyć na piśmie...

Pike zmrużył gadzie oczy.

- Chyba nieźle trafiłaś. Kogo mam sprzątnąć?

Konkretnie, bez niedomówień, jak to w interesach. Patsy przysunęła się i skłoniła ku niemu głowę.

- Nazywa się Emily Blair...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Udało się! Była bezbłędna! Spisała się znakomicie.

Patsy z lubością przeciągnęła się wannie wypełnionej pachnącą pianą i sięgnęła po kieliszek szampana.

Omówiła wszystko, po najdrobniejsze szczegóły, z „Gadzim okiem”, i teraz mogła się spokojnie rozkoszować zasłużonym wypoczynkiem.

Ta mała dziwka, Emily, wkrótce zniknie z powierzchni ziemi, a wraz z nią zniknie jedyny świadek wypadku, podczas którego ona, Patsy, zamieniła się rolami ze swoją siostrunią, dobrą, słodką, Meredith.

Nareszcie będzie bezpieczna. Pike załatwi sprawę, ona mu dobrze zapłaci, i do widzenia.

Dolała sobie szampana. Przyszłość rysuje się różowo. Po śmierci Emily nikt już jej nie zagrozi. Chyba sama Meredith... ale ona niczego nie pamięta. Skoro przez dziewięć lat nic sobie nie przypomniwała, już nigdy nie odzyska pamięci.

Na wszelki wypadek Patsy wynajęła detektywa, żeby trochę powęszył za siostrunią. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Oczywiście nic mu nie powiedziała. Nadmieniła tylko, że jej siostra Patsy Portman przez pewien czas przebywała w szpitalu psychiatrycznym w Mon-

terey. Potem go opuściła i od tej chwili nie miały ze sobą kontaktu.

Chciała tylko, żeby odnalazł Patsy. A tu minął rok i nic, żadnego śladu. Co on, do cholery, robi? Siedzi w swoim biurze i czyta gazety, podczas gdy ona płaci mu krocie za odnalezienie siostry. Przecież ona gdzieś musi być, nie rozpułyła się w powietrzu! Dlaczego jeszcze jej nie znalazł?

Głupio zrobiła, że tak wcześnie wyjechała z domu. Ed Garrison zwykle przysyłał te swoje głupawe raporty po południu; może tym razem wreszcie znalazł coś konkretnego. Gdyby zaczekała...

Zadzwoń do niego, pomyślała, przecież mu płacisz. Nie musisz czekać na żaden zakichany raport, możesz do niego dzwonić w każdej chwili.

Podniosła się, otuliła cudownie miękkim ręcznikiem i wyszła z wanny. Sięgnęła do torebki po notesik z telefonami.

- Mówi Meredith Colton - powiedziała chwilę potem. - Odnalazł pan moją siostrę?

- Witam panią. - W głosie detektywa zabrzmiało zdziwienie. - Nie czytała pani mojego sprawozdania?

- Jestem w Palm Springs - wyjaśniła sucho. - Dlatego dzwonię. Nic pan nie znalazł, prawda?

- Robiłem, co mogłem. - Ed próbował się bronić. - Upłynęło wiele lat. Ludzie, którzy znali pani siostrę, poumierali albo zmienili miejsce zamieszkania...

- Nic mnie to nie obchodzi. Płacę panu i wymagam. Jeśli choć trochę zależy panu na licencji, proszę tyle nie gadać, tylko wziąć się do roboty.

Powiedziała to takim tonem jak ktoś, kto zamierza natychmiast odłożyć słuchawkę.

- Bardzo mi przykro, że to tak długo trwało, ale przecież musiałem wszystko posprawdzać. Pewne ślady, które uważałem za nieistotne, okazały się... - W jego głosie było coś, co spowodowało, że Patsy przerwała mu niecierpliwie.

- Jakie ślady? Przecież wszystkie prowadziły do nikąd.

- Też tak początkowo myślałem - szybko wtrącił Ed - ale okazało się, że nie jest tak źle. Szpitale psychiatryczne czujnie strzegą tajemnicy lekarskiej i nie można z nich wydostać żadnej informacji o pacjentach. Przez dłuższy czas nie wiedziałem nawet, kiedy ją wypisano, kto ją leczył i czy czasem nie przeniesiono jej do innego ośrodka. Szukałem i szukałem, i wreszcie natrafiłem na starą gazetę, w której był artykuł o dyrektorze szpitala, w którym ją leczono. Nazywa się Michael Harper.

- Co z tego? On i tak nic panu nie powie - prychnęła pogardliwie.

- On już tam nie pracuje, odszedł na emeryturę w 1995 roku. Próbowałem się z nim skontaktować, ale jeździ po całym kraju samochodem z przyczepą i dorwiałem go dopiero niedawno w Albuquerque. Bardzo chętnie rozgadał się o pani siostrze. To był taki ciekawy przypadek...

Tym razem nie przerwała mu, lecz zamieniła się w słuch.

- Zastanawiał się, czy w dalszym ciągu cierpi na

amnezję. W szpitalu zdumiewała wszystkich tempem, w jakim odzyskiwała zdrowie. Kiedy ją przywieziono z więzienia, była w strasznym stanie. Nic nie pamiętała, miała głęboką depresję i stany lękowe. Potem nagle zaczęła tak szybko robić postępy, że musieli jej nawet odstawić leki. Wszyscy lekarze ją podziwiali.

Patsy o mało nie jęknęła.

Oczywiście, jak zwykle, wszyscy podziwiali jej siostrę. Jak nie podziwiać genialnej Meredith? Nawet jak świruje, robi to z wdziękiem i godnością i zdumiewająco szybko powraca do zdrowia! Nawet kiedy żyje życiem swojej siostry, robi to o wiele lepiej niż ona sama!

Dlatego właśnie nienawidzi jej z całej duszy!

- Nic mnie to nie obchodzi - wycedziła, żeby nie wybuchnąć. - Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie ona teraz jest.

- Rozumiem - zgodził się potulnie Ed. - Sprawa nie jest beznadziejna. Doktor Harper mówił, że kiedy pani siostra opuszczała klinikę, wszystko wskazywało na to, że ma szanse wyzdrowieć. Miewała już przebłyski świadomości, częściowo pamięć jej wracała i lekarze byli bardzo dobrej myśli. Jej umysł potrzebował tylko jakiegoś bodźca, czegoś, co spowoduje, że przypomni sobie całą przeszłość. To tylko kwestia czasu. Wtedy pewnie i ona zacznie pani szukać.

Powiedział to, chcąc ją pocieszyć, a zbudził w niej paniczny strach. Tego się nie spodziewała.

Oblała się zimnym potem.

A może Meredith już odzyskała pamięć i wszczęła

poszukiwania? Co będzie, jeśli właśnie w tej chwili jest w drodze do Prosperino? Wejdzie na rancho i zażąda swojego miejsca...

Wszystko zniszczy, a ona, Patsy, utraci to, co z takim trudem zdobyła. Odbiorą jej dzieci i pieniądze i znowu wsadzą do więzienia. Nie! Nigdy! - krzyknęła bezgłośnie. Zeskanowała Anula, przerobiła pona.

Nigdy na to nie pozwoli. To jest jej życie, a nie siostry, i nie da go sobie odebrać, prędzej ją zabije! Nie po raz pierwszy targnie się na ludzkie życie; dała sobie przecież radę z Ellisem, kiedy jej odebrał coś, co do niego nie należało. Joe też już by nie żył, gdyby się napił tego szampana. Musiała go sprzątnąć. Wiedziała, że prędzej czy później zacznie coś podejrzewać i odprawi ją z kwitkiem.

- Pani Colton? Jest tam pani? Mam w dalszym ciągu prowadzić tę sprawę? Może pojechać do Missisipi...

- Głos Eda sprowadził ją na ziemię.

- Oczywiście - odparła lodowatym tonem. - Tylko niech pan uważa, żeby jej nie spłoszyć. Jest psychicznie chora i kiedy się dowie, że ktoś jej szuka, ucieknie i znowu się ukryje, a wtedy nigdy już jej nie znajdziemy.

- W takim razie jadę tam jutro rano - z entuzjazmem oświadczył Ed. - Będę informował panią, co i jak.

- Niech pan do mnie dzwoni - warknęła - i nie bawi się w jakieś idiotyczne raporty.

- Jak pani sobie życzy - powiedział tylko i rozłączył się bez pożegnania.

Patsy nic nie obchodziły jego maniery. Płaci i facet ma robić, co mu każe. Jak nie, fora ze dwora!

Była wściekła. Meredith znajduje się nie wiadomo gdzie, tyka jak zegarowa bomba z opóźnionym zapłonem, gotowa w każdej chwili wybuchnąć. Jeśli odzyska pamięć, zanim zostanie wyeliminowana z gry, zniszczy dosłownie wszystko.

Zakłęta i cisnęła telefon, rozbijając cenną porcelanową wazę. Gdzie się, do diabła, podziewa Meredith, jej dobra i mądra siostrunia?

Zgodnie z przewidywaniami doktora Harpera, Louise po opuszczeniu szpitala psychiatrycznego czuła się całkiem nieźle. Pamięci nie odzyskała, ale jakoś sobie z tym radziła. Miała zatrudnienie, miejsce na ziemi i była na swój sposób zadowolona z życia. Lubiła swoją pracę, lubiła swój dom i z przyjemnością wieczorem wracała do niego i do perskiej kotki imieniem Sparrow.

Co nie znaczy, że nie dokuczała jej samotność. W nocy stale dręczyły ją koszmary. Dlatego kiedy jej psychoterapeutka, doktor Wilkes, zasugerowała, że mogłaby zacząć się z kimś spotykać, przyjęła zaproszenie kolegi z uniwersytetu, Lucasa Koffmana.

Właśnie dzisiaj po raz pierwszy mieli iść na kolację.

Louise szybko wróciła po pracy do domu, żeby się umalować i przebrać. Od dawna nie chodziła na randki i była nieco zdenerwowana. Nawet nie wiedziała, kiedy ostatni raz kochała się z mężczyzną; mogła mieć tylko nadzieję, że pewnego dnia dowie się i tego.

- Witaj, malutka - powiedziała i podrapała kotkę

za uchem. - Wybacz, że nie mam czasu na pogawędkę, dzisiaj jest bardzo specjalny wieczór, ale za to przyniosłam ci coś pysznego na kolację.

Wyłożyła pokarm z puszki na miseczkę i pobiegła na górę, żeby wziąć prysznic. Sukienkę miała już gotową; biało-czarna toaleta czekała na wieszaku. Louise wiedziała, że Lucas na pewno zabierze ją na romantyczną kolację przy świecach i muzyce. Od dawna próbował się z nią umówić, ale zawsze dotąd odmawiała. Nic dziwnego, że kiedy wreszcie się zgodziła, uczyni wszystko, żeby ich pierwszemu spotkaniu zapewnić jak najbardziej uroczystą oprawę.

Jest to normalne i nie ma czym się denerwować, przekonywała samą siebie, perfumując się swoimi ulubionymi perfumami. Zbyt długo była sama; doktor Wilkes ma rację, kiedy mówi, że musi oderwać się od przeszłości i zacząć myśleć o przyszłości. Sama Louise też ma ochotę na rozpoczęcie nowego życia; może Lucas okaże się odpowiednim mężczyzną...

Serce mocno jej zabiło na dźwięk dzwonka, ale otworzyła drzwi z uśmiechniętą, spokojną twarzą.

- Witaj, Lucas. Jesteś niezwykle punktualny.

- Nie chciałem, żebyś zrezygnowała z naszego spotkania pod pierwszym lepszym pretekstem. - W jego oczach ukazał się podziw. - Wyglądasz przepięknie.

Louise zaczerwieniła się. Nie należała do kobiet, które godzinami przesiadują przed lustrem. Nie pamiętała, jak to z nią było dawniej, lecz intuicja podszeptowała jej, że chyba nie przywiązywała zbytnej uwagi do swojego wyglądu.

- Dziękuję za komplement - odparła wesoło. - Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, jak się ubrać, bo nie powiedziałaś, dokąd mnie zabierasz.

- Do Black Swan. - Lucas wymienił najbardziej romantyczną restaurację w mieście. - Mam nadzieję, że dobrze wybrałem.

Jego naiwność miała w sobie coś rozbrajającego. Louise roześmiała się beztrąsko.

- Nie musisz mnie traktować jak jakąś księżniczkę. Równie dobrze możemy iść na hamburgera.

- W takim razie na drugą randkę zabiorę cię do McDonalda - oświadczył z powagą. - I to zaraz jutro.

Black Swan okazał się lokalem wytwornym, nastrojowym i... zupełnie nie pasującym do sytuacji. Louise i Lucas, zamiast przeciągle spoglądać sobie w oczy i ściszymi głosami powierzać sobie sekrety, rozmawiali o kolegach, pracy, o polityce i obejrzanych filmach. Zupełnie jak dwoje starych znajomych.

Tak właśnie odbierała to Louise. Lucas był dla niej po prostu dobrym kolegą i nic więcej. Szczerze go lubiła i dobrze się czuła w jego towarzystwie, ale ku swojemu zaskoczeniu nie czuła potrzeby zmieniania charakteru ich znajomości. Nie zamierzała się w Lucasie zakochiwać, ani w nim, ani w żadnym innym mężczyźnie. Nie miała pojęcia, dlaczego tak jest.

- O której mam po ciebie wpaść jutro wieczorem? - zapytał Lucas przy deserze. - Pójdziemy do McDonalda na James Street.

Louise uśmiechnęła się. Zbyt go szanowała i lubiła, żeby go oszukiwać.

- Spędziłam z tobą bardzo miły wieczór... - zaczęła i Lucas spojrział na nią pytająco.

- Bardzo się starałem - oświadczył żartobliwie.

- Wiem - skinęła głową. - Doskonale ci poszło, ale byłoby lepiej, gdybyś na jutro umówił się z inną panią.

Lucas zamrugał powiekami.

- Dlaczego? Źle się ze mną bawiłaś?

- Skądże - gorąco zaprzeczyła - ale problem w tym, że ja nie pamiętam, kiedy ostatni raz bawiłam się tak dobrze.

- Nie rozumiem.

Nikt w pracy nie wiedział, że Louise cierpi na amnezję. Uznała, że Lucasowi może zaufać. Spoważniała.

- Nie pamiętam swojej przeszłości - wyznała opowianym głosem. - Miałam wypadek i straciłam pamięć. Lekarze uważają, że powodem było jakieś traumatyczne doświadczenie, ale na razie nie potrafią go określić.

Jej towarzysz nie krył zdumienia.

- Nie pamiętasz nic? Absolutnie nic? Nic o sobie nie wiesz?

- Niewiele. Tylko tyle, ile mi powiedzieli lekarze w klinice w Kalifornii. Nie było to budujące.

Lucas wyglądał na bardzo poruszonego.

- To straszne! Kiedy miałaś ten wypadek?

- Dziewięć lat temu.

Poczuła do niego wdzięczność za to, że nie pyta o nic więcej.

- Tak, to było straszne - powtórzyła - i w dalszym ciągu takie jest. Nie wiem, kim jestem ani kim dawniej byłam. Lekarze dali mi garść faktów, ale nie czuję żadnej wspólnoty z kobietą, której dotyczą. Zrobiła okropne rzeczy, do jakich ja nie jestem zdolna. Nie mogę zapraszać nikogo do swojego życia, skoro nic o sobie nie wiem. Podobno nawet kiedyś miałam męża, ale ja pamiętam siebie tylko jako osobę samotną.

W błękitnych oczach uważnie słuchającego jej mężczyzny dostrzegła sympatię i współczucie.

- Musi ci być bardzo ciężko żyć w takiej niepewności - powiedział cicho. - Nie znasz nawet swojej matki ani ojca, prawda? Musisz się czuć strasznie samotna, całkiem sama w nieznanym świecie.

Louise spuściła głowę.

- Tak, jestem bardzo samotna - wyznała. - Nieraz myślę, że skoro nikt mnie nie szuka, nikomu widocznie nigdy na mnie nie zależało.

Położył dłoń na jej rękę.

- Nie wolno ci tracić nadziei. Życie jest pełne niespodzianek. Nigdy nie wiesz, co cię spotka za kolejnym zakrętem. To, że twoja rodzina jeszcze cię nie znalazła, wcale nie znaczy, że cię nie szukają. Może właśnie teraz umierają z niepokoju, zastanawiając się, co się z tobą dzieje.

Spojrzała na niego przez łzy.

- Jesteś dobrym, kochanym człowiekiem. Przepraszam, że się rozkłęiłam.

- To całkiem zrozumiałe. Nie wiem, co bym zrobił na twoim miejscu. Często nam się wydaje, że jesteśmy

silni i samowystarczalni, a tymczasem bez oparcia w rodzinie czujemy się jak dzieci w gęstym, ciemnym lesie, i płaczemy ze strachu.

Lucas ją rozumiał! Świadomość, że ktoś oprócz jej psychiatry jest w stanie ją zrozumieć, sprawiła Louise ogromną ulgę.

- Tak - powiedziała. - Tak to właśnie jest. Budzę się w nocy z koszmarne go snu i wiem, że nie ma nikogo, kto mi pomoże. Jestem sama.

Ujął jej dłoń przyjacielskim gestem.

- Jestem przy tobie i bardzo mi na tobie zależy. Zresztą nie tylko mnie, masz przecież kolegów, przyjaciół, wiele życzliwych ci osób. Nie jesteś sama. Gdzieś masz też na pewno kochającą rodzinę i pewnego dnia ją odzyskasz.

Rozpaczliwie chciała mu wierzyć. A kiedy odwiózł ją do domu, pocałował na pożegnanie w policzek i została sama, opadła ją dawna trwoga; poczuła się opuszczona i samotna.

Znany ból w sercu obudził się znowu. Wiedziała, że tak bardzo boli tylko wtedy, kiedy się straciło kogoś najdroższego na świecie, kogoś, kogo się mocno kochało.

Zrozumiała, że Lucas miał rację, mówiąc, że istnieje gdzieś rodzina, do której ona należy. Mąż, krewni, bliscy... Nie potrafiła ich nazwać, ale całą swoją istotą czuła teraz ich bliskość. Nie pamiętała żadnych twarzy, ale dobrze pamiętała czułość i ciepło serdecznych uczuć. Kiedyś kochała i była kochana. Z głębi zapomnienia wyłoniły się czyjeś ramiona i poczuła troskę

i miłość płynące ku niej z głębi czasu. Nie można na zawsze zapomnieć tak wielkiej miłości!

Nie wiedziała, czy płakać nad swoim nieszczęsnym losem, czy cieszyć się z jego odzyskanej cząsteczki. Może jej bliscy są gdzieś niedaleko, może nawet tu, w Jackson, może mijają ich na ulicy, może...

Dręczyła się przez całą noc. Kiedy wreszcie usnęła, koszmar nawiedził ją znowu, straszniejszy niż kiedykolwiek. Znajdowała się w ciasnym, wilgotnym pomieszczeniu, gdzie czaiło się zło, wyraźne i namacalne. Z mroku dochodził ją czyjś głos; przyzywał ją, ale nie mogła mu odpowiedzieć.

Mogła tylko płakać, rozpaczliwie i bezskutecznie poszukując w głowie imienia, które niczym czarodziejskie zaklęcie stanowiło klucz do świata żywych.

Obudziła się o świcie zalana łzami i nie zasnęła już w obawie przed powrotem złego snu.

Sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do doktor Marthy Wilkes, która kilka tygodni wcześniej próbowała pomóc jej hipnozą, ale musiała się wycofać z powodu nękających pacjentkę potwornych migren. Wystukując numer, Louise przypomniała sobie, że Martha przebywa na kongresie w Chicago i wróci dopiero w poniedziałek.

Zrozumiała, że do tego czasu jest zdana wyłącznie na siebie. Wstała i postanowiła uciec się do wypróbowanego sposobu zapewnienia sobie chwilowego spokoju.

Zapaliła światła w całym domu i zabrała się do robienia porządków w kuchni.

Uzbrojony w dawny adres Bryana Walkera, w nazwisko i adres właściciela domu, gdzie jeszcze niedawno mieszkał, w dane kolegów, z którymi pracował w Irish Tavern, a którzy również obsługiwali gości na pamiętnym przyjęciu u Coltonów, Austin sądził, że w niedługim czasie odnajdzie rudowłosego kelnera i zdoła z nim porozmawiać.

Stało się jednak inaczej. W trzy dni później znajdował się stale w tym samym punkcie, poszukiwania nie dały rezultatu i zaczynał mieć serdecznie tego dość. Nie wiedział, czy jego rozmówcy po prostu celowo wyprowadzają go w pole, kryjąc Walkera, czy też przypadek sprawia, że poszukiwany stale mu się wymyka.

- Nie wiem, gdzie teraz mieszka - oświadczył półgębkiem właściciel ostatnio zamieszkiwanego przez Walkera domku. - Wspominał o przeprowadzce do swojej dziewczyny. Może ona coś panu powie.

Dziewczyna Walkera, jedna z kelnerek zatrudnionych w Irish Tavern, nie miała dla Austina czasu.

- Zerwaliśmy ze sobą dwa tygodnie temu - burknęła. - Może Jimmy coś wie.

I nie czekając, aż Austin zapyta, kto to jest Jimmy, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Stracił cały dzień na poszukiwanie nieszczęsnego Jimmy'ego, zanim w końcu się okazało, że chodzi o pewnego muzyka zwanego Bongo Jim, dawnego sąsiada Walkera.

Jim wcale nie grywał na bongo, tylko na czymś w rodzaju bębna i był podstarzałym hippisem. Siedział na plaży i po prostu bębnił.

Na widok Austina pytająco uniósł brew.

- Po co ci Bryan Walker? Przyniosłeś jakieś rachuneczki do zapłacenia? Czynsz, telefon, a może światło?

Austin nie wiedział, co odpowiedzieć. Widać było, że Jim zamierza chronić przyjaciela, dlatego gra na zwłokę. Jeśli się dowie, że Austin jest prywatnym detektywem i prowadzi sprawę o próbę zabójstwa, na pewno nie zechce z nim gadać.

Mimo to postanowił zaryzykować. W spojrzeniu ekscentrycznego grajka dostrzegł coś, co mu powiedziało, że Jim doceni jego szczerość.

- Jestem detektywem - oświadczył bez owijania w bawełnę. - Zajmuję się sprawą strzelaniny na pewnym przyjęciu. Pański przyjaciel pracował tam wtedy jako kelner i mógł coś widzieć. Powiedziano mi, że może mi pan pomóc go znaleźć.

- Może... - Hippis skrzywił się lekko. - Bryan nigdzie długo nie zagrzewa miejsca, stale się przeprowadza. Mówiłem mu, że tak nie można, ale on uważa, że najlepszy sposób na kłopoty to ucieczka. Wszędzie dobrze, gdzie go nie ma...

- A teraz też ma kłopoty? - zapytał Austin, próbując nie okazać podniecenia. - Dlatego zniknął i nikt nie wie, gdzie się znajduje? Ukrył się gdzieś?

Jimmy chwilkę odczekał.

- Nie chowa się przed glinami - rzekł potem z namysłem - jeśli o to panu chodzi. Wiem to na pewno. Po prostu na jakiś czas wyjechał z miasta.

- Wie pan, dokąd pojechał?

- Chyba tak.

Nie dodał nic poza tym i Austin postanowił go nacisnąć.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, żeby się podzielić ze mną tą cenną informacją? - zapytał znacząco.

Jego rozmówca przechylił głowę i przez chwilę bacznie mu się przyglądał.

- O nic go nie podejrzewacie, prawda? - zapytał w końcu. - Chłopak jest czysty jak łza. Chadza własnymi ścieżkami, ale nie robi nic złego. Muchy by nie skrzywdził.

Austin wiedział. Z tego, co słyszał o Bryanie, mógł wnioskować, że poszukiwany przez niego chłopak nigdy nie próbowałby nikogo zabić.

- Nie podejrzewam go o nic złego, ale był tam wtedy obecny i może coś zauważył. Stał w miejscu, skąd mógł nawet widzieć potencjalnego mordercę. Dlatego chciałbym z nim porozmawiać. To moja ostatnia deska ratunku.

Jim długo nad czymś dumał, a kiedy się w końcu odezwał, udzielił dość obszernej informacji.

- Jest w Big Bear, jego znajomy ma tam domek. Bryan chce posiedzieć nad jeziorem do końca lata i popracować w jakiejś knajpie. W Big Bear jest dużo letników, a chłopak potrzebuje forsy, żeby popłacić rachunki.

Austin wiedział, że nie może oczekiwać, iż Jimmy poda mu dokładny adres domku, i zbytnio się tym nie przejął. Big Bear było niewielką miejscowością. Wy-

starczy zajrzeć do wszystkich domów letniskowych nad jeziorem i popytać.

- Serdeczne dzięki - powiedział i włożył dziesięć dolarów do kapelusza leżącego u stóp muzyka. - Bardzo mi pan pomógł.

Hippis skinął głową i lekko uderzył stalowymi pałeczkami w dziwaczny bęben.

Wiedział, że powinien udać się do Big Bear niezwłocznie, ale zrobiło się późno i postanowił wyprawę odłożyć na następny dzień. A że nazajutrz była sobota, doszedł do wniosku, że zabierze ze sobą Rebekę.

Ruszył w stronę hotelu, uśmiechając się do tej myśli i odganiając od siebie wyrzuty sumienia. Od tamtego wieczora spędzili ze sobą mnóstwo czasu. Spotykali się prawie codziennie po pracy, gawędzili, spacerowali i cieszyli się, że są razem.

Ale on chciał więcej. Chciał spędzać z Rebeką coraz więcej czasu i chciał ją mieć tylko dla siebie.

Pobiegł myślami do Portland, do swojego cichego, domu i samotnego, spokojnego życia. Gdzie te czasy?

Rozmawiał z Rebeką o przyszłości i czuł, że pragnie przyszłości z nią. A przecież po śmierci Jenny uważał, że jego życie się skończyło i że już nigdy nie spojrzy na żadną kobietę...

- Wpadłeś, stary - mruknął. - Wpadłeś na całego. Wszystkie twoje postanowienia wzięły w łeb. Nawet nie widzisz, że toniesz...

Nie zamierzał przerywać tego stanu. Było mu z tym dobrze. Zaraz po powrocie do hotelu sięgnął po telefon.

- Witaj, kochanie, czy masz jakieś plany na jutro?
- zapytał, kiedy się odezwała.

- Nie. - Głos Rebeki był łagodny i melodyjny. - Muszę tylko trochę sprzątnąć mieszkanie i zrobić jakieś zakupy, ale to może poczekać. A dlaczego pytasz?

- Wybieram się jutro do Big Bear, Walker podobno tam jest. Myślałem, że może chcesz ze mną pojechać.

~ Oczywiście.

Powiedziała to bez wahania. Pojedzie z nim wszędzie i zawsze. Wszystkie inne sprawy mogą poczekać. Nie interesuje jej, dokąd jadą ani na jak długo i co ma ze sobą wziąć. Chce być z nim i tylko to się liczy.

- Jesteś cudowna - powiedział Austin i bardzo się zdziwiła.

- Ja? Dlaczego? Dlatego, że chcę jechać z tobą do Big Bear?

- Między innymi - odparł oględnie. - Zgodziłaś się, nie pytając, czy bardzo będę tam zajęty pracą, i to jest fantastyczne. W takim razie wpadnę po ciebie o ósmej rano, po drodze zatrzymamy się gdzieś i zjemy śniadanie.

Rozłączyła się i o mało nie podskoczyła z radości. Cały dzień spędzą razem! Od tamtego wieczoru, kiedy Austin wypłakał się na jej ramieniu, wszystko się zmieniło. Runęły ostatnie dzielące ich bariery i mogli już mówić o wszystkim. Zgodnie postanowili, że poczekają z seksem, bo w tej sytuacji pośpiech mógłby tylko wszystko pogorszyć. Muszą być cierpliwi.

Tym razem jednak cierpliwość wcale nie przychodziła jej z łatwością i było to całkiem nowe, bardzo

podniecające doznanie. Któż mógłby przypuszczać, że ona, Rebeka Powell, ledwo może się doczekać chwili, kiedy pójdzie z mężczyzną do łóżka? Austin całkowicie odmienił jej życie i pokochała go.

Bez chwili wahania pojedzie z nim do Big Bear! Pojedzie z nim na koniec świata, jeśli Austin ją o to poprosi.

Dzień zapowiadał się cudownie. Na niebie snuło się co prawda kilka chmur, a korki na szosie były takie jak to w Kalifornii podczas weekendu, ale ani Austin, ani Rebeka nie zwracali na to uwagi. Wsłuchani w stare przeboje Deana Martina jechali przed siebie, weseli i odprężeni.

Rebeka od lat nie była w Big Bear i miejscowość na nowo ją zachwycała. Miała ochotę popływać w jeziorze i popalać się trochę, ale musiała to odłożyć na następny raz. Dzisiaj byli tu „służbowo”.

Austin najwyraźniej myślał o tym samym, bo jadąc wzdłuż jeziora, nagle się zamyślił.

- Gdzie hippis szukający pracy kelnera mógłby się udać, jak sądzisz? - zapytał.

Rebeka bez wahania udzieliła mu odpowiedzi.

- Do Golden Eagle. Tam bywają „dobre stare pieniądze”, ludzie bogaci i z dobrych rodzin. Zawsze potrzebują kogoś do obsługi, a napiwki dają sowite.

- W takim razie zaczniemy od Golden Eagle - zgodził się Austin. - To po drugiej stronie jeziora.

Rebeka zawsze bardzo lubiła to miejsce. Wielka kamienna budowla, wzniesiona pośród drzew, przypominała bajeczną siedzibę olbrzymów i leśnych wrózek.

Mimo że nad jeziorem w ostatnich latach wyrosły wytworne pensjonaty z ogromnymi telewizorami i wszelkiego rodzaju luksusami, Golden Eagle miał w sobie coś, co sprawiało, że zawsze się do niego wracało. Herbatę podawano tu po południu zawsze o tej samej porze, goście przebierali się do kolacji, a na dansingach tańczono przy muzyce z lat czterdziestych.

Właściwie Golden Eagle powinien już dawno nie wytrzymać konkurencji bardziej nowoczesnych hoteli i splajtować.

Było jednak inaczej.

Bogaci i słynni letnicy przyjeżdżali tu co roku w poszukiwaniu spokoju i atmosfery dawnych dobrych czasów.

W sobotnie popołudnia w Golden Eagle wrzało jak w ulu. Wszystkie korty były zajęte. Jachty przypływały i odpływały, amatorzy kąpieli w jeziorze oblegali brzeg, a starsi panowie wytrwale grali w krykieta na trawie. Damy natomiast obsiadły tarasy i werandy, pogryzając ciasteczka będące specjalnością szefa kuchni.

Austin zatrzymał się na parkingu, wysiadł i otworzył drzwi Rebecce. Przez chwilę taksował wzrokiem staroświecki hotel.

- Walker może i szukał tutaj pracy, ale wątpię, żeby go przyjęli w takim miejscu - stwierdził. - Taki jak on tu nie pasuje.

Skierowali się ku wejściu. Rebeka spojrzała na niego zaciekawiona.

- Skąd wiesz? - zapytała. - Nigdy go przecież nie widziałeś.

- Nie, ale mówiłaś, że ma długie włosy i kolczyk w uchu. - Ruchem głowy wskazał taras, na którym w twornicy goście pili herbatę, obsługiwani przez bezszelestnych kelnerów. - Tutaj nikt nie zaangażuje hip-pisa.

Rebeka poszła w ślad za jego wzrokiem i musiała przyznać mu rację. W Golden Eagle królował tradycyjizm. Taki ktoś jak Bryan Walker zupełnie tu nie pasował.

- Coś w tym jest - przyznała. - Chyba ci wskazałam niewłaściwe miejsce.

Austin jednak nie do razu ustąpił. Udał się do osoby odpowiedzialnej za zatrudnianie personelu, żeby ostatecznie się przekonać, czy jednak Bryan nie znalazł tu pracy.

Jego przewidywania się sprawdziły. Człowiek, którego szukał, zgłosił się tu, lecz nie został przyjęty. Austin poczuł, że wreszcie jest na jakimś tropie.

- Tak czy inaczej wiemy, że zgodnie z tym, co mówił Bongo Jim, jest tutaj. Teraz tylko musimy go znaleźć - oświadczył energicznie.

Zadanie okazało się niełatwe. Big Bear, miejscowość położona niedaleko Los Angeles, cieszyła się pod koniec tygodnia niezwykłą popularnością, a w wielkich posiadłościach nad jeziorem zatrudniano mnóstwo ludzi.

W takich warunkach odnalezienie jednego rudowłosego kelnera granoczyło z cudem i było jak szukanie przysłowiowej igły w stogu siana. Po kilku godzinach bezowocnych poszukiwań postanowili coś przekazać

i... Austin znieruchomiał w progu jednej z hotelowych restauracji.

- Zobacz - szepnął. - Tam, to musi być on. Nareszcie! Spójrz na jego włosy.

- Gdzie? - Wzrok Rebeki powędrował w stronę wysokiego, chudego mężczyzny przyjmującego właśnie zamówienie przy stoliku. - A już myślałam, że go sobie wymyśliłam.

Rudzielec zwrócił się ku nim profilem i ujrzeli kolczyk w jego uchu.

- Wspaniale go opisałaś - pochwalił ją Austin. - Naprawdę wygląda jak hippis. Zupełnie jakby się urwał z jakiejś komuny, brakuje mu tylko sandałów. Chodź, pójdziemy z nim pogadać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bryan Walker, rudowłosy kelner o wyglądzie hip-pisa, niestety nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Chciał im pomóc, ale nie bardzo wiedział jak.

- Tak, pracowałem wtedy na tym przyjęciu. Opłaciło się, dostałem forsę jak lodu - pochwalił się i jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

Austin z trudem zachował powagę. Bryan najwyraźniej nie brał życia zbyt poważnie, był młody i lekkomyślny i wszystko traktował jak pierwszorzędną zabawę.

- Czy przypadkiem nie zauważył pan, skąd strzelano? - zapytał mimo to, nie tracąc nadziei, że jednak czegoś się dowie. - Tuż przedtem, zanim padł strzał, roznosił pan szampana. Może ktoś zwrócił pana uwagę swoim dziwnym zachowaniem? Może któryś z gości był zdenerwowany albo zły, może ktoś jakoś odstawał od reszty towarzystwa?

Bryan przez chwilę się zastanawiał. Widać było, że próbuje się skupić i pomóc detektywowi.

- Trudno powiedzieć... tam kłębił się tłum - odparł w końcu niepewnym głosem. - A ten cały Roberts, co nas wynajął, ani na chwilę nie spuszczał nas z oka. Tuż przed toastami tak nas poganiał, że zwracałem

uwagę tylko na to, czy ktoś przypadkiem nie ma pustego kieliszka.

Do rozmowy wmieszała się Rebeka.

- A przedtem? Na początku wieczoru? Może zauważył pan kogoś, kto obserwował innych gości i trzymał się na uboczu?

Młody człowiek zmarszczył brwi.

- Może... - odparł z wahaniem. - Na tym przyjęciu nie wszyscy dobrze się czuli, kilka osób było wyraźnie nie w sosie. Pamiętam takiego jednego gościa. .. wysoki, podobny do gospodarza, sztywny, wyglądał jakby kij połknął. Prócz tego kilka osób chyba nie miało ochoty wznosić toastu, jakby mieli coś przeciw, a może po prostu nie lubili szampana. A pani Cotton. .. pani Meredith dokuczała nam chyba jeszcze gorzej niż Roberts, stale poganiała, żeby wszyscy mieli kieliszki pełne na czas. Kołowrót, słowo daję.

- Nie było mnie tam - powiedział Austin - ale mam wrażenie, że w czasie tego przyjęcia nie panował specjalnie dobry nastrój. A co się działo po strzale?

Bryan wzruszył ramionami.

- Rozpętało się pandemonium. Nic dziwnego, przecież ktoś nagle zaczął strzelać, nie wiadomo kto ani skąd. Gdyby nie natychmiastowe przybycie policji, chyba by się stratowali. Ja też chciałem jak najszybciej dać stamtąd nogę.

Austin wyobraził sobie trzysta osób, w panice gnających przez klomby i trawniki, a na końcu - rudego kelnera z rozwianym długim włosom... Obraz był tak komiczny, że o mało nie wybuchnął śmiechem.

- Musiało to nieźle wyglądać - mruknął pod nosem.

Zegar w holu wybił godzinę, a wraz z nią nastął koniec przerwy Bryana.

- Przykro mi, że w niczym nie mogłem pomóc. - Młody człowiek zaczął się zbierać do odejścia. - Teraz muszę już wracać do pracy.

Austin uściśnął mu rękę.

- Miło nam się rozmawiało.

Po odejściu kelnera Rebeka spojrzała na Austina.

- Coś niecoś jednak powiedział... Ciekawe, kim był ten wysoki mężczyzna, podobny do gospodarza. Może to ktoś z rodziny, jak myślisz?

- Może, ale niekoniecznie. Tam było tyle ludzi, że nietrudno o dwie podobne osoby. Wystarczy ten sam wzrost, ta sama budowa ciała, kolor włosów... A to, że ktoś nie bawił się zbyt dobrze, wcale nie świadczy o tym, że miał zamiar zastrzelić gospodarza. Wszyscy na przykład mówią, że Meredith strasznie się denerwowała, ale przecież do głowy nam nie przyjdzie podejrzewać właśnie ją.

W jego głosie brzmiało zniechęcenie. Znowu ślepa uliczka. Napracował się przez ostatnie tygodnie jak głupi, wykorzystał wszystkie ślady, „przesłuchał” kilkadziesiąt osób, i nic. Znajduje się stale w punkcie wyjścia.

- Może byśmy tak na chwilę zapomnieli o celu naszego przyjazdu - przerwała jego niewesołe myśli Rebeka - i coś zjedli? Od śniadania nie miałam nic w ustach i burczy mi w brzuchu.

Rzeczywiście, tropili Bryana Walkera tak zawzięcie, że zapomnieli o jedzeniu. Wyszli z hotelu i rozejrzeli się, gdzie można by pójść.

- Na końcu ulicy jest urocza mała knajpka - powiedziała Rebeka. - A może po prostu zjemy hamburgera? Jak wolisz?

Jej słowa zagłuszył grzmot. Unieśli oczy i ze zdumieniem ujrzeli ciemne chmury zasnuwające niebo. Zajęci pościgiem za Bryanem nie spostrzegli, że w ciągu ostatnich dwóch godzin pogoda całkowicie się zmieniła. Poczuli na twarzach powiew zimnego wiatru, a w chwilę potem lunął deszcz.

Cofnęli się do hotelowej restauracji i usiedli przy stoliku pod oknem, skąd rozpościerał się widok na jezioro. Bryan Walker pomachał im ręką i roześmieli się. Cóż za ironia losu! Trzeba było od razu przyjść tutaj na lunch, a nie przez kilka godzin uganiać się za Bryanem po całym Big Bear.

Za oknem szybko zapadł mrok, drzewa pochyliły się pod wpływem silnego podmuchu wiatru.

- Zapowiada się ciężka noc - mruknął Austin ze wzrokiem utkwionym w ciemność.

- Po prostu letnia burza - zbagatelizowała sprawę Rebeka. - Minie, zanim skończymy jeść.

Zabrzmiało to pocieszająco, ale się nie sprawdziło. Bryan przyjął od nich zamówienie, przyniósł dania, zaczęli jeść, a burza za oknem ciągle nie ustawała.

- Podróż powrotna nie zapowiada się różowo. - Austin westchnął, a jego twarz rozświetliła kolejna błyskawica.

Rebeka przytaknęła. Droga do domu wiodła zбочem góry nad przepaścią i nawet bez burzy z piorunami nie należała do najłatwiejszych.

- Zostańmy tutaj na noc - zaproponowała. - Joe ma domek nad jeziorem. Teraz, o ile wiem, nikt tam nie zagląda. Joe na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli się tam schronimy.

- Dom nie będzie zamknięty? - zapytał Austin.

- Owszem, ale wiem, gdzie leży klucz - triumfalnie odparła Rebeka. - Pod wielkim kamieniem przy wejściu! Znajdę go, jeśli oczywiście uda mi się trafić do tego domku. Nie byłam tam od lat.

Austin nie krył rozczarowania.

- Nie znasz drogi?

Zrobiła do niego oko i uśmiechnęła się szelmowsko.

- Nie znam, wiem tylko, że to gdzieś niedaleko straży pożarnej. Jak zobaczę, rozpoznam to miejsce.

Jęknął, ale nie mieli wyboru; musieli znaleźć domek Joego, ruszyć w niepewną drogę albo... nocować pod gołym niebem. W hotelach i pensjonatach na pewno nie było wolnego miejsca.

Szybko wypisał czek.

- W takim razie nie mamy na co czekać. Pogoda robi się coraz gorsza. Spróbujmy znaleźć jakieś schronienie, bo inaczej będzie z nami niedobrze. W ostateczności postaramy się wrócić do domu.

Kilka minut później biegli jak szaleni przez parking w strugach ulewnego deszczu. Pioruny waliły raz po raz, błyskawice niczym smugi reflektorów rozświetlały

pejzaż. Rebeka wybuchnęła śmiechem. Rozchlapując wodę nogami obutymi jedynie w lekkie sandałówki, czuła się jak mała dziewczynka. Wolna i szczęśliwa.

W końcu dopadli samochodu.

- Kompletnie wariactwo - oświadczył zdyszany Austin.

- Ale jakie fajne! - roześmiała się znowu Rebeka.
- Kto by przypuszczał, kiedy rano opuszczaliśmy miasto, że wieczorem będziemy biegać w ulewnym deszczu!

- Ja na pewno nie - stwierdził Austin, zapalając silnik. - W przeciwnym razie wziąłbym ubranie na zmianę. Mam nadzieję, że Joe ma w tym swoim domku coś suchego, w co się będziemy mogli przebrać.

- Pod warunkiem, że w ogóle znajdziemy ten domek. - W oczach Rebeki pojawiły się figlarne błyski.
- Skręć w prawo, tak mi się wydaje... to może być tam...

Błyskawica rozdarła niebo, oświetlając drogę.

Rebeka wcale nie żartowała, kiedy mówiła, że nie bardzo wie, gdzie znajduje się letniskowy domek Coltonów. Była w nim tylko dwa razy, ostatnio bardzo dawno temu. Mglistie przypominała sobie drogę; dom stał chyba nad wodą, a wokół rosły wysokie drzewa... To samo jednak można było powiedzieć o większości letnisk w Big Bear.

Trzykrotnie objechali jezioro, ale nigdzie nie znaleźli letniska Coltonów.

- Poczekaj - rzekła w pewnej chwili Rebeka. - Daj mi się zastanowić. Teraz wszystko zupełnie inaczej

wygląda, całkiem się zgubiłam. Pobudowali nowe domy, zrobili jakieś podjazdy... Nic nie poznaję. Pamiętam tylko, że z okna można było obserwować zachód słońca.

- To znaczy, że przynajmniej znajdujemy się po właściwej stronie jeziora - z rezygnacją stwierdził Austin. - Pewnie się kapaliście, kiedy spędzaliście tu wakacje. Czy z brzegu widać było przystań?

- Jasne! - wykrzyknęła radośnie Rebeka. - Kiedy się wchodziło do wody, po prawej stronie widziało się przystań!

- To już coś.

Skręcił za rogiem i w rytm bębniących o dach kropli deszczu sunęli dalej wąskimi uliczkami, przyglądając się mijanym domom. W pewnej chwili błyskawica rzuciła snop światła na kępę drzew.

- To tu! - krzyknęła Rebeka.

- Gdzie?

- Za tymi drzewami! Widzisz ten głaz? Mówiłam ci, że przy drzwiach leży wielki kamień.

Następna błyskawica oświetliła drogę wiodącą do niewielkiego domu ukrytego pośród drzew.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Rebeka. - Już myślałam, że go nigdy nie znajdziemy.

Znacznie łatwiej niż odszukanie drogi przyszło jej znalezienie klucza. Nie zwracając uwagi na deszcz, wyskoczyła z samochodu i sięgnęła pod kamień leżący przy progu.

- Mam go! - zawołała z triumfem. - Mówiłam, że tu jest!

Gdyby nie ulewa i to, że byli przemoczeni do suchej nitki, wzięłyby ją w objęcia i pocałował.

Mokre włosy opadały jej na twarz, cienka sukienka przylegała do ciała, makijaż dawno już się rozmazał, ale w dalszym ciągu była najpiękniejszą kobietą na świecie.

Ale najdziwniejsze, że nie miała o tym pojęcia. Austina nie przestawało to zdumiewać.

- Owszem, mówiłaś - potaknął i nieoczekiwanie pocałował ją w usta. Oddała mu pocałunek, zapominając o trzymanym w ręku kluczu.

Austin błyskawicznie go przejął i skoczył ku drzwiom.

- Ścigamy się, kto pierwszy dopadnie kominka! - krzyknął, wbiegając po schodkach.

Rebeka pędem puściła się za nim.

- Oszukujesz! Nie powiedziałaś „raz, dwa, trzy, start”!

Austin szybko otworzył drzwi i znalazł się w środku.

- Raz, dwa, trzy, start! - krzyknął na odczepne i zapalił światło.

W tej samej chwili rozległ się grzmot i światło zgasło.

Po ciemku odszukał dłoń Rebeki.

- Nic się nie bój, wszystko w porządku. Nie wiesz, gdzie Joe i Meredith trzymają świece?

- Tutaj nie wiem, ale w domu mają taką półkę obok lodówki - odparła szeptem.

- Pewnie tutaj jest tak samo. Zaraz sprawdzimy, czy mam rację.

Usłużna błyskawica oświetliła kuchnię i zobaczył szafkę stojącą przy lodówce.

Sięgnął do środka i wyjął świece oraz zapałki.

- Udało się, zaraz będzie widno - oświadczył z dumą Austin.

Oczy Rebeki rozbłysły w migotliwym płomieniu świecy.

- Mój ty bohaterze... - szepnęła żartobliwie.

- Możesz mnie nazywać Supermanem - zaproponował z powagą Austin. - W skrócie mów do mnie „mój Superku”.

- Teraz - powiedziała wesoło - oprowadzę cię po naszych włościach, mój Superku.

Czuła się cudownie. Przemoczona do suchej nitki, rozczochrana, z rozmazanym makijażem, była tak szczęśliwa jak nigdy w życiu.

Letniskowy dom Coltonów składał się z dwóch sypialni, saloniku i kuchni. Umebłowany był masywnymi starymi sprzętami. Dawniej Meredith i Joe często chronili się tutaj przed zgiełkiem codziennego życia i w ciszy i spokoju oddawali się swemu ulubionemu zajęciu, czyli łowieniu ryb. Ich ubrania nadal wisały w szafie, mimo upływu lat.

Od tego czasu bardzo wiele się zmieniło i Rebeka posmutniała, uświadamiając sobie naturę tych zmian.

- Co za ponura mina? - Austin spojrzał jej w oczy.
- Nie martw się. Może to nie Hilton, ale dach nie przecieka, a obok kominka jest sterta drewna. Zaraz rozpalę. Wystarczy nam na całą noc, damy sobie radę.

Rebeka uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Wiem, nie tym się martwię. Pomyślałam o tym, jak dawniej wyglądało życie Meredith i Joego. Kiedy ich poznałam, wszystko było inaczej niż teraz.

- Byli sobie bardzo bliscy, pamiętam - zgodził się z nią Austin.

Skinęła głową.

- Tak, byli sobie tacy bliscy, a potem wszystko uległo zmianie. Są teraz zupełnie inni. Dlaczego tak się stało? To bardzo smutne.

- Takie jest życie - rzekł cicho Austin. - To podobno normalne. Ludzie się starzeją i zmieniają, co nie znaczy, że przestają się kochać. Po prostu życie ich rozdziela, mają własne sprawy i nieraz miewają okresy, kiedy mniej lubią ze sobą przebywać. Daj im trochę czasu, na pewno do siebie wrócą.

Rebeka zadumała się.

- Nie wiem... - szepnęła potem. - Sama nie wiem. Chyba jest już za późno.

Za oknami szalał wiatr, w domku zrobiło się zimno. Rebeka drgnęła i dłońmi osłoniła nagie ramiona.

- Musisz się przebrać. - W głosie Austina zabrzmiała troska. - Jesteś przemoknięta. Poszukaj w szafie, może znajdziesz coś suchego.

Otrząsnęła się z zamyślenia.

- Najpierw wezmę kąpiel - oświadczyła.

- Doskonały pomysł, zapalę ci świece - zaproponował.

Ustawił lichtarz na toaletce, drugi na brzegu wanny i napuścił ciepłej wody, korzystając z gazowego piecyka. Rebeka w myślach złożyła dzięki opatrności za

to, że w Big Bear wody nie podgrzewa się prądem. Mogłaby wtedy zapomnieć o wymarzonej gorącej kąpieli!

W szafie znalazła jakieś fatałaszkę Meredith, podziękowała Austinowi za pomoc i zamknęła mu przed nosem drzwi łazienki.

Z rozkoszą zanurzyła się po szyję w ciepłej wodzie. Nie wiedziała, jak długo tak leży.

Upłynęło może kilka minut, a może kilka godzin.

Dopiero kiedy Austin zastukał do drzwi, pytając, czy aby nie zasnęła w wannie, otworzyła przymknięte oczy. Odparła, że wszystko w porządku i znowu po-grążyła się w błogostanie.

Kiedy wreszcie po pewnym czasie wyszła z łazienki, była jak nowo narodzona. Czowała się świetnie w niezbyt dopasowanym, ale rozkosznie suchym i ciepłym ubraniu Meredith.

Zabrała ze sobą świece i przeszła do saloniku. Austin, pochylony nad kominkiem, dorzucał właśnie drewno do ognia.

Zatrzymała się w progu podziwiając widok, jaki miała przed sobą. Austin wszędzie poustawiał świece i w saloniku zrobiło się zupełnie jasno. Przyniósł też kołdry i poduszki z sypialni i pomiędzy kanapą a kominkiem zrobił wspaniałe, miękkie legowisko.

- Jak tu przytulnie i romantycznie - odezwała się.

Uniósł ku niej oczy i tym razem skupił się na nim. W starych dżinsach i rozciągniętym swetrze wyglądał niesamowicie atrakcyjnie. Nagle bardzo zapragnęła go dotknąć.

Austin przez dłuższą chwilę milczał, zapatrzony w stojącą przed nim niezwykłą zjawę.

- Pięknie wyglądasz - wydukał wreszcie, nie spuszczać z niej wzroku.

Rebeka zarumieniła się i zmieszana poprawiła kołnierzyk zbyt obszernej bluzki.

- Ty też - odparła. - Czuję się jak dziecko, które się przebrało w sukienkę mamusi... A ty?

- Ja? Nigdy się nie przebierałem w sukienki mamusi - z godnością zaprotestował Austin.

- Ale chyba w dzieciństwie bawiłeś się w przebie-ranki? A może to tylko dziewczynki tak robią?

Austin przysiadł na podłodze i oparł się plecami o kanapę.

- Pamiętam, jak kiedyś, miałem może pięć lat, wy-stroiłem się w długie buty ojca. Zamierzałem jeszcze włożyć jego płaszcz, ale przewróciłem się i złamałem sobie nos.

- Nie! Nieprawda!

- Ależ tak, słowo daję. Odtąd już nigdy w nic się nie przebierałem.

Rebeka przykucnęła obok niego.

- Biedne maleństwo. Ale za to teraz masz śliczny, zgrabny nosek!

Przysunęła się i nieoczekiwanie pocałowała go w czubek nosa. Czas się zatrzymał i nagle wszystko się zmieniło.

Na zewnątrz szalała burza, ale dla Rebeki liczyło się tylko to, co dostrzegła w oczach Austina. I to, co nagle odczytała w swojej duszy. Przez cały dzień ma-

rzyła o tym, żeby go pocałować. Poczwała niespokojne bicie serca.

- Tak bardzo pragnę cię pocałować - szepnęła, lekko dotykając palcem jego policzka. - Mogę?

- Byłbym bardzo rozczarowany, gdyby tak nie było - odparł cicho. - Możesz mnie całować, kiedy zechcesz i jak tylko zechcesz. Nawet bez pytania.

Teraz miała ochotę pocałować go w szyję. Poczwała zapach deszczu szumiącego za oknem i jodeł gnących się w porywach wiatru. Usłyszała głos ukochanego mężczyzny.

- Rebeka, kochanie...

W obawie, że Austin może się odsunąć, szybko przylgnęła wargami do jego ust. Przytuliła się do niego całym ciałem, a pod jej przymkniętymi powiekami rozbłysło słońce.

Leżała na dywanie z kołder i poduszek, w ramionach Austina i niczego się nie bała! Czuła się lekka, szczęśliwa i bezpieczna!

Ujęła jego rękę i położyła ją sobie na piersi.

- Dotknij mnie... - poprosiła.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - zapytał z powagą w głosie.

- Tak. Pragnę tego, jak nigdy niczego nie pragnęłam. Pragnę ciebie.

Ogień na kominku płonął, trawiąc grube polana, płomienie świec jarzyły się wokół nich, a oni gorączkowo poznawali swoje ciała, niczym podróżnicy poznający nieznane lądy.

Rebeka była cudowna. Całowała Austina z gorącą

namiętnością, rozbudzając w nim pożądanie, jakiego dotąd nie doświadczył.

- Kochanie - jęknął między kolejnymi pocałunkami - tak bardzo cię pragnę... Chciałbym się z tobą kochać.

Rebeka wężowym ruchem wsunęła się pod niego.

- Ja też. Zróbmy to teraz, zaraz.

Nadeszła z dawna oczekiwana chwila i Austin zrozumiał, że nie ma odwrotu. Od kominka bił ciepły blask, cienie tańczyły na ścianach, Rebeka była tuż-tuż i przyzywała go do siebie.

Złączył się z nią powoli i delikatnie. Widział przed sobą jej piękną twarz rozjaśnioną pożądaniem i oddanie w oczach. Kobieta jego marzeń należała do niego. Czas zatrzymał się i Austin głośno wymówił ukochane imię.

- Rebeka...

Pożądanie, żądza, miłość - przepełniające ich bez reszty uczucia stopiły się w jedno, tak jakby burza szalejąca za oknami przeniknęła w ich rozedrgane ciała.

Rytm ich miłosnego szaleństwa wyznaczały teraz grzmoty i błyskawice. Cały świat uczestniczył w tym, co działo się w niewielkim domku nad jeziorem.

Po raz pierwszy od śmierci żony Austin poczuł, że z kobietą połączył go nie tylko seks. Zrozumiał to, kiedy wewnętrzna burza ucichła i przytulił do siebie Rebekę. Kochał ją. Kiedy to się stało? Kiedy się w niej zakochał?

Myślał przecież, że już nigdy nie pokocha żadnej

kobiety, przynajmniej nie w sposób, w jaki kochał zmarłą żonę.

Uśmiechnął się do siebie. Miłość to jednak cudowne uczucie. Rozjaśnia świat i umacnia duszę. Z miłością żyje się inaczej, świat staje się przyjazny i otwarty. Przeszłość odchodzi w dal, ostrze bólu tępieje.

Jak można nie kochać kogoś, kto sprawia, że człowiek rodzi się na nowo? Musi powiedzieć Rebecę, jak bardzo ją kocha.

Otworzył usta, ale Rebeka uciszyła go pocałunkiem.

- Kochanie - powiedziała potem podnieconym głosem - było cudownie. Było mi z tobą nieprawdopodobnie dobrze. Nigdy nie myślałam, że to tak może być...

Chciała mówić dalej, ale chwilowo zabrakło jej słów.

- I wcale się nie bałam, zauważyłeś? - ciągnęła po chwili gorączkowo. - Zachowałam się zupełnie... normalnie. Bardzo chciałam to zrobić i udało mi się! Przecież to nadzwyczajne! Nie mogę w to uwierzyć!

Nigdy jeszcze nie widział jej tak przejętej i szczęśliwej. Zrozumiał, że nie może jej wyznaczyć miłości właśnie teraz, kiedy Rebeka zupełnie nad sobą nie panuje. W takiej euforii kobieta nie jest w stanie ocenić własnych uczuć i z łatwością może się pomylić. Pomyśli, że go kocha, a jest mu jedynie wdzięczna za to, że uczynił z niej kobietę i pomógł zapomnieć o traumatycznych przeżyciach z dzieciństwa.

Zbyt długo na nią czekał, żeby teraz wykorzystać sytuację i zmusić ją do niewczesnych wyznań.

Powie jej, że ją kocha, dopiero wtedy, kiedy Rebeka się uspokoi, a on uzyska pewność, że jej odpowiedź jest dogłębnie przemyślana. Na słowa przyjdzie czas później.

Objął ją i mocno przytulił.

- A jednak to rzeczywistość - powiedział. - Uwierz, to dzieje się naprawdę.

W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin kochali się tyle razy, że stracili rachubę. Objęci zasypiali potem na chwilę, żeby po krótkiej drzemce kochać się znowu.

Rebeka czuła się jak w bajce. Austin zdjął z niej złe zaklęcie, obudziła się z koszmarne go snu i pełnymi garściami czerpała miłość.

Nie mogli jednak na zawsze pozostać w domku nad jeziorem. Niedziela przeminęła w mgnieniu oka i trzeba było wracać.

- Nie rób takiej smutnej miny. Dlaczego tak spochmurniałaś?

Austin zerknął nad nią spod oka i uśmiechnął się. Jechali w stronę domu i Rebeka wyraźnie posmutniała.

Wziął ją za rękę.

- Niedługo tu wrócimy. Joe na pewno się zgodzi.

Rozpaczliwie pragnęła, żeby tak właśnie było, ale w miarę, jak zbliżali się do miasta, opadały ją coraz większe wątpliwości.

Austin ani słowem nie wspomniał, co do niej czuje i czy widzi przed nimi jakąś przyszłość. Może razem spędzony weekend i to, że się kochali, nic dla niego nie znaczą? Może Austin po skończonym śledztwie

wróci do Portland i odtąd spotykać się będą jedynie podczas rzadkich rodzinnych uroczystości?

Może Austin nie ma żadnych planów, żyje tylko chwilą i myślami jest już daleko stąd?

Może dla niego to był tylko seks?

Chciała go o to zapytać, lecz coś ją powstrzymało. Nie jest nastolatką, która po pierwszej randce dopytuje się o stan uczuć partnera. Nie robi tego. Jest dojrzałą kobietą i nigdy się tak nie poniży.

Bardzo go kocha, mimo że myślała, iż nigdy nie pokocha żadnego mężczyzny. Właściwie powinna teraz skakać z radości. Nareszcie umie kochać i dawać miłość, bez zastrzeżeń i zahamowań. Nareszcie wie, co znaczy kochać się z mężczyzną.

Dlaczego w takim razie jest smutna? Czy dlatego, że Austin nie wyznał jej miłości?

Siłą powstrzymując łzy, zapatrzyła się w okno.

- To wszystko przez ten deszcz - wyjaśniła przyczynę swojego smutku. - Deszczowa niedziela zawsze bardzo mnie przygnębia.

- Puść jakąś muzykę, będzie ci weselej - poradził i Rebeka, zadowolona, że ma jakieś zajęcie, zajęła się radiem.

Po chwili rozległy się dźwięki jazzu, ale nie poprawiły jej humoru. Przez resztę drogi do Prosperino myślała tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w domu, schować głowę pod kołdrę i solidnie się wypłakać.

Nie potrafiła tego przed nim ukryć. Kiedy zajechali pod dom i poprosiła Austina, żeby jej nie odprowadzał, bo strasznie pada, uważnie spojrzął jej w oczy.

- Coś się stało? - zapytał. - Ejże, to chyba nie chodzi o deszcz, tylko o coś innego. Chcesz o tym ze mną porozmawiać?

Tak! - chciała zawołać, ale było za późno na rozmowy.

Gdy wybierali się do Big Bear, nie sądziła, że spędzą tam cały weekend i nic sobie nie przygotowała. Ani ubrań, ani lekcji na poniedziałek. Cały wieczór i część nocy musi spędzić za biurkiem.

- Teraz nie mogę - odparła. - Może innym razem.

Chciał zaprotestować, ale spojrzał na jej drobną figurkę i zalęknione oczy i zrozumiał, że nie powinien nalegać. Rebeka i tak miała już dość przeżyć. Teraz należy zostawić ją w spokoju.

Nie zamierzał jednak siedzieć w samochodzie i patrzeć, jak jego dziewczyna odchodzi w deszcz.

- Odprowadzę cię do mieszkania - oświadczył i wysiadł z samochodu.

Pomógł jej otworzyć drzwi i oddał klucze.

- Zadzwoń do ciebie później - obiecał. - Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

- Tak - zapewniła go. - Nie martw się.

Chciał w to wierzyć, ale przecież zauważył, że cała jej poprzednia radość stopniała. Wyrazista twarz Rebeki była blada i przygnębiona. Widać było, że coś ją dręczy, ale nie zamierza o tym mówić, a nawet gdyby potrafiła wyrazić to słowami... on nie umiałby jej pomóc.

Udał, że się uśmiecha.

- W takim razie do zobaczenia. Jeśli będziesz

chciała porozmawiać, zadzwonił do mnie bez względu na porę.

Serce mu pękało na widok jej przygnębienia; bardzo chciał ją pocałować, mając nadzieję, że poprosi go, by z nią został. Zrobiłby to bez chwili wahania.

Rebeka jednak tego nie zrobiła.

Zabolało go to.

- Później do ciebie zadzwonię - obiecał, próbując nie okazywać rozczarowania. - A teraz jadę.

Pocałował ją w policzek, odwrócił się i odszedł.

Zamierzał do niej zatelefonować zaraz po powrocie do hotelu, ale zastał na sekretarce dziesięć nagrań od swojego przyjaciela z Portland, Nate'a Thompsona. Wiadomości były chaotyczne i niezrozumiałe, ale w końcu udało mu się odtworzyć ich treść. Zrozpaczony przyjaciel zawiadamiał go, że jego wspólnik uciekł wraz ze sporą częścią kapitału, i błagał Austina o pomoc.

Detektyw natychmiast połączył się z Nate'em.

- Co się dzieje? Dennis wystawił cię do wiatru? Jesteś pewien? Kiedy to się stało? A wyglądał na takiego uczciwego, spokojnego człowieka, co to do dwóch nie potrafi zliczyć...

- Dobre sobie, potrafi, dobrze potrafi! - parsknął Nate. - Wyprowadził wszystkich w pole, udając, że boi się własnego cienia, a od dwóch miesięcy pełnymi garściami czerpał z moich kont. Wczoraj przyszła policja i zamknęli mnie, wyobrażasz to sobie, stary? Siedziałem w areszcie całą dobę!

Austin sięgnął po pióro i kartkę papieru.

- Uspokój się i opowiedz mi wszystko po kolei.

W dwadzieścia minut później miał już kompletny ogląd sprawy i... zajęcie na resztę nocy.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał - i jutro rano do ciebie zadzwonię.

- Pospiesz się - żałośnie jęknął Nate. - Ten łobuz zna wszystkie kody i zabezpieczenia, może mnie oskubać ze wszystkiego. Znajdź te pieniądze, które doprowadził, bo inaczej zgniję w więzieniu.

- Do tego na pewno nie dojdzie - uspokoił go Austin. - Rozumiem, że znalazłeś się w okropnej sytuacji, ale spróbuj się opanować. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

Nie rzucał słów na wiatr; mówił to z całym przekonaniem. Przyjaźnili się od lat i nie wyobrażał sobie, że mógłby stać z założonymi rękami i patrzeć, jak Nate'owi dzieje się krzywda.

Zasiadł do przenośnego komputera i zaczął szukać śladów przepływu pieniędzy. Siedział tak kilka godzin, a kiedy zaczęło świtać, wiedział już, że na odległość niczego nie załatwi.

Nie ma rady; musi jechać do Portland.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie chciał opuszczać Rebeki.

Ta myśl dręczyła go przez resztę nocy, uniemożliwiając pracę i spanie. Chodził nerwowo po pokoju, próbując wprowadzić ład w gonitwę myśli i jakoś rozeznąć się w sytuacji.

Przyjechał do Kalifornii w konkretnym celu i po zakończeniu śledztwa miał wrócić do siebie, do Portland. Jego pobyt tutaj z założenia był czasowy; nie przyjechał do Kalifornii, by tu zostać. Jego dom, jego miejsce na ziemi znajdowało się w Portland.

Nigdy nie myślał, że będzie inaczej.

To wszystko wydawało się logiczne i bardzo proste. Było tak, zanim się dowiedział, ilu Joe ma wrogów. A przede wszystkim zanim on, Austin, zakochał się w Rebecce.

Zupełnie nie wiedział, co począć.

Z jednej strony - Portland, dom, praca, przyjaciele; z drugiej - Rebeka.

Rebeka mieszka w Kalifornii, tutaj ma przybranych rodziców, rodzinę, tutaj są jej korzenie. Przecież nie może od niej żądać, by ze wszystkim zerwała i pojechała z nim do obcego miasta, gdzie nie zna żywej duszy.

O mało nie zadzwonił do niej w środku nocy, żeby o tym porozmawiać. A powinni o tym pomówić.

Nie chciał jednak robić tego przez telefon, bo o takich sprawach najlepiej rozmawia się w cztery oczy.

Najpierw jednak trzeba odbyć rozmowę z wujem. Przyrzekł mu, że odnajdzie człowieka, który próbował go zabić, a teraz musi się przyznać do porażki. Wujowi należy się przynajmniej wyjaśnienie, dlaczego tak jest.

Dochodziła dopiero siódma, ale Joe siedział już przy śniadaniu. Austina to nie zdziwiło; znał jego zwyczaje. Wuj należał do osób aktywnych; od świtu rozsadzała go energia, nie pozwalająca na wylegiwanie się w łóżku.

Członkowie rodziny zawsze żartowali, że zarobił swój pierwszy milion dolarów, zanim inni zdążyli się ogolić. Gdyby nagle zaczął później wstawać, należałoby niezwłocznie wezwać lekarza.

Joe na widok bratanka bardzo się ucieszył.

- Co tak wcześniej na nogach? - zapytał jowialnie.
- W poniedziałki nie możesz spać, chłopcze?

Ruchem dłoni zaprosił go do stołu.

- Na pewno nic jeszcze nie jadłeś. Skosztuj bułeczek Inez i napij się kawy. Siadaj i mów, co i jak. Mam nadzieję, że coś dla mnie masz.

Owszem, miał dla niego wiadomości, ale chyba nie takich informacji wuj oczekiwał.

- Najpierw skończ śniadanie - powiedział do niego. - Tamte sprawy mogą zaczekać. A gdzie Meredith? Jeszcze śpi?

Joe przecząco pokręcił głową.

- Nie, odwozi chłopców do szkoły. Cały weekend spędziła w Palm Springs i teraz musi zaspokoić swoje uczucia macierzyńskie i nadrobić stracony czas.

- A co ona robiła w Palm Springs? - zdziwił się Austin. - Pojechała tam tak nagle.

Wuj wzruszył ramionami.

- A co można robić w takim miejscu? Poleniuchować, poleżeć na plaży... Powiedziała, że tak się zdenrowowała tym, co tu się ostatnio działo, że musi trochę odpocząć.

Logiczne i zrozumiałe, chociaż Austin na jej miejscu wolałby w jakiś inny sposób odreagować przeżyty stres. Nie można jednak mieć Meredith za złe, że zrobiła sobie krótkie wakacje.

- Stała tuż obok ciebie, kiedy padł strzał. - Austin raz jeszcze przypomniał sobie tę scenę. - Nic dziwnego, że bardzo się wystraszyła. Przecież nie tylko mogli zabić ciebie, ona też mogła się stać ofiarą tego zamachu.

Joe o mało nie rozlał kawy. Jego ręka drgnęła.

- Podejrzewasz, że mogło im chodzić o nią, a nie o mnie? - spytał ze zdumieniem.

Austin usiadł i nalał sobie kawy.

- Nic nie można wykluczyć. Takie padające zniemacka strzały mogą być przeznaczone dla każdego. Meredith co prawda nie ma wrogów, a przynajmniej nic o tym nie wiem, więc pewnie to nie ona była celem. Ty natomiast, przynaję to z prawdziwą przykrością, masz chyba kilku takich znajomych, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żebyś zniknął z powierzchni ziemi.

Joe mrugnął okiem.

- Ludzie są przewrażliwieni, zaraz wszystko biorą sobie do serca i obrażają się. Zupełnie jakby nie rozumieli, że w interesach różnie bywa.

Austin twardo wytrzymał jego spojrzenie.

- Właśnie taki rodzaj arogancji sprawił, że o mało co nie zginąłeś - oświadczył z powagą w głosie. - Czy nie mógłbyś zmienić nieco swojego stosunku do ludzi? Unikać konfliktowych sytuacji? Sam rozumiesz, że byłoby to z korzyścią dla ciebie.

- Może masz rację - z ociąganiem przyznał Joe. - Chociaż niektórym ludziom wcale nie zależy na zgodzie ze mną, chcą tylko mojej głowy. Coś w tym chyba jednak jest... Rebeka kiedyś wspominała, że powinienem nad sobą popracować, może nawet wziąć psychologa, żeby mi pomógł „złagodzić obyczaje”. Ale a propos, chyba bardzo się przyjaźnicie, ty i Rebeka? Pomogła ci trochę w śledztwie?

Austin doskonale zrozumiał, co wuj ma na myśli. Pyta, jaki rodzaj stosunków łączy go z Rebeką, ale nie zamierzał na to pytanie odpowiadać. Dopóki nie rozmówi się z samą zainteresowaną i nie dowie się, czy ona go kocha, z nikim nie będzie omawiał tak intymnej sprawy.

- Owszem - odparł obojętnym tonem - bardzo mi pomogła.

Joe spojrział na niego znacząco.

- I co?

- I nic.

- To wszystko? - Wuj nie krył irytacji. - Nic więcej nie masz mi do powiedzenia. A ja już miałem nadzieję...

Ugryzł się w język, ale Austin mu nie darował.

- Na co miałaś nadzieję, wujku? - zapytał ciekawie.

Joe zrobił niewinną minę.

- Na nic, absolutnie na nic - zaprzeczył stanowczo i zaraz zmienił temat. - Co to jest? Co masz w tej wielkiej kopercie?

Austinowi również zmiana tematu tym razem bardzo odpowiadała.

- Przyniosłem ci sprawozdanie - oznajmił. - Raport dotyczący prowadzonego przeze mnie śledztwa.

Joe przechylił się w krześle.

- Skończyłeś śledztwo? - W jego głosie brzmiało nie skrywane podniecenie. - Daj, pokaż.

- Niezupełnie skończyłem - powoli wyjaśnił Austin - ale wezwano mnie do Portland w bardzo pilnej sprawie i muszę tam zaraz jechać.

W kilku słowach opowiedział wujowi, co spotkało Nate'a.

- Przyjaźnimy się od lat - zakończył - i nie mogę go zostawić na lodzie. Potrzebuje pomocy. Zresztą będę z tobą zupełnie szczerzy. Śledztwo idzie mi jak po grudzie. Właściwie nic nie znalazłem. Wiem prawie tyle samo, co w dniu swojego przyjazdu do Kalifornii.

Wyznanie to przyszło mu z wielkim trudem, ale nie zamierzał nikogo zwodzić.

- Wytypowałem podejrzanych, jest ich sporo, ale żaden nie jest bardziej winny od innych. Strasznie mnie to denerwuje. Patowa sytuacja. Nie znoszę tego; mam wrażenie, że kręcę się w kółko, każdy kolejny ślad wie-

dzie mnie donikąd. Strasznie mi przykro, że cię zawiodłem. Liczyłeś na mnie, a ja nic nie mogę zrobić. Wstyd mi, naprawdę.

Joe lekko się skrzywił.

- Nie żartuj, chłopcze. Policja dysponuje całym aparatem śledczym i też niczego nie osiągnęła. Nie musisz mnie za nic przepraszać. Może nigdy się nie dowiemy, kto do mnie strzelał. Chyba że znowu spróbuje.

Austin bardzo chciał móc go zapewnić, że nic takiego nie wchodzi w rachubę, ale nie potrafił. Obaj wiedzieli, że to jest wielce prawdopodobne.

- Dziękuję za wyrozumiałość - powiedział tylko.
- To, że teraz muszę wyjechać, wcale nie znaczy, że na zawsze porzucam śledztwo. Po prostu na jakiś czas tylko je przerywam.

Wstali od stołu i wuj uściśnął mu rękę.

- Nie przejmuj się, chłopcze, tutaj nic się nie stanie. Poczekamy na ciebie, jedź do Portland i zajmij się sprawami swojego kolegi. Tam jesteś bardziej potrzebny. Pomóż mu, zanim ten łobuz, jego współnik, nie wyprowadzi mu wszystkich pieniędzy i nie ucieknie z nimi na koniec świata. A tutaj, kto wie? Może policja w końcu trafi na jakiś ślad.

Rozległo się trzaśnięcie frontowych drzwi i po chwili zjawiała się Meredith. Odwiozła już synów do szkoły. Miała na sobie letnią sukienkę i sandałki i wyglądała prawie jak dawna Meredith, taka, jaką ją pamiętał Austin z dzieciństwa.

Na jego widok zeszywniała.

- Dzień dobry - odezwała się zdenerwowanym

głosem. - Co z ciebie dzisiaj za ranny ptaszek! Stało się coś?

Słowa skierowane były do męża, ale brzmiąca w nich niechęć odnosiła się do Austina. Nie miał jej tego za złe. Na jej miejscu też pewnie z trudnością tolerowałaby w swoim domu detektywa. Niedawno ktoś próbował zabić jej męża, a wszyscy szukali sprawcy wśród jego najbliższej rodziny.

Nic dziwnego, że Meredith ma tego dość.

Już miał coś powiedzieć, ale Joe wpadł mu w słowo.

- Austin przyszedł zdać mi sprawozdanie, bo wyjeżdża i na jakiś czas zawiesza śledztwo - wyjaśnił żonie. - Musi wracać do Portland.

- Wraca do Portland? - Meredith przeniosła puste spojrzenie na detektywa. - Czy to znaczy, że znalazł winnego? Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nie znalazłem tego człowieka - wyjaśnił spokojnie Austin. - Muszę wyjechać, bo mój przyjaciel ma kłopoty i trzeba mu pomóc. Nie wiem, jak długo to potrwa i dlatego nie jestem w stanie przewidzieć, kiedy będę mógł znowu zająć się tą sprawą.

Joe spojrzał na żonę.

- Właśnie się zegnaliśmy - powiedział. - Dziękowałem mu za wysiłek, jaki włożył w próbę znalezienia sprawcy całego tego zamieszania, i życzyłem szczęśliwej podróży do domu. Mam nadzieję, że do nas wróci. Znalezienie winnego może się przeciągnąć i możemy jeszcze potrzebować pomocy Austina.

Meredith wyraźnie się zaniepokoiła.

- Ale jak mamy teraz żyć? Przecież ten człowiek

może gdzieś tu być. Czai się pewnie i czeka tylko na sprzyjającą okazję, żeby znowu zaatakować. Co zrobimy, jeśli znowu próbuje...

- Jeśli ktoś rzeczywiście postanowił mnie zabić - zbagatelizował jej obawy Joe - zrobi to bez względu na to, czy Austin będzie w pobliżu, czy nie. Dlatego tak bardzo się tym nie przejmuję.

Austin postanowił zabrać głos.

- Nie sądzę, żebyście mieli powody do niepokoju - powiedział opanowanym tonem. - Ten, kto strzelał, nie jest idiotą. Wie, że szuka go policja. Moim zdaniem odczeka, aż się wszystko uspokoi, a to może potrwać kilka miesięcy.

- Nie powinnaś zatem się denerwować, możesz żyć normalnie - oświadczył żonie Joe i dodał znacząco: - Nie musisz znowu uciekać do Palm Springs, żeby leczyć skołatanę nerwy. Wszystko jest pod kontrolą.

W każdej innej sytuacji uśmierciłaby go spojrzeniem, lecz nie dzisiaj. Dzisiaj czuła się wyśmienicie. Niech się Joe upaja swoją wyższością i opanowaniem; i tak to ona będzie się śmiała ostatnia. Już teraz miała ochotę wybuchnąć śmiechem!

Austin wyjeżdża! Co za cudowna wiadomość! Słynny detektyw rejteruje. Może sobie wygadywać co chce o swoich przyjaciółach w nagłej potrzebie i tak dalej. Jej nie oszuka. Po prostu zmyka do tego swojego Portland z podkulonym ogonem, bo nie udało mu się trafić na żaden ślad. Nie umiał znaleźć człowieka, który próbował uśmiercić kochanego wujaszka. Sprawa okazała się za trudna i musi się wycofać.

Z przyjemnością roześmiałyby się im prosto w twarz. Dwaj zadufani, pewni siebie faceci! Nadęci i zapatrzeni w siebie.

Ile to było gadania: Austin jest świetnym detektywem, na pewno znajdzie sprawcę, jest lepszy niż cała kalifornijska policja razem wzięta... Brednie.

Nikogo nie znalazł. Teraz została już tylko policja.

Euforia Meredith nieco jednak przygasła, gdy nawiedziło ją wspomnienie Thaddeusa Lawa.

Przecież to idiota, próbowała jakoś się pocieszyć. Nie musi się bać ani jego, ani tej bandy nierobów, z którymi pracuje. Nic nie wiedzą o truciznie, nie mają pojęcia, kim naprawdę jest pani Colton, i nigdy się tego nie dowiedzą.

Jej nowy znajomy o nieruchomościach gada, niejaki Pike, zajmie się tą małą dziwką, Emily, i wtedy na świecie pozostanie już tylko jedna jedyna osoba zdolna zagrozić pani Colton i zniszczyć jej życie.

Meredith.

Kochana, słodka Meredith. Wszyscy uważali ją za anioła, taka była wyrozumiała, mądra i czuła. Zawsze każdemu pomogła, każdego wysłuchała. Tylko Patsy przejrzała ją na wylot i wiedziała, jaka naprawdę jest: samolubna i podła, myśląca tylko o sobie.

Piętnaście lat. Piętnaście długich lat życia bezprowrotnie straconych. Piętnaście lat życia, córeczka i szansa na przyszłość. Patsy z winy Meredith straciła wszystko. A teraz nawet nie wie, gdzie się jej cholerna siostrzyna podziewa.

Jeśli na świecie istnieje jakaś sprawiedliwość, po-

winna teraz błąkać się po ulicach i wyjadać resztki ze śmietników.

Wyobraziła to sobie i jej serce znowu przepełniła radość.

Zemsta jest rozkoszą bogów!

A ona jeszcze nie skończyła ze swoją siostrą. Ma w stosunku do niej jeszcze inne plany.

Edward Garrison prędzej czy później znajdzie Meredith, a wtedy Patsy powtórnie zwróci się do człowieka o gadzich oczach i da mu nowe zlecenie. Pike załatwi sprawę i nikt nigdy już jej nie zagrozi.

Tego dnia każe przynieść z piwniczki męża butelkę najlepszego francuskiego szampana i wypije go za swoje zdrowie. Zanim to jednak nastąpi, musi bardzo uważać i pilnie odgrywać rolę dobrej, słodkiej Meredith. Nikt nie może niczego podejrzewać.

Nawet jeśli w środku wszystko się w niej skręca, musi zachować anielski spokój. Zamrugła powiekami i szeroko otworzyła oczy, nadając im spojrzenie świętej naiwności.

- Nie chodzi o moje skołatane nerwy - powiedziała łagodnie - tylko o twoje bezpieczeństwo, Joe. Nie mogę pogodzić się z myślą, że jakiś szalenciec krąży dokoła domu z nabitą bronią. Skoro jednak Austin mówi, że nic nam nie grozi... Trochę mnie uspokoił, przecież on się na tym zna...

Miło się do niego uśmiechnęła i na pożegnanie pocałowała go w policzek.

- Teraz już muszę iść - oznajmiła potem melodyjnym głosem. - Jestem umówiona z moim fryzjerem.

A ty, Austinie, szczęśliwie wracaj do domu i zaraz się pokaż, kiedy tylko znowu zawitasz do naszego miasta. Joe czuje się bezpieczniejszy, jeśli wie, że nad nim czuwasz.

Ona też, tylko z zupełnie innego powodu. Nie znosiła niespodzianek. Lubiła wiedzieć, co się dokoła dzieje. Tym razem działa się całkiem nieźle i mogła spokojnie udać się do fryzjera. Jeszcze raz serdecznie pożegnała Austina i opuściła obu panów.

W drodze na umówione spotkanie śmiała się w głos.

- Jak dobrze, że już jesteś!

Louise wpadła do gabinetu psychoterapeutki i uściśkała ją ze łzami w oczach.

- Nie mogłam się doczekać rozmowy z tobą!

Martha odwzajemniła jej uścisk.

- Wiem, że kilkakrotnie dzwoniłaś. Kiedy tylko przyszedłam rano do pracy, Julie zaraz mi powiedziała. Co się stało? Miałyśmy się przecież spotkać u ciebie w domu, w piątek. Zaszło coś nowego?

Ostatnio ich terapeutyczne sesje nie były zbyt udane i Martha słusznie się zaniepokoiła, widząc pacjentkę wcześniej rano w swoim gabinecie.

Louise uśmiechnęła się lekko, chcąc ją uspokoić; w jej oczach błysnęły łzy.

- Nie stało się nic ważnego. Po prostu umówiłam się z Lucasem i...

- I co? Sukces czy porażka? - przerwała jej Martha. Pacjentka nie odpowiedziała wprost na jej pytanie.

- Okazało się, że ja go pamiętam.

Psychoterapeutka nie musiała pytać, o kogo chodzi. Znała Louise na tyle, żeby to wiedzieć. Podczas sesji pojawiał się tylko jeden „on”.

Zamknęła drzwi wiodące do recepcji i wskazała pacjentce kozetkę.

- Połóż się, odpręż i spróbuj mi wszystko opowiedzieć.

Louise tylko na to czekała. Przecież po to tutaj przybiegła. Nie mogła się doczekać powrotu Marthy, zupełnie jakby jej pobyt w Chicago trwał nie kilka dni, tylko co najmniej miesiąc.

- On nie ma ani twarzy, ani imienia - zaczęła. - To bardzo głupio brzmi, ale ja wiem o nim równie mało co wtedy, kiedy o nim rozmawialiśmy ostatnim razem.

Martha uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Ale możesz mi opowiedzieć coś o sobie, prawda? Na przykład, dlaczego jesteś taka podniecona. Czyżby przybył jakiś nowy fragment do twojej układanki? Coś sobie przypomniałaś ze swojego dawnego życia?

Jak zwykle trafiła w sedno.

- Tak, byłam pewna, że mnie zrozumiesz - cicho odparła Louise. - Gdybym wiedziała, gdzie się zatrzymałaś w Chicago, natychmiast bym do ciebie zadzwoniła. To było cudowne przeżycie, chociaż bardzo smutne. On gdzieś tutaj jest, czuję go. Martho, to zupełnie niezwykle...

Spojrzała w okno, gdzie letni poranek zaczynał kuśić świat słońcem, i uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Nie wiem, jak to opisać - mówiła dalej. - Tak jakby nic nie zatarało jego obrazu, jakby tkwił w moim

sercu i nie chciał stamtąd odejść. Prawie czuję, jak mnie obejmuje. Pamiętam dotyk jego rąk i gdy zamykam oczy, dokładnie je czuję. Przytula mnie mocno, jakby nie chciał pozwolić mi odejść.

Łzy popłynęły jej po policzkach.

- A jednak pozwolił mi odejść - dodała z rozpaczą. - A może to ja sama od niego odeszłam? Dlaczego? Nie wiem. Możesz mi to wyjaśnić? Czy to on pozwolił mi odejść, czy sama go opuściłam? Dlaczego to zrobiłam, skoro tak strasznie za nim tęsknię, mimo tylu lat... Pomóż mi, bardzo cię proszę. Pomóż mi go odnaleźć. Nie wiem, jak to się stało, że się rozstaliśmy, ale wiem, że musimy do siebie powrócić. Bardzo go potrzebuję. Dłużej już tego nie zniosem.

Jej oczy znowu napełniły się łzami.

Martha doskonale rozumiała swą pacjentkę. Znała ją wystarczająco długo, by nie mieć wątpliwości, że największym problemem Louise jest samotność.

Była ona delikatną, czułą istotą, która na pewno nie szła przez życie sama. Taka kobieta potrzebuje silnego męskiego ramienia. Ktoś gdzieś na pewno na nią czeka. Tylko kto? Odpowiedź znajdowała się w głowie pacjentki i dopóki Louise nie będzie gotowa naruszyć pokładów zapomnienia pokrywających pamięć, musi tam pozostać.

Teraz coś się poruszyło i sytuacja zaczęła ulegać zmianie. Martha usiadła wygodnie w fotelu i skierowała na Louise uważne spojrzenie.

- A jak twoje koszmary? - zapytała.

Pacjentka drgnęła i to powiedziało psychoterapeut-

ce więcej niż niejedna rozwlekła relacja. Koszmary uporczywie powracały co noc.

- Może byśmy jednak spróbowały wrócić do hipnozy - nieśmiało poprosiła Louise. - Jak sobie wszystko przypomnę, może te złe sny ustaną.

Lekarka milczała; zbyt martwiły ją migreny Louise. Nie ulegało wątpliwości, że istnieje ścisła zależność pomiędzy ciężkimi bólami głowy dręczącymi Louise a hipnozą. Dlatego Martha zaniechała tej metody.

- Wiesz, że nie jestem do tego zbyt przekonana - powiedziała po chwili. - Niepokoją mnie twoje bóle głowy i dlatego nie chciałabym ryzykować.

Louise lekko uniosła się na kozetce.

- Przecież stale ryzykujemy. Nie widzisz, jak ja żyję? Codziennie, kiedy tylko zamykam oczy, pojawiają się koszmary. Kiedy mijam na ulicy płaczące dziecko, cała sztywnieję. Kiedy widzę kogoś podobnego do mnie, wpadam w popłoch. Całe moje życie jest nieustannym ryzykiem. Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy leżeć w ciemnościach i czuć obok mężczyznę, którego się nie pamięta. To prosta droga do obłądzenia. Nie mogę tak dłużej żyć. Wolę umrzeć.

Martha jako psychoterapeutka wiedziała, że powinna kierować się rozumem, a nie emocjami. Żeby dobrze wykonywać zawód, musi mieć do pacjentów odpowiedni dystans. Z tą kobietą od początku było jednak inaczej. Coś w niej niezwykle Marthę wzruszało i sprawiało, że jej zawodowy dystans zmniejszał się niebezpiecznie. Odnosiła się do niej jak do przyjaciółki.

- Nie chciałabym ci zaszkodzić - powiedziała po

namyśle. - Tak czy inaczej, odzyskasz pamięć. Potrzebujemy tylko więcej czasu, musisz być cierpliwa.

- Przecież to już prawie dziesięć lat! - niemal krzyknęła Louise. - Dziesięć lat! Jak długo jeszcze mam czekać? Jak długo mam żyć bez rodziny? Jak długo moja rodzina ma żyć beze mnie? To się musi wreszcie skończyć.

Martha zaczęła ustępować. Na miejscu Louise też nie chciałyby czekać ani chwili dłużej.

- Zamknij oczy - oświadczyła z rezygnacją. - Zamknij oczy i spróbuj się uspokoić. Wolno oddychaj i myśl o fontannie w swoim ogrodzie. Słyszysz szmer wody. Cichy i jednostajny. Spokojne, łagodne szmeranie. Ten szum wody zaprowadzi cię do innego ogrodu, który kiedyś znałaś i kochałaś.

Powieki Louise opadły, na twarzy ukazał się łagodny uśmiech.

- Czuję zapach oceanu - powiedziała rozmarzonym głosem. - Tak dawno go nie czułam. Zapomniałam już, jak bardzo to lubiałam.

Przez chwilę milczała, a potem odezwała się znowu:

- On tutaj jest. Siedzi w słońcu obok mnie i patrzy, jak ścinam kwiaty. Uśmiecha się, jest tak blisko.

Martha która, szybko wszystko zapisywała, poczuła, jak ogarnia ją podniecenie. Pacjentka już od pewnego czasu podczas sesji wspominała jej o tym mężczyźnie, ale nigdy jeszcze go nie opisała. Czyżby właśnie ten moment się zbliżał? Czy dzisiaj wreszcie zobaczy jego twarz?

Chciała ją o to zapytać, ale się powstrzymała. Fala

wspomnień musi powrócić w tempie życia wewnętrznego Louise, a nie psychoterapeutki.

- Uśmiechasz się do niego - zauważyła Martha. - Jest ci z nim bardzo dobrze. Cieszysz się, że jest przy tobie.

- Tak - radośnie przytaknęła Louise. - Znamy się od dziecka i z czasem kochamy się coraz bardziej, nie tak jak inne małżeństwa, które się sobą nudzą i od siebie uciekają. My uwielbiamy być razem. Mamy bardzo wiele wspólnego, łączy nas tyle spraw. Dzieci, fundacja, firma...

Nagle uniosła rękę do skroni i skrzywiła się boleśnie.

- Tak strasznie boli mnie głowa - jęknęła. - Jakbym się uderzyła... Ale kiedy? Gdzie? Nic nie pamiętam. Dlaczego ja nic nie pamiętam?

Poruszyła się niespokojnie. Dobre wspomnienia pierzchły i pojawił się lęk.

Martha szybko podeszła do kozetki i delikatnie zaczęła wybudzać pacjentkę z transu. Trochę za daleko dzisiaj zabrnęły.

- Posłuchaj fontanny - mówiła łagodnie. - Odpocznij i odpręż się, jesteś w bezpiecznym miejscu. Tutaj nic ci nie grozi. Weź głęboki oddech, a potem powoli wypuść powietrze. Tak, dobrze, jesteś bezpieczna, Louise. Teraz policzę do trzech, a kiedy skończę, obudzisz się spokojna i odprężona. Raz, dwa, trzy...

Louise otworzyła oczy i spojrzała na nią pogodnym wzrokiem. Zaraz jednak przypomniała sobie przebieg sesji i w jej oczach zjawiała się panika.

- Mam męża, mam dzieci, ale ich nie pamiętam...

- jęknęła cicho. - Co ze mnie za matka! Powiedz, Martho.

Martha milczała. Na razie nie miała jej nic do powiedzenia. Trzeba zdać się na czas.

Austin prosto z rancza udał się do szkoły, gdzie uczyła Rebeka, przez całą drogę powtarzając sobie, że popełnia błąd.

To nie jest odpowiednia pora na decydujące rozmowy. Rebeka jest w pracy; on śpieszy się na samolot. Ma do dyspozycji trzydzieści minut, a to o wiele za mało, jeśli się chce kobiecie powiedzieć, że się ją kocha.

Zwłaszcza komuś takiemu jak Rebeka. Tu potrzebne są świece, róże i romantyczne otoczenie, a nie rzucone w przelocie: „kocham cię, kotku”.

Po co w takim razie tu przyjechałem? - zastanawiał się, parkując samochód na szkolnym parkingu. Co zamierzam z nią załatwić w pół godziny?

Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że nie opuści miasta, zanim jej nie wyzna miłości, nawet jeśli będzie musiał to zrobić w obecności całej trzeciej klasy.

Szybkim krokiem wszedł do szkoły i zajrzał do sekretariatu. Jeśli przypadkowo natknie się na Richarda Fostera, ten na pewno zrobi wszystko, żeby mu utrudnić spotkanie z Rebeką... W gabinecie dyrektora zastał jednak starszą panią, która chętnie udzieliła mu potrzebnych informacji.

- Teraz ma lekcję literatury, ale za pięć minut będzie wolna - powiedziała z miłym uśmiechem. - Uczy w ostatnim pokoju po prawej, na samym końcu

korytarza. Na pewno ją pan spotka, nie możecie się minąć.

Ruszył korytarzem, w myślach powtarzając ostatnie słowa starszej pani. „Nie możecie się minąć”. Uśmiechnął się do siebie. Odkąd po raz pierwszy ujrzał Rebekę podczas kolacji na ranczu, wiedział, że oni dwoje „nie mogą się minąć”.

Od tamtej pory ani na chwilę nie przestawał o niej myśleć. Nawet kiedy wracało wspomnienie żony, Rebeka też przy nim była. Marzył o niej przez cały czas, śnił o niej, kochał ją do szaleństwa. I chciał z nią spędzić resztę życia.

Jeszcze do niedawna podobna myśl wprawiłaby go w panikę. Teraz nie potrafił sobie wyobrazić życia bez Rebeki. Przystanął przed klasą i lekko zapukał do drzwi.

Zaczynało się nowe życie.

Zupełnie się go nie spodziewała.

- Austin! Co ty tutaj robisz? - spytała zdumiona.

Chciała rzucić mu się w ramiona, ale powstrzymało ją przed tym dwadzieścia par dziecięcych oczu, śledzących każdy jej ruch.

- Co ty tutaj robisz? - powtórzyła cicho. - Czy coś się stało?

- Nie, po prostu muszę z tobą porozmawiać. Możesz mi poświęcić kilka minut?

Nie pytając o nic więcej, skinęła głową.

- Dobrze, zaraz do ciebie wyjdę. Poczekaj chwilkę. Zamknęła drzwi i zwróciła się do klasy. Zgodnie

z jej przewidywaniami, Suzie Harper natychmiast podniosła rękę. W przyszłości na pewno zostanie dziennikarką, pomyślała Rebeka i pytająco spojrzała na dziewczynkę.

- Słucham, Suzie?

- Czy to był pani narzeczony? Bardzo fajny.

Rebeka z trudem zachowała poważną minę.

- To był mój kolega - wyjaśniła uczennicy. - Ma do mnie pilną sprawę i musimy porozmawiać. Wy w tym czasie poczytacie sobie trzeci tom Harry'ego Pottera.

Trzeci tom przygód małego czarodzieja należał do ich ulubionych książek i wszystkie dzieci bez słowa protestu zagłębiły się w lekturze.

Rebeka z westchnieniem ulgi wyśliznęła się z klasy na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

- Przez chwilę będą zajęci i możemy zamienić kilka słów. Co cię tu sprowadza? Zamierzałam do ciebie zadzwonić zaraz po pracy i zaprosić cię na kolację - powiedziała z uśmiechem.

- Chętnie bym skorzystał, ale nie mogę - odparł.

- Zaraz mam samolot do Portland.

Po tym, co między nimi zaszło w czasie weekendu, była to ostatnia rzecz, jaką spodziewała się od niego usłyszeć.

- Wyjeżdżasz? - W jej oczach ukazał się ból.

- Bardzo bym nie chciał, ale muszę - wyjaśnił pośpiesznie. - Dostałem wiadomość od przyjaciela, że ma kłopoty i potrzebuje mojej pomocy. Muszę wracać. Nie mogłem wyjechać bez rozmowy z tobą.

Rebeka siłą powstrzymała łzy. Skoro przyjaciel go

wzywa, Austin musi jechać, to jasne. Przecież niczego sobie nie obiecywali. Kochali się, ale nikt ani słowem nie wspomniał o wspólnej przyszłości. To, że Austin odmienił jej życie i zakochała się w nim bez pamięci, wcale nie znaczy, że on czuje do niej to samo.

- Kiedy zamierzasz wrócić? - zapytała z lękiem.
- Bo chyba wrócisz, prawda?

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że to wcale nie jest takie pewne i że może Austin wyjeżdża na zawsze.

- Joe bardzo ciebie potrzebuje... - dokończyła żałośnie.

- Nie rezygnuję z prowadzenia śledztwa - zapewnił ją. - Okazało się o wiele bardziej skomplikowane, niż myślałem, i potrwa znacznie dłużej. Oczywiście, że wrócę, ale z zupełnie innego powodu.

Spojrzała mu w oczy, zalękniona i niepewna, nie ośmielając się marzyć, że to ona może być powodem jego powrotu do Kalifornii. Po tylu latach spotkała wreszcie mężczyznę, któremu zaufała i którego pokochała. Jeśli teraz okaże się, że on nie kocha jej tak, jak ona jego...

Postanowiła się opanować i nie okazać, jak bardzo cierpi.

- Rozumiem - rzekła spokojnie, chociaż niewiele z tego rozumiała.

Splotła dłonie na piersi i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Joe na pewno bardzo się ucieszył, kiedy usłyszał, że masz zamiar tu wrócić. Udaje takiego twardziela,

ale jest bardzo przejęty tym, co zaszło, twoja obecność go uspokaja. Wierzy, że rozwiązesz tę zagadkę.

Austin zmrużył oczy.

- A ty? - zapytał, jakby nie dosłyszał jej wypowiedzi. - Czy ty się cieszysz z tego, że wrócę?

Musiał się domyślić, co się z nią dzieje. Rebeka zaczerwieniła się.

- Tak - przytaknęła zmieszana. - Joe bardzo cię potrzebuje.

- A ty? - powtórzył.

Nie chciała udawać, że nie rozumie prawdziwego znaczenia tego pytania. Austin nie pyta, czy ona się cieszy z jego powrotu, tylko czy go kocha. Gdyby miała choć trochę sprytu, zgrabnie odrzuciłaby piłeczkę i zmusiłaby go, żeby pierwszy wyznał jej miłość.

Rebecce jednak nie przyszło to do głowy. Nieważne, kto pierwszy wymówi te słowa, ważne jest tylko, że ona kocha Austina i musi mu to powiedzieć teraz, zaraz, zanim będzie za późno. Przecież w tej chwili ważą się jej losy!

- Tak - odparła drżącym głosem. - Cieszę się, że wrócisz, bo bardzo cię Kocham. Nawet nie wiesz jak bardzo.

Austin poczuł się tak, jakby nagle w szkolnym korytarzu zaświeciło słońce. Jego serce wypełniła szalona radość; podniósł wrażenie, że rodzi się na nowo, że przyszłość otwiera przed nim szeroko swoje wrota.

- Ja też cię Kocham - powiedział, obejmując ją. - Kocham cię tak bardzo, że aż się tego boję. Nie chciałbym cię stracić.

Nie musiał tłumaczyć, że pomyślał teraz o Jenny i dziecku. Rebeka zrozumiała. Lekko położyła dłoń na jego ustach.

- Nic takiego się nie stanie. Los nie jest taki okrutny. Austin pocałował wewnątrz jej dłoni.

- Chciałbym się z tobą ożenić. Wiesz o tym, prawda? Chciałem przed wyjazdem zapytać cię, czy za mnie wyjdiesz, kiedy wrócę.

- Tak - odparła bez wahania.

Jej szczerą i prostą odpowiedź odeгнаła od niego wszystkie obawy i lęki. W oczach Rebeki wyczytał, że nie grozi mu rozłąka, bo ona zostanie z nim na zawsze. Będzie na niego czekała. Wróci z Portland i pobiorą się, a potem, po latach, kiedy już będą mieli siwe włosy i gromadę wnuków, będą patrzyli na siebie z taką samą miłością.

Niczego więcej nie pragnął. Przytulił ją do siebie i pocałował, czując, jak ich serca biją zgodnym rytmem.

Chciał mówić jej o miłości i o tym, że nigdy nie przestanie jej kochać, ale nie mógł wydusić słowa.